

**NIK PRZEŚWIECLA
PANDEMIE**

**JAKUB DYMEK
ELON MUSK I PRYWATYZACJA WOJNY**

**DACHAU
KUŹNIA KADR SS**

**ŻYCIE W PIERWSZYM BLOKU
Z WIELKIEJ PŁYTY**

Gdzie były służby?

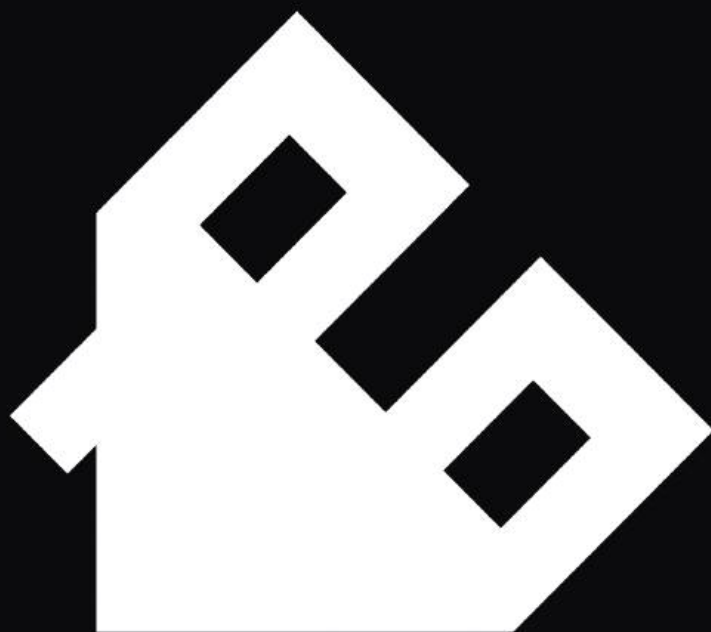
AFERA WIZOWA

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



teatr powszechny

Teatr, który się wtrąca



Co gryzie Gilberta Grape'a

Peter Hedges

**Bożek, Buchner, Fornalik, Jarmicki,
Kłak, Kowalczyk, Krajewski, Kruk,
Królak, Lange, Marciniak, Skoczylas,
Tymańska, Żeglicka**

**premiera: 21 września 2023
pokazy popremierowe:
22, 23 września i 25, 26, 28 listopada**

Co gryzie Gilberta Grape'a to przypowieść
na styku dramatu ciała i dramatu rodziny,
próba przyjrzenia się życiu, w którym miłość
zniknęła pod warstwą uwikłania, bólu i traumy.
Czy całkowicie?

Twórcy sięgają po kultową powieść, żeby odkryć
jaką prawdę opowiada potraktowana z troską
i uważnością prosta historia rodzinna. Prawdę,
a nie nasze wyobrażenie o niej.



Instytut Kultury
miasta stołecznego
Warszawy

Spektakl powstaje w ramach projektu
Zmiana – Teraz!, realizowanego przez
Rządową Teatralną im. Aleksandra
Zelwerowicza w Warszawie



wyborczak  www.powszechny.com



Co jest za tym murem?

Kampania wyborcza staje się coraz bardziej brutalna, więc siłą rzeczy coraz częściej myślimy o wyborach. I o tym, na kogo oddać swój głos. Najwyższa pora, by przyjrzeć się listom i kandydatom. Tych naprawdę dobrych trzeba będzie umieć wyłuskać z grona celebrytów, politycznych lawirantów i rozmaitych znajomków układaczy list. Oczywiście są też na nich ludzie skądinąd poczciwi, ale bez krzty umiejętności uzasadniających trafienie do Sejmu. Przy tylu kandydatach niełatwo się rozeznąć, kto jest wartościowy i dobrze rokuje po wyborze, a kto jest tylko wydmuszką, dobrze opakowaną, lecz pustą.

Sami przed sobą usprawiedliwiamy się, że mamy zbyt wiele własnych problemów, by porządnie zgłębić tajniki list. Idziemy więc na skróty. Wielu wyborców stawia krzyżyk przy jedynkach, kierując się zaufaniem do układaczy list. Nie jest to najlepsza metoda. Bo z wyborów na wybory liderzy partii coraz częściej pierwsze miejsca obsadzają wyłącznie swoimi ludźmi. A ci rzadko kierują się czymś innym niż własnym, egoistycznym interesem. Widać, że w tym roku wielu sensownych kandydatów odrzucono tylko po to, by nie naruszać interesów faworytek i faworytów. Wycinano indywidualności mogące zagrozić tym, którzy z urzędu mają wygrać.

Polityka w tym wydaniu, jakie prezentuje większość partii w Polsce, stała się niezwykle interesowną grą o bardzo przyziemne i egoistyczne sprawy. My też za to odpowiadamy. Ogromną władzę dajemy ludziom, którym nie dalibyśmy kluczy do naszych domów. Widać, jak wielki stał się rozdział między oczekiwaniami wyborców wobec polityków a tym, co reprezentują sobą ci ludzie. Myślę tu zarówno o wiedzy i doświadczeniu w rozwiązywaniu problemów, jak i o niskim morale tych, którzy pchają się do polityki.

Pytany, skąd czerpać wiedzę o kandydatach, nie mam dobrej odpowiedzi. Sam robię to w ten sposób, że czytam i oglądam media od lewej do skrajnie prawej strony. Ale to oferta tylko dla maniaków. Zwykły człowiek opiera się na tych mediach, z którymi się identyfikuje. Albo, jak większość Polaków, na tych, do których ma dostęp. I tu mamy jeszcze jeden wielki podział. Wielki mur, który dzieli Polskę na obszary, gdzie jest szeroki wybór, i te, gdzie królują telewizja i radio zagarnięte przez PiS. Za ten mur nie przedostają się żadne informacje, które szkodzą władzy. Jest oczywiste, że ci ludzie będą bronili swoich pozycji bez skrupułów.



PRZEGLĄD także dla NIEWIDOMYCH i SŁABOWIDZĄCYCH

Zachęcamy osoby z takim orzeczeniem niepełnosprawności do zarejestrowania się w internetowym kiosku **Stowarzyszenia „De Facto”** i czytania **bezpłatnie** naszego tygodnika.

Bardzo prosimy o poinformowanie bliskich lub sąsiadów o możliwości czytania **PRZEGLĄDU** w tej formie.

Zgłoszenia
na www.ekiosk.defacto.org.pl



W NUMERZE

KRAJ

- 8 Afera wizowa**
Kto to zorganizował? Ile na tym zarobiono?
- 13 Gdy firmę dotkną sankcje**
Przypadek zakładu w Wykrotach
- 16 Rozmach, który kosztował życie tysięcy Polaków**
Covidowe afery – raport NIK
- 20 Olsztyński pomnik na wokandzie**
Spór o sens historii
- 21 Wielka płyta przeżyła lokatorów**
To mieszkania, a nie dziadostwo

WYBORY 2023

- 26 Polonia chce głosować**
Czy komisje zdążą zliczyć głosy?

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 30 Kto trzyma atomowy guzik?**
Miliarderzy chcą rządzić światem

OPINIE

- 32 Stephen M. Walt**
Hollywood prowadzi i rujnuje amerykańską politykę zagraniczną

HISTORIA

- 34 KL Dachau był wzorcem**
Laboratorium zagłady

NAUKA

- 38 Ekonomia ma alternatywę dla tego, co jest teraz**
– rozmowa z dr. Maciejem Grodzickim

ZAGRANICA

- 42 Meloni i Schlein**
– pojedynek na garsonki
Korespondencja z Rzymu
- 45 Jak Dumne Chłopaki**
skompromitowały Trumpa
Korespondencja z USA

KULTURA

- 48 Metropolia potrzebuje ekscentryków**
– rozmowa z Michałem Walczakiem
- 52 Kino refleksji humanistycznej**
Korespondencja z Wenecji
- 54 Culturalia**
- 66 Kasia Mądalska. Rosario di Santa Caterina**

ZWIERZĘTA

- 56 Drapieżne ślimaki**
Flegmatyczne bezkręgowce w natarciu

SPORT

- 60 Reprezentacja, czyli kompromitacja**
Czy zawinił tylko trener?

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Co jest za tym murem?
- 29 Jan Widacki**
Jeszcze o patologii polskiej nauki
- 37 Roman Kurkiewicz**
Całe to tajne głosowanie
- 41 Tomasz Jastrun**
Ciemna granica
- 55 Wojciech Kuczok**
Wiek ciemności
- 59 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Próg wejścia

48

KULTURA



METROPOLIA POTRZEBUJE EKSCENTRYKÓW

– rozmowa z Michałem Walczakiem



56

ZWIERZĘTA

DRAPIEŻNE ŚLIMAKI

Flegmatyczne bezkręgowce w natarciu

60

SPORT



REPREZENTACJA, CZYLI KOMPROMITACJA

Czy zawinił tylko trener?

Projekt okładki: Ed Mund

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

epresa.pl 9ff34b5092



f Laboratorium okrucieństwa i wielkoduszności

Najdziwniejszy jest fakt, że kilka milionów Ukraińców, którzy przewędrowali przez Polskę, a wśród nich nierzadko znajdowały się bardziej egzotyczne nacje, nie przeszkadza tym, którzy napędzają nagonkę na uchodźców chcących wejść do Polski od strony Białorusi. Ba! Nawet rosyjscy agenci, udający Ukraińców i przekraczający granicę polsko-ukraińską jak i kiedy chcą, im nie przeszkadzają. No ale to przecież nie ci „li” muzułmanie czy inne „Afrykany”.

Michał Czarnowski



Szkoda, że nikt nie tworzy filmów mówiących o tym, kto, tzn. jakie państwo, walczy przyczynia się do tych migracji, realizując w ten sposób swoją imperialną politykę zagraniczną...

Stelios Lotsios

f Zbrodnia junty Pinocheta

Liczba ofiar tego despoty mało kogo w Polsce przeraża. Według optyki polskiej prawicy należą mu się kwiaty, a Jaruzelskiemu nie dosyć, że skanie po nim do śmierci, to jeszcze skanie po grobie. Jesteśmy prowincją umysłową i etyczną zachodniego świata. Na dodatek, co nie powinno dziwić przy takim stanie umysłów, jesteśmy z tego bardzo zadowoleni.

Michał Błaszczak



f Demokracja, jaki śmieszny żart

Z felietonu Romana Kurkiewicza wypływa bardzo dobre pytanie: czy polska deklaratywna demokracja jest metodą demokratycznie sprawowanych rządów? W obecnym systemie wyborczym wraz z wrzuceniem karty wyborczej do urny ją, durny, oddaje władzę starannie wyselekcjonowanej w posłusznosci i nijakości grupie „kandydatów”. I mam się nie przejmować władzą, bo i tak na ONYCH nie mam wpływu.

Józef Brzozowski

✉ Spory o Ukrainę. Jakie są cele USA?

To, że Amerykanie mają swoje interesy, które realizują rękoma Ukraińców, nie dziwi nikogo myślącego racjonalnie mimo silnej propagandy. Nasuwa się natomiast inny problem: skąd tak skuteczna kryptocenzura w „wolnym świecie” z „wolnymi mediami”? Kto nią zarządza? To istotne, bo przy takiej skuteczności socjotechniki za chwilę z pieśnią na ustach, pod pięknymi sztandarami, w defiladowym szyku pomaszujemy na III wojnę światową, naprawdę „kończąc historię” – ludzkości.

Observer



ZDJĘCIE TYGODNIA

Krzysztof Żuczkowski



Ulicami Warszawy w „Marszu gniewu” zorganizowanym przez związki zawodowe budżetówki przeszło kilka tysięcy pracowników służb mundurowych, wymiaru sprawiedliwości, urzędów ministerialnych i samorządowych. Domagali się natychmiastowych podwyżek i ustalenia reguł ich wprowadzania.

Czarny tydzień złotego.

12 września za euro trzeba było zapłacić 4,69 zł, 4,37 za dolara i 4,92 za franka. Taki jest efekt obniżenia przez Radę Polityki Pieniężnej głównej stopy procentowej o 0,75 pkt proc.

Ukraina utrzymuje wprowadzony jednostronnie w 2017 r. **zakaz poszukiwań, ekshumacji i pochówków Polaków** zamordowanych przez UPA na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej 80 lat temu.

Prokuratorzy w Rzeszowie i Zamościu potwierdzają, że ukraińskie zboże techniczne zamiast do spalania w piecach trafiło do młynów i piekarni. Zarzuty stawiane są kolejnym osobom.

Film Agnieszki Holland „Zielona granica” zdobył Nagrodę Specjalną Jury na festiwalu w Wenecji. Złotym Lwem nagrodzono „Biedne istoty” greckiego reżysera Yorgosa Lanthimosa.

Centralna Komisja Egzaminacyjna poinformowała, że po trzech turach egzaminów maturalnych (sesja główna w maju, dodatkowa w czerwcu i poprawkowa we wrześniu) **świadectwo maturalne uzyskało 89,3% absolwentów szkół ponadpodstawowych.**

Na prawników w pierwszej połowie roku Donald Trump wydał już 40,2 mln dol.

W 2022 r. na 155 974 porody (bez cesarskich cięć) tylko 22 457 kobiet otrzymało znieczulenie, choć NFZ je refunduje.

Polski eksport towarów w 2022 r. był wart **346,2 mld euro**. Największymi odbiorcami byli **Niemcy (96,4 mld euro)**, Czechy (22,9 mld), Francja (19,9 mld), Wielka Brytania (16,8 mld), Holandia (16 mld), Włochy (15,8 mld) i USA (10,3 mld).

W wyniku upadłości Spółdzielni Mleczarskiej Bielmek w Bielsku Podlaskim instytucje państwowe straciły ok. 200 mln zł, które zainwestowały w tę spółdzielnię (raport NIK).

Bielmlekiem kierował Tadeusz Romańczuk, były senator PiS i były wiceminister rolnictwa. Ofiarami bankructwa spółdzielni są rolnicy producenci mleka. Syndyk ściągnął już z 288 rolników ponad 3 mln zł.

W kolejce są następni.

1940 km torów zmodernizowano w 2019 r., ale od tego czasu jest coraz gorzej. W 2022 r. zmodernizowano tylko 790 km. A na ten rok plany są niewiele większe.

4,4 mld, czyli **54% ludzkości, mieszka w miastach.**

Z sieci społecznościowych korzysta na świecie **4,5 mld ludzi**. Najwięcej użytkowników mają Facebook (2,5 mld) i YouTube (2 mld).

Polskie dzieci tyją najszybciej w Europie. Pod względem liczby dzieci z nadwagą jesteśmy na piątym miejscu na świecie.

Według danych GUS w Polsce jest 1,448 mln ciągników rolniczych. Najwięcej w woj. mazowieckim – 230,5 tys.

PRZEBŁYSKI**A „Forum” żal**

Żegnamy „Forum”, unikatowe pismo opinii, przybliżające czytelnikom to, co było najważniejsze w mediach z całego świata. Gdy powstało w 1965 r., było sensacją. Jako pierwsze źródło wiedzy o tym, co pisze prasa zachodnia. Od 2001 r. wydawcą „Forum” była „Polityka”. Jako ilustrowany tygodnik (dwutygodnik) trzymało wysoki poziom i cieszyło się uznaniem tysięcy czytelników. Niestety, w czasach rządów PiS tylko prasa związana z tym obozem może przetrwać mimo inflacji i wysokich cen papieru. Ma wsparcie władzy i życiowość rynku reklamowego. „Forum” na to, mimo oczywistych walorów, liczyć nie mogło. Pismo redagowane przez Jacka Mojkowskiego, a przez ostatnie osiem lat przez Pawła Moskalewicza, przeszło do historii.

Niestety, w tym samym czasie zmarła Hanna Hartwig, związana z „Forum” od zawsze. Współpracowała także z naszym tygodnikiem. Pamiętamy.

**Strach oglądać**

Jaka telewizja, taka wizytówka. Najpierw cytaty z korespondencji Michała Adamczyka z byłą partnerką: „Ciesz się suko dniem dzisiejszym. Gdybyś wiedziała co cię czeka jutro, wołałabyś się nie obudzić”. Tekst tego SMS-a przytoczył Mateusz Baczyński z Onet.pl.

Autor tego obrzydlistwa, czyli Michał Adamczyk, to jeden z najczęściej występujących w TVP propagandystów PiS. Ba, nawet ich szef. Kieruje przecież Telewizyjną Agencją Informacyjną. Wydarzenia z 2000 r. nie skończyły się na słowach. Kobieta została pobita. Zeznała: „Rzucił mnie na łóżko, usiadł mi na klatkę i zaczął na mnie pluć. Kosmyki moich włosów kolejno wyrwał”. Sąd uznał, że „sprawstwo i вина oskarżonego Adamczyka nie budzą wątpliwości i zostały potwierdzone zebranymi dowodami”. Adamczyk został zobowiązany do wpłacenia 1,5 tys. zł na Fundację Daj Szansę.

Nie jest to jedyna kobieta, która go oskarża.

Wędrujący drapieżca

Na wniosek redakcji katolickiego pisma „Więź” prokuratura zajęła się sprawą jezuity Macieja S., twórcy Katolickiego Ruchu Młodzieżowego Magis. Zaczął od Kłodzka, ale niespodziewanie przeniesiono go do Jastrzębiej Góry, a potem do Czechowic-Dziedzic. Tworzył tam kolejne ogniska Magisu. Molestował. I gwałcił. 16-letnią Wiktorię z Kłodzka, maturzystkę Ninę i jej koleżankę Magdalenę. Zakon przeniósł go do Zakopanego, a „Górkę”. A później do domu zakonnego w Przegorzałach. Prowincja jezuitów Jakub Kołacz zgłosił sprawę do Watykanu. W wyniku tego generał jezuitów w 2021 r. zakazał Maciejowi S. pracy z młodzieżą na dwa lata. Właśnie mija ta „dotkliwa” kara. Strzeżcie się, kobiety.

W bikini do Sejmu

Wśród tysięcy chętnych na immunitety poselskie niałtowo się wyróżnić. Ale kandydatka z listy Konfederacji nie miała z tym problemu. Bezpruderyjna zwolenniczka Margaret Thatcher pokazała światu, że niewiele ma do ukrycia przed wyborcami. Samuela Torkowska nie czekała z tą otwartością na wybory. Widzowie programu „Top Model” w TVN pamiętają jej kuse niby-kreacje. Na większą karierę to jednak nie wystarczało. Związek z aktorem Antonim Królikowskim też nie przetrwał próby czasu.

Na życie z polityki pani Samuela za bardzo także nie powinna liczyć. Choć odwołuje się do wartości chrześcijańskich i tradycyjnego modelu rodziny, to chyba wyborcy inaczej je pojmują.





PYTANIE TYGODNIA

Czy niezdecydowani wyborcy ukrywają swoje poglądy?

PROF. MICHAŁ WENZEL,
socjolog, Uniwersytet SWPS

Ten problem dotyczy partii, które nie są akceptowane przez szeroko rozumiany mainstream. Kiedyś to zjawisko dotyczyło SLD, potem Samoobrony. Dotyczyło to też prezydenta Dudy – podczas pierwszej tury wyborów w 2015 r. pytani nie deklarowali dla niego poparcia, ponieważ postrzegali Bronisława Komorowskiego jako kandydata, na którego warto głosować zdaniem elit. Dlatego jeśli ktoś z kandydatów czy któraś partia postrzegani są jako nieakceptowani przez elity, część wyborców może się wahać. Wszystko zmienia się jednak z wyborów na wybory. Dziś partią z potencjałem ukrywanych głosów jest przede wszystkim Konfederacja. Ale to zjawisko ujawni się, dopiero kiedy skonfrontujemy sondaże z wynikami wyborów. Jeżeli Konfederacja uzyska poparcie znacząco powyżej 10%, będzie to oznaczało, że mieliśmy do czynienia właśnie z opisywanym zjawiskiem.

PROF. ROBERT ALBERSKI,
politolog, dziekan wydziału Nauk Społecznych UW

Niezdecydowani wyborcy nie są jednolitą kategorią. Wydaje się, że można zaobserwować co najmniej dwa rodzaje postaw takiego wyborcy. Z jednej strony, mamy osoby rzeczywiście niezdecydowane, które nie śledzą życia politycznego na bieżąco i trudno im się zadeklarować mimo chęci wzięcia udziału w wyborach. Z drugiej – jest grupa, która nie chce, z różnych powodów,

ujawniać swoich preferencji partyjnych. Część osób nie wierzy, że badania są anonimowe, i obawia się negatywnych konsekwencji ujawnienia swoich rzeczywistych preferencji. Czasami niektórych ugrupowań politycznych czy kandydatów nie wypada popierać w danym otoczeniu. To może być praca, znajomi albo nawet rodzina. Wtedy wyborcy mówią o swoich preferencjach, tak jak im się wydaje, że oczekuje tego od nich otoczenie, albo uciekają w tę bezpieczną formułę: „Zastanawiam się”.

PROF. JACEK WÓDZ,
socjolog, Akademia WSB w Dąbrowie Górniczej

Niewiele osób ma powody, aby ukrywać swoje poglądy. Wbrew naszym wyobrażeniom przeciętny Polak na co dzień po prostu nie interesuje się polityką. Dlatego trzeba raczej założyć, że wyborcy niezdecydowani po prostu nie wiedzą, na kogo będą głosować. Obecna kampania wyborcza jest bardzo nierzetelna i w dokonaniu tego wyboru nie pomaga. Politycy oskarżają się nawzajem o różne rzeczy. Większość osób nie rozumie, o co w tym chodzi. Dodatkowo mamy zamieszanie związane z referendum, w którym znalazły się pytania niemające nic wspólnego z merytorycznością, a więc z punktu widzenia konstytucyjności nie mają racji bytu. Sądę, że tajemnicą najbliższych wyborów będzie to, do jakiego stopnia proboszczowie będą potrafili zmobilizować wyborców, którzy są na trwałe związani z Kościołem.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

AFERA WIZOWA

Kto to zorganizował? Ile na tym zarobiono?



Robert Walenciak

Podpisanie dokumentów w sprawie ulokowania Centrum Decyzji Wizowych w Łodzi. Z tyłu od lewej wojewoda łódzki Tobiasz Bocheński, minister Zbigniew Rau i Piotr Apostolidis. Podpisują Krzysztof Witkowski (z lewej) i Maciej Karasiński.

Czy to największa polska afera XXI w.? Na pewno nie brakuje jej dramatyzmu. Gdy piszę te słowa, media informują, że w szpitalu przebywa jeden z jej bohaterów, były już wiceminister Piotr Wawrzyk. Jego stan po próbie samobójczej określa się jako zagrażający życiu.

Afera ma więc swój dramatyczny rozdział, ale ma też inne. Jakże? Kłopot w tym, że władza nabrała wody w usta i sprawę chce przemilczeć. A pytania nasuwają się same. Czy pod egidą MSZ zbudowano kanał przerzutowy z krajów Azji do Europy? Czy Wawrzyk był w tym procederze kimś ważnym, czy zwykłym

kozłem ofiarnym? Czy organizując w Łodzi tzw. Centrum Decyzji Wizowych, PiS chciało stworzyć taki system na lata? Jakie pieniądze tu wchodziły w grę? Setki milionów? Kto miał je zgarnąć?

Nie wiemy, czy te pytania trafiają w sedno sprawy, czy są przesadzone, a może przeciwnie – zbyt nieśmiałe. W każdym razie wiemy, że Polska jest liderem, jeśli chodzi o wydawanie wiz do strefy Schengen. Wiemy też, że w sprawie wiz działania prowadzi Centralne Biuro Antykorupcyjne. I że w MSZ ogłoszono dymisję (Wawrzyk, jego bliiski współpracownik Jakub Osajda,

dyrektor Departamentu Konsularnego Marcin Jakubowski) i kontrole placówek, rozwiązano także umowy z firmami pośredniczącymi przy wydawaniu wiz.

Nie jest to więc nic, jak mówią politycy PiS, sprawa jest rozwojowa i ma wiele sensacyjnych wątków. Jest jak ten trup wypadający z pi-sowskiej szafy.

Jakie są bowiem filary kampanii PiS? Wielki mur na granicy z Białorusią. Sprzeciw wobec unijnej polityki związanej z relokacją imigrantów. Do Polski miałyby ich trafić ok. 1,6 tys., a i to pod pewnymi warunkami, ale PiS z tej sprawy zrobiło pytanie

w referendum. Tymczasem Polska wydaje obywatelom takich państw jak Indie, Bangladesz czy Sri Lanka setki tysięcy wiz i chce wydawać jeszcze więcej. W tle mamy dodatkowo podejrzenie łapówek, opowieści o handlowaniu wizami, sprzedawaniu ich po parę tysięcy dolarów za jedną. I sygnały, że służby amerykańskie informowały Polskę, że z powodu jej dziurawego systemu wizowego do Europy przyjeżdżają osoby podejrzane o terroryzm.

Jak się w tym połapać? Wątków aferalnych jest kilka, łączy je sprawa wiz, ale trzeba je rozdzielić. Po pierwsze, w ostatnich latach mamy lawinowy wzrost liczby wiz przyznawanych obywatelom państw nieunijnych. Towarzyszy temu absolutnie nietransparentny system w konsulatach. I do tego twardo realizowany pomysł MSZ, by w procesie wizowym uczestniczyły firmy zewnętrzne. Po drugie, powstała inicjatywa, by proces przyznawania wiz przenieść do Polski, do nowo powołanego Centrum Decyzji Wizowych, które ulokowano w Łodzi. Inicjatywa budząca wiele wątpliwości. Po trzecie, mamy działania CBA, choć, jak się wydaje, na razie dotyczą one płotek, a nie grubych ryb.

Wizy

Zacznijmy od sprawy podstawowej, czyli systemu przyznawania wiz. Tu od lat panuje chaos i w związku z tym okazja czyni złodzieja. Polska to atrakcyjne miejsce dla milionów. Od 21 grudnia 2007 r. jesteśmy w systemie Schengen – lądując w Polsce, można przejechać do Niemiec, Francji, Holandii... Wiza do Polski jest de facto wizą do Unii Europejskiej. Nic więc dziwnego, że przed konsulatami Rzeczypospolitej ustawiają się kolejki chętnych, by tu przyjechać. Chodzi głównie o obywateli Ukrainy (po 24 lutego 2022 r. bardzo się to zmieniło), Białorusi i innych republik, które wyłoniły się po rozpadzie ZSRR. A także o państwa Azji i Afryki.

Te kolejki tworzą zaś korupcyjny system. Przykład? Historia z konsulem w Łucku na Ukrainie. W 2012 r. wybuchła tam afera, media pisały, że konsulowie wydawali wizy

prostytutkom. W efekcie, po zbadaaniu sprawy, odwołano cały personel konsultatu. Prokuratura postawiła zarzuty pięciu podejrzanym. Jak później poinformowano, pracownicy konsultatu mieli uznaniowo wydawać wizy pewnym grupom interesantów i nie prowadzili nadzoru „nad działalnością outsourcingowego punktu wizowego”. A firma zewnętrzna, która przyjmowała wnioski wizowe, tworzyła tzw. sztuczną kolejkę.

Problem w tym, że od sprawy Łucka w zasadzie nic w systemie wydawania wiz się nie zmieniło. Jest on bowiem wciąż skonstruowany tak samo – to konsul wydaje wizę, więc żeby ją dostać, trzeba się umówić z nim na spotkanie. Ale umówić się nie można, bo nie ma wolnych terminów. Teoretycznie na rozmowę

W ostatnich latach mamy lawinowy wzrost liczby wiz przyznawanych obywatelom państw nieunijnych.

można się zapisać w sieci, lecz grupy hakerów przejęły system rezerwacji online, zajmowały miejsca w kolejce, a później sprzedawały je za grube pieniądze, od kilkuset dolarów do kilku tysięcy. Chętnych nie brakowało.

Co na to nasze służby? Witold Jurasz napisał, że gdy pracował w MSZ, na placówce w Mińsku, wielokrotnie apelował do centrali o rozwiązanie tego problemu. Było to stosunkowo proste, wystarczyło odpowiednio zabezpieczyć system online i pozakładać systemy ochronne. Zwykła robota dla informatyków. Ale jak grochem o ścianę. W warszawskiej centrali uznano, że najlepszą metodą walki z patologią będzie oddanie kolejek w ręce firm zewnętrznych.

Outsourcing

System, w którym firma zewnętrzna przygotowuje wnioski wizowe i odpowiada za kolejkę do konsultatu, przeżył w ostatnich latach rozkwit. I zaczął obejmować polskie placówki na całym niemal świecie.

Teoretycznie było to ułatwienie, do obowiązków firmy zewnętrznej należało odpowiednio przygotować

wniosek, właściwie wypełniony, z właściwym zdjęciem itd., a decyzja administracyjna należała do konsula. Ale tak było tylko w teorii. Bo pośrednicy potrafili za taką usługę żądać krocie. „W Iraku lokalni pośrednicy żądali ogromnych pieniędzy za samo zarejestrowanie online wizyty w konsulacie. Dziwnym trafem bez skorzystania z ich usług tych wizyt w ogromnej części nie udawało się rejestrować”, cytowała Wirtualna Polska Przemysław Skrzypka, prezesa Polsko-Arabskiego Klubu Społeczno-Gospodarczego.

Pośród firm zewnętrznych przetargi na obsługę polskich konsulatów zaczęła wygrywać Visa Facilitation Services Global. VFS Global początkowo miała główną siedzibę w Indiach, obecnie w Dubaju,

i biura w 147 krajach. Współpracuje z 61 państwami, m.in. z Wielką Brytanią i USA. Rocznie przygotowuje dziesiątki milionów wniosków wizowych. To nie jest więc hetka-pętka. Ale... Jak mówią nam dobrze zorientowani konsulowie, jeśli chodzi o VFS, należy zwrócić uwagę na trzy sprawy. Po pierwsze, przeciwko firmie toczyły się różne dochodzenia, oskarżano ją o wyzysk i brak przejrzystości. Po drugie, ważna jest forma współpracy – na jakich opiera się regulach. Wielka Brytania, USA czy państwa skandynawskie prowadzą z VFS współpracę na własnych zasadach, nie pozbywając się na jej rzecz uprawnień dotyczących weryfikacji aplikanta. Polska nie potrafiła sobie tego zagwarantować. Po trzecie wreszcie, i to jest kwestia istotna, na rzecz VFS zaczęło w Polsce lobbować zastanawiająco dużo grup.

Gdy rozmawialiśmy z konsulami, oceniali, że naciski, by korzystać w coraz większym stopniu z firm zewnętrznych, zaczęły się nasilać w latach 2016-2017. Kojarzą to z osobą Bartosza Grodeckiego, który był dyrektorem Departamentu Konsularnego, a w 2018 r. został podsekretnarzem stanu w MSWiA i odpowiada ▶

► za politykę wobec cudzoziemców. Grodeckiego zastąpił w MSZ Jakubowski. A teraz, po jego dymisji, departamentem kieruje Jakub Wawrzyński. Za zastępcę mając... Jakubowskiego. Oto zmiana!

Naciski na konsulaty ze strony centrali, jak opowiadał jeden z rozmówców, były różnego rodzaju. Namawiano na outsourcing, na firmy zewnętrzne, na rozpisanie przetargów. I najczęściej zwycięską firmą była VFS. Jednocześnie „czyszczono” placówki z doświadczonych konsułów, którzy nie mieli ochoty poddawać się zmianom. Zwłaszcza nie chcieli rezygnować z weryfikowania dokumentów wizowych i rozmów z ubiegającymi się o wizę.

I ci konsulowie mieli rację! Przejście na outsourcing spowodowało bowiem, że z polskich rąk wymknął się jeden z ważnych elementów wydawania wiz – bo to firma zewnętrzna decydowała, kto w kolejce czekał krótko, a kto długo. Ba! Kto do niej został wpisany. Przykład z Iraku nie był odosobniony. Teoretycznie pośrednik powinien brać

Wiele krajów, w których zaczęliśmy przechodzić na wizowy outsourcing, ma niechlubnie wysoki wskaźnik korupcji. Tam zdobycie dokumentu potwierdzającego znajomość języka obcego, ukończenia szkoły czy inne umiejętności nie stanowi problemu. Mechanizm jest więc prosty: fałszywe dokumenty świadczące o poszukiwanych przez polskie firmy umiejętnościach, polska wiza, przylot do Warszawy i... szukaj wiatru w polu. Różne dane są tu przytaczane, ale nieoficjalnie mówi się, że co trzeci przyjezdny po wylądowaniu w Polsce nie podejmuje pracy, tylko znika. Są też opinie, że jedynie co trzeci zostaje.

Rozmowa z konsulem była jedyną szansą na wyłowienie oszusta z grona uczciwych. Ale skoro tę rozmowę wyeliminowano...

Mejl z centrali

Opowieść naszego rozmówcy potwierdza materiał w Onecie, opisujący, jak konsul w Mumbaju weryfikował dokumenty rzekomej ekipy

doł. od osoby. Czyżby więc stworzono kolejny kanał przerzutowy przez Warszawę?

Materiał w Onecie potwierdza również to, o czym informowali nas rozmówcy z MSZ – z Warszawy szły naciski, by przyznać wizę określonym osobom. Onet podaje, że do konsułów w różnych miastach Azji i Afryki – od Stambułu, przez Rijad, Islamabad, Mumbaj, Nowe Delhi, Bangkok, Singapur, Hongkong, Manilę i Tajpej, po Abudżę oraz Dar es Salaam – trafiały „polecenia” od Wawrzyńskiego. Zgodnie z jego wolą konsulowie mieli wydawać pozwolenia na wjazd do Polski grupom konkretnych ludzi. Polecenia szły drogą mejlową, wymienionych w nich było kilkadziesiąt lub nawet ponad sto nazwisk osób, które mają zostać przyjęte przez konsulów jak najszybciej, poza kolejką.

Te nazwiska były przekazywane dyrekcji Departamentu Konsularnego MSZ, a potem wysyłane na placówki. Niektóre nawet z numerami telefonów, żeby konsulowie mogli szybciej nawiązać kontakt. Wicedyrektorka Departamentu Konsularnego Beata Brzywczy w wiadomości do konsułów pisała nawet: „Zachęcam Państwa do skorzystania z przysługujących Państwu możliwości przyjęcia ww. wnioskodawców... Feedback [informacja zwrotna] w niniejszej sprawie byłby mile widziany”.

Jak reagowali konsulowie na te polecenia z centrali? Ci, którzy opowiadali, musieli się liczyć z kontrołami i z odwołaniami. Tacy też byli. Ale większość zachowała się inaczej. Wiadomo, konsul chce żyć, więc realizowano polecenia z centrali, choć raczej opieszale. Skrzętnie przy tym zachowując mejle i SMS-y z Warszawy. One właśnie wyływały.

Cztery razy więcej wiz

Jak naciski na konsulów i szerokie wykorzystanie firm outsourcingowych zmieniły sytuację? Zapytany o to doświadczony konsul szybko podlicza: jeżeli w 2017 r. wydałem 2-3 tys. wiz, to w roku 2021 ponad 10 tys. W Nowym Delhi liczba wydawanych wiz w latach 2016-2020 wzrosła czterokrotnie. Zajmowało się tym czterech

Wiza do Polski jest de facto wizą do Unii Europejskiej.

za czynności administracyjne po kilkanaście euro od wizy. W praktyce mowa była o kilkuset dolarach, nawet kilku tysiącach – to wtedy, kiedy załatwiano chętnemu papiery do pracy.

Jedna z firm sprowadzała migrantów na Białoruś. Oczywiście po to, by przeszli do Polski przez zieloną granicę. Ale gdy to się nie udało, załatwiała im w Mińsku „legalne” papiery na wjazd do Polski. Rzekomo do pracy.

Jeden z byłych dyplomatów opowiadał nam historię konsula, który był znawcą kraju urzędowania i regionu, mówił miejscowymi językami. Potrafił natychmiast odróżnić prawdziwe papiery od sfałszowanych, np. certyfikat obsługi dźwigu. Po krótkiej rozmowie wiedział o składającym wniosek wszystko. Ale został zwolniony jako stary, nierokujący i z PRL-owską przeszłością. Nasz rozmówca uważa to za skandal.

z Bollywood, która miała w Polsce kręcić film. Ekipy – o tym za chwilę – rekomendowanej mejlami z centrali MSZ w Warszawie. Okazało się, że chętni do wyjazdu nie znają angielskiego ani nie dysponują deklarowanymi kwalifikacjami. Człowiek, który miał być aktorem, nie był w stanie podać tytułu żadnego filmu, w którym wystąpił. Choreograf nie potrafił tańczyć, a reżyser zajmował się sprzedawaniem warzyw na ulicy. Jedna rozmowa wystarczyła.

Co ciekawe, gdy grupa tworząca ową „ekipę filmową” zorientowała się, że konsul poważnie podchodzi do obowiązków, czym prędzej się ulotniła. A po paru dniach, gdy konsul wyjechał, znów się zgłosiła. Nie bez powodu – otrzymanie wizy wielokrotnej Schengen (a wydania takiej domagał się Wawrzyński) pozwala wyjechać do Meksyku. Stamtąd już jeden skok do USA. Za przerzut z Indii do USA gangi biorą 35-40 tys.



Czy pod egidą MSZ zbudowano kanał przerzutowy z Azji? Czy Piotr Wawrzyk był w tym procederze kimś ważnym, czy kozłem ofiarnym?

konsulów mających do pomocy czterech pracowników miejscowych. I oczywiście firmę VFS, która w 2019 r. wygrała przetarg.

A jak wyglądała sytuacja z wydawaniem wiz w skali całej Polski? Problem w tym, że informacje wciąż są nieprecyzyjne. MSZ nie chce ich ujawnić, więc musimy się opierać na danych podawanych przez postów opozycji. „W ciągu 30 miesięcy wydano wiz 250 tys. – to Donald Tusk. – Co miesiąc do Polski z Azji i Afryki wpuszczały polskie urzędy sporej wielkości miasteczko. Wciąż nie mamy żadnych odpowiedzi na temat tego, co dokładnie się stało i kto za tym stoi”.

Z kolei kontrolujący MSZ postowie Szczerba i Joński podawali, że w ostatnich trzech latach MSZ wydało 2 mln wiz dla obywateli 20 państw Azji i Bliskiego Wschodu. I z tego 350 tys. budzi podejrzenia.

Tak czy inaczej, z Azji zaczęła płynąć do Polski fala migrantów. A nasze służby jej nie powstrzymywały. Naciski na MSZ szły również z polskiej strony. Rolnictwo potrzebowało (i potrzebuje) pracowników sezonowych, podobnie budownictwo czy

zakłady przetwórcze. W MSZ nie brakuje pism z ministerstw i różnych izb o ułatwienia w przyznawaniu wiz, bo brakuje rąk do pracy. Można rzec, że zaczęliśmy iść ścieżką, na którą Zachód wkroczył 60 lat temu – ściągając niewykwalifikowanych pracowników do najprostszych prac. Ściąganiem do Polski ludzi z Azji czy Afryki nie zajmują się tylko gangi, robią to także lobby rolnicze i przemysłowe. Bo tania siła robocza to

Spośród firm zewnętrznych przetargi na obsługę polskich konsulatów zaczęła wygrywać VFS.

świetny zarobek, a na Ukraińców, nie mówiąc o Polakach, nie można już liczyć.

Mamy więc patologiczną sytuację. Setki tysięcy migrantów z Pakistanu, Indii, Bangladeszu, Filipin, Nigerii, Tanzanii, Gruzji, Uzbekistanu i innych państw trafiło w ostatnich latach do Polski. Opłacając się różnym pośrednikom lub nawet gangom. Nasze państwo na to pozwalało, w krótkim czasie czyniąc Polskę jedną z głównych bram do UE. Ku

przerażeniu naszych sąsiadów, bo Niemcy od kilku miesięcy alarmują, że nielegalni imigranci tysiącami przybywają do nich przez Polskę. „Wzrost na granicy niemiecko-polskiej był szczególnie silny: z 4592 do 12 331. Liczba przybyłych do Meklemburgii-Pomorza Przedniego i Brandenburgii podwoiła się w porównaniu z pierwszą połową 2022 r. W Brandenburgii wzrosła z 2819 do 5434. Do Saksonii przyjechało cztery razy więcej osób niż rok wcześniej”, podano na stronie „Die Welt”.

Łódź

PiS zrobiło więc z Polski bramę do strefy Schengen. Ale to ekipie rządzącej nie wystarczało. Zdecydowano o utworzeniu Centrum Decyzji Wizowych z siedzibą w Łodzi, mieście Zbigniewa Raua. I to z CDW wiązało się rozporządzenie Wawrzyka o systemie przyznawania wiz dla 400 tys. aspirujących rocznie z 20 krajów Afryki i Azji. Dlaczego z tych, a nie innych? Kto pisał razem w Wawrzykiem to rozporządzenie? To kluczowe pytania.

Bo system, który MSZ wprowadzało, zakładał faktyczną eliminację jedyne go filtru, jedynej możliwości sprawdzania tych, którzy składali wnioski o wizy. Ograniczał do symbolicznego minimum zadania konsułów. W systemie CDW główną rolę miały odgrywać firmy outsourcingowe oraz centrum w Łodzi. To bowiem za pośrednictwem takich firm

jak VFS składane miały być wnioski wizowe i kierowane prosto do Łodzi. Tam miały być rozpatrywane. Rola konsula ograniczała się w tym systemie do wklejenia nalepki w paszporcie, ewentualnie do odpowiedzi na zapytanie, które przyszłoby od urzędnika z CDW. Innymi słowy, rozporządzenie Wawrzyka odbierało decyzje wizowe konsulom, osobom na miejscu, znającym miejscowe realia, a przekazywało je firmom outsourcingowym (bo to one decydowały, ►

► kto wchodzi do kolejki) oraz CDW, czyli ich szefowi.

Już to było patologią. A jeśli do tego dołożymy informację, że za załatwienie polskiej wizy płacono w Indiach, w Pakistanie czy Bangladeszu 5-10 tys. dol., możemy sobie wyobrazić, że to nie była nawet patologia, tylko wielki interes. Niech co 10. z planowanych 400 tys. składających wnioski zapłaci 5 tys. dol. i już mamy kwotę 200 mln dol. Można też liczyć inaczej – wiza za 1 tys. dol.! Czyli 400 mln dol. rocznie. Jest o co zabiegać?

Wiele do myślenia daje lokalizacja Centrum. Otóż Łódź to miasto Zbigniewa Raua, który stąd kandyduje do Sejmu jako jedynka PiS, jest zresztą byłym łódzkim wojewodą. Umieszczając taki urząd w swoim mieście, budował sobie publicy. Podobnie jak Wawrzyk, który z kolei w Kielcach, skąd jest posłem, ulokował Centrum Informacji Konsularnej. Jak widać, w sprawie wiz z Wawrzykiem ramie w ramie szedł Zbigniew Rau. To było ich wspólne dzieło.

Nieoficjalnie mówi się, że co trzeci przyjezdny nie podejmuje pracy, tylko znika.

17 kwietnia Rau uroczyście i z pompą podpisał umowę o wynajęcie powierzchni biurowej dla CDW. I wówczas, w okolicznościowym przemówieniu, stwierdził: „Przenosimy ważny ośrodek decyzyjny naszego resortu do Łodzi. Jeszcze dziś otworzymy też nieco mniejszy, ministerialny ośrodek o zbliżonym profilu, w Kielcach – Centrum Informacji Konsularnej. (...) Okazało się, że zapotrzebowanie na polskie wizy wszelkiego rodzaju rośnie, a my nie jesteśmy w stanie temu sprostać. Polska staje się coraz bardziej atrakcyjnym krajem dla cudzoziemców pochodzących z państw, z którymi nie mamy umowy o rezygnacji z ruchu wizowego. (...) Niemożność zaspokojenia ich oczekiwań wizowych w terminie i w przewidywalny sposób była dużym obciążeniem w naszych bilateralnych relacjach. Postanowiliśmy zatem powołać i rozbudować Centrum Decyzji Wizowych, przenieść je do Łodzi

i w czerwcu rozpocząć od zatrudnienia ok. 15 osób, do końca roku 2023, a do 2025 roku – 160”.

Innymi słowy, Rau zbudował w Łodzi, jak to określili nasi rozmówcy, fabrykę wiz, która ma zaspokajać oczekiwania wizowe obywateli 20 państw. W tej fabryce, jak powiedział, pracę miało dostać 160 osób! A czy rzeczywiście zmniejszyłaby ona koszty MSZ?

Na stronie Monopolis możemy znaleźć oferty wynajmu powierzchni biurowych. To 13,5 euro za metr kwadratowy miesięcznie plus opłata eksploatacyjna w wysokości 16 zł za metr kwadratowy. Jedno piętro w kompleksie biurowym to ok. 2,1 tys. m kw. Rocznie wychodzi prawie 2 mln zł. Czyli nie o oszczędności w tym manewrze chodziło.

CBA i MSZ

Zresztą jest w tym wszystkim ciekawa rzecz. Otóż CBA, wchodząc do MSZ 31 sierpnia, przesłuchało także Macieja Karasińskiego, dyrektora

się na wpływy w państwowej instytucji oraz przyjęcia korzyści majątkowych. A trzy były zatrzymane. Czy dotyczy to załatwiania wiz, czy sprawy centrów w Łodzi i Kielcach, nie wiemy.

Na razie dowiedzieliśmy się tyle, że w sprawę zamieszani są byli asystenci Wawrzyka. Parę dni wcześniej prokuratura informowała, że przedmiotem śledztwa „są nieprawidłowości przy składaniu wniosków o wydanie kilkuset wiz w ciągu półtora roku”. Jak napisała „Rzeczpospolita”, według ustaleń CBA „co najmniej 200 z 600 cudzoziemców starających się o wizę do Polski skorzystało z usług polskiego pośrednika ze znajomościami w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, solidnie go opłacając”.

W sumie – taki jest też przekaz PiS – to była mała sprawa, bardzo szybko załatwiona. A wszystko wyjaśni dodatkowa kontrola, audyt itd.

Takie opowieści, zwłaszcza w świetle kolejnych pojawiających się informacji, nie trzymają się kupy. Owszem, niejako obok wielkiej afery paru ludzi mogło spróbować „zarobić” jakieś pieniądze. Ale to płotki. Bo te „prawdziwe pieniądze” idą w setki milionów i widać, że zaangażowane są w ten proceder wielkie firmy pośrednictwa pracy oraz nasze służby. Tu także nie można mieć wątpliwości – sprawy wiz, konsulaty to obszar nasyceny służbami, wywiadem, tu każde działanie jest obserwowane. Oczywiście, że polskie służby mają wszystko dobrze zdokumentowane. Może zatem czas te szafy otworzyć?

Dlatego pytanie zasadnicze, na które pewnie nie otrzymamy odpowiedzi, brzmi: jakie grupy ze służb zwiększyły tu dobry interes, nawet lepszy niż interes ich kolegi od respiratorów? Jak to sobie układali? No i przy okazji, czy Wawrzyk, Rau, Mariusz Kamiński i Mateusz Morawiecki wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, czy też zaliczają się do tych naiwnych? A co robił w tych sprawach wicepremier ds. bezpieczeństwa Jarosław Kaczyński? Bo na tym polega państwo z tektury, że ci na górze się prężą, a ci trochę niżej skręcają miliony.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

Zakład produkuje wełnę mineralną, wykorzystując kamienie roztapiane w wysokich temperaturach. Nie szkodzi środowisku, stosując odpowiednie rygory.



Gdy firmę dotkną sankcje

Skąd taka surowość w potraktowaniu zakładu w Wykrotach, produkującego materiały budowlane

Violetta Waluk

W niedzielę 3 września nie było we wsi Wykroty ważniejszych spraw niż ta uroczystość. A dla niedawno wybranego sołtysa Daniela Okrzyńskiego to już nic nie mogło bardziej się liczyć. Funkcję sprawuje pół roku, a tu spadła na niego organizacja gminnych dożynek. Zjechali się przedstawiciele władz i mieszkańcy sołectw gminy Nowogrodziec na Dolnym Śląsku. Oficjalni goście z tej okazji przywieźli nagrody, w tym finansowe. Oczywiście nie były to kwoty oszałamiające, ale pracownicy domu kultury i członkowie zespołu folklorystycznego bardzo się ucieszyli.

Było tradycyjnie i kościelnie, z mszą na początku i honorowaniem duchownych przy każdej okazji. A starostowie dożynekowi, młode małżeństwo z Wykrotów, oczywiście wzorowi gospodarze, byli filmowo piękni. Ona z wiankiem ze zbóż na głowie...

Duże wrażenie, zwłaszcza na mieszczuchach, robią dożynkowe wieńce, wykonane z niezwykłą precyzją. Nieodczuwane są symbole religijne – promienie monstrancji utkane z fragmentów kłosów naprawdę imponują. Wkrada się też nowe, na jednym z wieńców znalazły się stwory jakby rodem z „Ulicy Sezamkowej”. Były występy zespołów ludowych

Pogodę (PiS). Nie, nie martwią się o przyszłość firmy, tak nowoczesnej i potrzebnej w branży budowlanej. Z pewnością znajdą się na nią chętni, i to tacy, do których nie będzie już żadnych zastrzeżeń.

Wśród bawiących się byli również pracownicy pechowej firmy, ale związki z nią skrętnie przedemną ukrywali. Kiedy już udało mi się

W maju Boerner Insulation znalazł się na liście firm objętych polskimi sankcjami w związku z wojną w Ukrainie.

i zabawa do późnej nocy, a oferta gastronomiczna – smakowita i nie do przejedzenia. Sołectwa prześcigały się w pysznościach.

W tych okolicznościach nikt tu chyba nie pomyślał o problemach firmy do niedawna działającej nieopodal i lękach jej pracowników. Udało mi się jednak namówić na rozmowę gości dożynek – starostę bolesławieckiego Tomasza Gabrysiaka i posła na Sejm Szymona

namierzyć jedną osobę, wita się jak piskorz. Bo nie wie, czy może się wypowiedzieć na temat pracy, ale pewnie nie może. A tak w ogóle to ona nie ma teraz czasu, bo pomaga przy organizacji dożynek. O inny termin rozmowy nie było sensu nawet pytać.

Jak grom

Właściciele firmy, rosyjscy miliarderzy, coś musieli przeczuwać, bo już ▶

► wcześniej rozpoczęli proces nazywany enigmatycznie rebrandingowym, a mówiąc wprost, w tym przypadku wydzielenia z grupy Technicol. Nic to nie pomogło. W maju tego roku Boerner Insulation znalazł się na liście firm objętych sankcjami w związku z wojną w Ukrainie. I były to nawet nie sankcje unijne, ale wprowadzane wyłącznie przez nasz kraj. Decyzję podejmuje minister spraw wewnętrznych i administracji, na wniosek ABW. Kiedy już to się stanie, firma jakby przestaje istnieć. Zamiera produkcja, nie można podejmować żadnych działań, nawet wywiązać się z przyjętych wcześniej zamówień. Można jedynie realizować zobowiązania wobec pracowników i dokonywać niezbędnych opłat.

A zaczęło się tak pięknie. Tereny inwestycyjne w Wykrotach należą do Kamiennogórskiej Specjalnej Strefy Ekonomicznej Małej Przedsiębiorczości. Właściciele firmy twierdzą, że byli wręcz zachęcani do inwestowania tutaj, choćby różnymi ulgami. Zakład otwarto wiosną 2021 r. A we wrześniu na Fejsie internauci z gminy Nowogrodziec z satysfakcją informowali o tej inwestycji i zapowiadanych kolejnych milionach na rozbudowę. Jest supernowoczesna – nieraz podkreślał poseł Szymon Pogoda. Mówiąc w uproszczeniu, produkuje wełnę mineralną, wykorzystując kamienie roztapiane w wysokich



Siergiej Kolesnikow urodził się w Rosji, ale nie jest Rosjaninem, tylko Czuwaszem.

dopóki piłka w grze... Wiadomo, wszystko jest możliwe. Prezes nie chciałby też w żaden sposób, czasem niezamierzony, zaszkodzić, więc zakończyliśmy rozmowę.

Pod koniec lipca w Wykrotach zjawił się zarządca tymczasowy Paweł Piotrowski. W jego imieniu o sytuacji w firmie mówi rzecznik Tomasz Butkiewicz. Jak się spodziewano, wszystko było w stanie „zamrożenia”. Na placach i w magazynach –

jest zaś przygotowanie aktywów do sprzedaży.

Ja, Czuwasz

Siergiej Kolesnikow, współwłaściciel firmy w Wykrotach, jest rozżalony. Opowiedział o tym w wywiadzie zamieszczonym w „Pulsie Biznesu” 9 sierpnia 2023 r. Podkreślał wyjątkowość prowadzonej dotąd działalności. W Wykrotach stanęła jego fabryka – pierwsza w Polsce – wełny skalnej, produkowanej metodą nowoczesną i bezpieczną dla środowiska. Kolesnikow jeszcze do niedawna nie czuł się zagrożony i planował dalsze inwestycje. Przecież rok temu w tym samym piśmie ukazał się artykuł w korzystnym świetle prezentujący jego firmę. W gminie Nowogrodziec też nie ukrywano satysfakcji z nowego użytkownika w strefie.

Skąd ta decyzja? Jego firma działa w 12 krajach i w żadnym – ani w unijnych, ani w USA, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii – nie znalazła się na liście sankcyjnej. Odpowiedzi szukał w częściowo udostępnionych mu materiałach Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. Tutaj wytykają mu przynależność do organizacji społecznej Diełowaja Rossija oraz sprawowanie funkcji rzecznika ochrony praw przedsiębiorstw i praw antymonopolowych przy, niestety, prezydencie Federacji Rosyjskiej. Przecież tego typu organizacje społeczne działają w wielu krajach i nie mają nic wspólnego z polityką!

Kolesnikow zarzeka się, że w żaden sposób nie popierał wojny. Nawet surowa dla oligarchów „Gazeta Polska” ustaliła, że biznesmen oficjalnie nie wypowiadał się na ten temat, ale gdzie indziej wypomniał właścicielom firmy, że w 2015 r. jeden z nich został przez Putina wyróżniony za działalność społeczną. Tak czy inaczej, zyski z prowadzonej działalności trafiają do Rosji. Ustalono, że przez Bułgarię.

Z pisma ministra Kamińskiego, zawierającego decyzję o wstrzymaniu działalności firmy, Kolesnikow dowiedział się, że celem tej ustawy jest przeciwdziałanie wspieraniu agresji

Siergiej Kolesnikow na polskim rynku jest 20 lat. Produkuje z surowców miejscowych. Obok Polaków zatrudnia Ukraińców, a zysków nie przekazuje do Rosji, tylko inwestuje u nas.

temperaturach. Do tego nie szkodzi środowisku, stosując odpowiednie rygory. Na swojej stronie internetowej chwali się bogatą ofertą produktów do izolacji różnych części budynków, „od fundamentów po dach”.

Dziś prezes kamiennogórskiej strefy Tadeusz Rycharski nie chce rozmawiać, zastaniając się klauzulą tajemności i konsekwencjami jej złamania. Sytuacja firmy jest zawita, ale – sięgając do piłkarskich porównań,

zgromadzone produkty, których nie wolno już było sprzedać. Piece produkcyjne – oczywiście wygaszone.

– Zauważamy, że nastroje pracowników są dobre. Dobrze przyjęli obecność zarządcy, a zwłaszcza zapowiedź rychłego wznowienia produkcji – zapewnia Butkiewicz i wylicza najbliższe zadania: inwentaryzacja i wycena aktywów, wznowienie produkcji i sprzedaż wyrobów. Głównym celem ustawowym

na Ukrainę i ochrona bezpieczeństwa narodowego. Nie mógł uwierzyć, przecież nie działa w żadnym strategicznym sektorze. Na polskim rynku jest już 20 lat. Produkuje z surowców miejscowych. Obok Polaków zatrudnia Ukraińców, a zysków nie przekazuje do Rosji, tylko inwestuje w naszym kraju. Zapewnia o tym wszystkim w wywiadzie.

I chyba najważniejszy argument – ma też obywatelstwo maltańskie, jest więc również obywatelem Unii Europejskiej. Fakt, urodził się w Rosji, ale nie jest Rosjaninem, tylko Czuwaszem. To mała, autonomiczna republika, graniczy m.in. z Tatarstanem. Kolesnikow zapowiada walkę o swoją firmę w polskich sądach, a jak to nie odniesie skutku, to w europejskich.

Nadgorliwość?

– Od razu wypowiedziano mi pełnomocnictwo – mówi adwokat Piotr Szlachta z kancelarii Ryszarda Kalisza, który do maja br. reprezentował firmę Kolesnikowa. – Musiałem też zdać wszystkie dokumenty.

Tymczasowy zarząd przymusowy już znalazł innych prawników. Czy będą choć w jakimś stopniu brać pod uwagę dotychczasowych właścicieli? Oni jednak, jak zapowiedział Kolesnikow, nie składają broni. Obecnie wspomaga ich kancelaria z Wiednia, specjalizująca się w tego rodzaju sprawach. Austriacki adwokat Daniel Kocab ma już pewne doświadczenie w kontaktach z polskim wymiarem prawnictwa. Przede wszystkim zastanawia się, jak działały polskie sankcje. Przecież o wpisaniu na europejską listę decydują wspólnie kraje unijne. Gdyby Polska uznała, że na jej terenie funkcjonują jeszcze inne firmy czy biznesmeni, których należy objąć sankcjami, powinna wystąpić ze stosownym wnioskiem do Unii Europejskiej. Daniel Kocab podkreśla, że taka lista tworzona na własną rękę jest sprzeczna z prawem unijnym. Tu można tylko westchnąć, to przecież nie pierwsza sprawa niezgodna ze wspólnotowym prawem!

Nie tylko z unijnymi ustaleniami kłóci się to rozwiązanie. Patryk Wachowicz, ekspert wypowiadający się na łamach „Pulsu Biznesu”,

podkreśla: kryteria wpisania na listę są nieostre, decydować może wręcz przypadek, dokumenty są niejawne, a tryb odwoławczy przeważnie nieskuteczny, tymczasem wykonalność decyzji – natychmiastowa. Czy wszystko to może być zgodne z polską konstytucją?

Firma działa w 12 krajach i żadnym – ani w unijnych, ani w USA, Kanadzie czy Wielkiej Brytanii – nie znalazła się na liście sankcji.

Delikwent dotknięty sankcjami może się odwołać do sądu administracyjnego, który, jak wiadomo, bada zgodność decyzji z procedurami, nawet świadków nie wzywa. W tym przypadku prawnicy nie są dobrej myśli. W jawnej części uzasadnienia ministerialnej decyzji podano, że o wpis postuluwało Stowarzyszenie Współpracy Polsko-Ukraińskiej Porozumienie, jest zaś tajemnicą poliszy-nela, że zainteresowani to zupełnie inna organizacja, nie międzynarodowa, lecz krajowa – producentów materiałów budowlanych, bodajże papy.

Tymczasem w Wykrotach sytuacja pewnie się uspokaja. O odwiedzeniu zakładu nie ma jednak mowy. Choć warto by było zobaczyć nowoczesny piec topiący kamienie, zmieniane

w coś niczym skalny dywan. Pracownicy, jak już to stwierdziłam, nie są chętni do rozmowy. Poprzednio na forach internetowych szukali informacji o warunkach awansu albo w ogóle o możliwościach zatrudnienia. Gdy zbliżyło się sankcyjne zamknięcie, niektórzy w ostrych słowach wyrażali się

o rosyjskich właścicielach. Obecnie, po spotkaniach z nowym kierownictwem, mają optymistycznie patrzeć w przyszłość. Wszyscy im powtarzają, że na tak nowoczesny zakład na pewno znajdą się chętni, więc oni nie powinni się martwić.

12 września z „Gazety Wyborczej” można było się dowiedzieć, że skuteczność sankcji jest mała. „Nie działają”, stwierdza autorka Justyna Sobolak. Są dziurawe jak sito. Różnymi sposobami, „neutralizując” działanie sankcji, założono w Polsce kilkadziesiąt nowych firm. Właścicielami są Rosjanie. Skąd więc taka surowość w potraktowaniu firmy produkującej materiały budowlane?

Violetta Waluk



MUZYKA NASZYCH CZASÓW

warsztaty wokalne-instrumentalne muzyki rozrywkowej i jazzu

Warszawa, 26-30 września 2023

Wokalistyka jazzowa **AGNIESZKA WILCZYŃSKA**
Wokalistyka estradowa **IRENA KIJEWSKA**
Zespoły **NIKOLA KOŁODZIEJCZYK**
MATEUSZ SMOczyŃSKI
Akompaniatorzy **BOGDAN HOŁOWNIA**
JAN PRZEPióRKOWSKI



Definansowane z budżetu państwa

Patroni medialni:



Rozmach, który kosztował życie tysięcy Polaków

Czas COVID-19 to chaos, prowizorka, marnotrawstwo i gigantyczne interesy cwaniaków

Marek Czarkowski

Według oficjalnych danych od początku pandemii do końca 2021 r. z powodu koronawirusa SARS-CoV-2 zmarły w Polsce 97 054 osoby. Opublikowany w ubiegłym tygodniu raport Najwyższej Izby Kontroli o działaniach rządu w związku z epidemią to opis chaosu, prowizorki, braku kompetencji i marnotrawstwa na niespotykaną skalę.

Informacja o wynikach kontroli „Przygotowanie i działanie odpowiedzialnych organów państwa, instytucji i służb w sytuacji zagrożenia i wystąpienia chorób szczególnie niebezpiecznych i wysoce zakaźnych. Tworzenie i funkcjonowanie szpitali tymczasowych powstałych w związku

z epidemią COVID-19” została podpisana przez prezesa NIK Mariana Banasia 20 lipca 2023 r., ale ogłoszono ją 12 września br., co dało politykom Prawa i Sprawiedliwości asumpt do twierdzenia, że dokument ten ma charakter polityczny.

Powiedzieć, że ustalenia inspektorów NIK są szokujące, to nic nie powiedzieć. Ze 195-stronicowego raportu (do którego należy doliczyć podobnej objętości wystąpienia pokontrolne) wyłania się ponury obraz działań urzędników państwowych najwyższego szczebla, z premierem Mateuszem Morawieckim na

czele, podejmujących decyzje, które kosztowały nas wszystkich dziesiątki, jeśli nie setki milionów złotych wydanych w najlepszym wypadku nieracjonalnie, w najgorszym z naruszeniem prawa. Sztandarowym przykładem niekompetencji (delikatnie mówiąc) była afera z zakupem respiratorów. W kwietniu 2020 r. Ministerstwo Zdrowia zamówiło w lubelskiej spółce E&K należącej do byłego handlarza bronią Andrzeja Izdebskiego 1241 respiratorów za kwotę 200 mln zł. Spółce od ręki wypłacona została zaliczka w wysokości 154 mln zł. Kontrakt podpisał ówczesny wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński, który po ujawnieniu afery podał się wraz z ministrem zdrowia Łukaszem Szumowskim do dymisji, lecz włos mu z głowy

nie spadł. Po jakimś czasie wrócił do rządu i dziś jest ministrem cyfryzacji. W nadchodzących wyborach kandyduje z pierwszego miejsca na liście PiS w Olsztynie.

W jego oficjalnej biografii, opublikowanej na stronie internetowej Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, o tym krępującym epizodzie nie ma wzmianki. Cieszyński jest przedstawiony za to jako „menedżer, przedsiębiorca i samorządowiec z dużym doświadczeniem”.

W wyniku transakcji z E&K do Polski trafiło 200 respiratorów, z których żaden nie nadawał się do użytku.

Ministerstwu udało się odzyskać ok. 70 mln zł, Andrzej Izdebski zaś, którego prokuratura poszukiwała listem gończym, zmarł w 2022 r. w Tiranie, w związku z czym śledztwo zostało umorzone.

Po Warszawie krążyły plotki, że akcja z respiratorami była operacją polskich służb specjalnych – w ten sposób pozyskały one środki na tajne akcje, z których nie musiałyby się rozliczać.

Podobna historia przydarzyła się KGHM Polska Miedź SA. W kwietniu 2020 r. spółka sprowadziła z Chin do Polski największym samolotem świata, antonowem An-225 Mrija, ogromny transport maseczek, rękawiczek oraz innych środków ochrony przed koronawirusem. Szybko się okazało, że maseczki z Chin nie spełniały norm FFP1, 2 i 3, więc nie można było ich stosować w szpitalach. Śledztwo w tej sprawie wszczęła prokuratura, lecz do dziś nie znalazło ono finału. Należy zaznaczyć, że są to drobiazgi wobec faktów ujawnionych przez pracowników Najwyższej Izby Kontroli.

Nierzetelne, nieprzygotowane, doraźne

Te słowa bardzo często pojawiają się w raporcie NIK. Zaczniemy od błędnych informacji o liczbie zakażeń i przeprowadzanych testów, które w 2020 r. nie były rzetelnie weryfikowane przez Główny Inspektorat Sanitarny i Ministerstwo Zdrowia. Największa różnica pomiędzy danymi rzeczywistymi a danymi o liczbie przypadków podawanych przez GIS to ponad 22 tys. w listopadzie 2020 r. Na podstawie błędnych danych między wrześniem a listopadem 2020 r.



resort zdrowia przygotował trzy strategie walki z epidemią COVID-19. Jak się okazało, dokumenty te miały niewielką przydatność. Pierwszy został przygotowany nierzetelnie (nie uwzględniał sytuacji ani zasobów polskich szpitali) i szybko się zdezaktualizował, a kolejne (Strategia 2.0 i Strategia 3.0) stanowiły odzwierciedlenie już wcześniej podjętych działań.

Ostatnim dokumentem zawierającym elementy planowania długoterminowego dla służby zdrowia była „Strategia zwalczania epidemii COVID-19. Zima-wiosna 2022 r.” opublikowana 6 stycznia 2022 r. Jej istotne założenia dotyczące powrotu do tworzenia szpitali jednoimiennych, leczenia części pacjentów z COVID-19 w sanatoriach i osiągnięcia wyszczepienia społeczeństwa na poziomie 75-80% nigdy nie zostały zrealizowane.

W efekcie w polskiej służbie zdrowia panował chaos, którego skutkiem było np. to, że w czasie drugiej (październik-grudzień 2020 r.) i trzeciej fali epidemii (luty-kwiecień 2021 r.) zwiększanie liczby łóżek dla pacjentów covidowych w ramach funkcjonujących szpitali stacjonarnych odbywało się na podstawie poleceń wydawanych przez wojewodów. Przekształcano całe oddziały lub ich

części w poszczególnych szpitalach w oddziały covidowe. Prowadziło to zdaniem NIK do nieracjonalnego tworzenia nadmiernej rezerwy łóżek w stosunku do potrzeb wynikających z sytuacji epidemiologicznej.

Autorzy raportu stwierdzają, że wyłączone z udzielania świadczeń, lecz w dużej części niewykorzystane łóżka szpitalne stawały się tym samym niedostępne dla pacjentów z innymi schorzeniami. A jednocześnie powodowały nieefektywne wydatki na pokrycie kosztów pozostawiania w gotowości zarówno szpitali stacjonarnych, jak i tymczasowych.

Okazało się, że tworzenie szpitali tymczasowych nie zostało prawidłowo przygotowane przez organy państwa uczestniczące w tym procesie. Odpowiedzialność za to spoczywała głównie na ministrze zdrowia. Nie ma czemu się dziwić. Tworzenie takich szpitali nie było przewidziane w sporządzonych przed 2020 r. planach zarządzania kryzysowego, w związku z czym przed pandemią nie analizowano ani nie testowano takiego rozwiązania. Samo pojęcie szpitala tymczasowego nie zostało nawet zdefiniowane w powszechnie obowiązujących przepisach prawa.

W pierwszym półroczu 2020 r. nie istniały żadne plany budowy takich

szpitali, gdyż ministrowie zdrowia, obrony narodowej i aktywów państwowych nie wykonali decyzji podjętej w tej sprawie 4 kwietnia 2020 r. przez Rządowy Zespół Zarządzania Kryzysowego.

A gdy już przyszło do tworzenia szpitali tymczasowych, minister zdrowia nie przeprowadził analizy zasadności i możliwości leczenia szpitalnego pacjentów z COVID-19 w nowej formule. Nie zatwierdził poza tym procedur tworzenia takich jednostek ani zasad doboru ich lokalizacji. Nie rozpoznał zasobów kadry medycznej ani możliwości zapewnienia personelu dla tych szpitali. Nie zainicjował przed wydaniem 13 decyzji o przystąpieniu do ich tworzenia zmian w obowiązujących przepisach, niezbędnych do zgodnego z prawem funkcjonowania szpitali w obiektach, które nie spełniały wymagań dla pomieszczeń szpitalnych. W ocenie NIK skutkowało to ryzykiem podejmowania działań, które w świetle przyszłych regulacji prawnych mogły się okazać niezasadne i prowadzić do niegospodarnego wydatkowania środków publicznych. Co też się stało.

Za nierzetelną uznali inspektorzy decyzję premiera Morawieckiego w sprawie tworzenia szpitali tymczasowych, wydaną bez określenia ▶

► celu i wskazania adekwatnych mierników służących do monitorowania oraz bez analizy kosztów i efektywności takiego rozwiązania. W efekcie Polska miała 33 szpitale tymczasowe (najwięcej w Europie), z których jeden, utworzony w szczecińskiej Netto Arenie, nigdy nie został uruchomiony, choć pieniądze na jego „funkcjonowanie” wydano.

Pikanterii sprawie dodawał fakt, że szpitale tymczasowe, na polecenie premiera Morawieckiego, tworzone były na koszt spółek skarbu państwa, takich jak PKN Orlen, Lotos, Węgłokoks, Totalizator Sportowy, Tauron, PKO BP, Grupa Azoty, KGHM i Polska Grupa Zbrojeniowa oraz Bank Gospodarstwa Krajowego. Przy czym nie wszystkie szpitale zostały uruchomione w pełnym zakresie.

NIK oszacowała, że łącznie na te nieistniejące szpitale wydatkowano niegospodarnie kwotę 31 467 800 zł, z czego 29 162 200 zł poszło niecelowo na utworzenie i utrzymanie szpitala we wspomnianej Netto Arenie, do którego nie przyjęto żadnego pacjenta. Ponadto kwotę 2 305 600 zł zwrócono spółkom skarbu państwa, w związku z tym, że podjęły one,

zgodnie z poleceniem premiera, niezwłoczne działania w celu utworzenia owych placówek, a decyzje nie zostały uchylone dostatecznie wcześniej, by zapobiec poniesieniu przez nie określonych kosztów. Podobnych przykładów jest w raporcie NIK więcej.

Kto by się liczył z wydatkami

Nakłady na utworzenie, funkcjonowanie i likwidację wszystkich 33 szpitali, łącznie z tym, który nie został uruchomiony, wyniosły 941,6 mln zł, z czego 612,6 mln zł pochłonęło utworzenie i utrzymanie 14 szpitali powstałych w obiektach wielkopowierzchniowych, takich jak Stadion Narodowy w Warszawie. Kwota 174,9 mln zł dotyczyła 15 placówek powstałych w już istniejących obiektach świadczących usługi medyczne, a kwota 154,1 mln zł – szpitale zbudowanych w czterech obiektach modułowych.

W przeliczeniu na łóżko w szpitalu tymczasowym nakłady na leczenie jednego pacjenta wyniosły 135,4 tys. zł, podczas gdy jeden chory na COVID-19 leczony w już

istniejących szpitalach kosztował za ledwie 24,3 tys. zł.

W ocenie Najwyższej Izby Kontroli nakłady w wysokości 612,6 mln zł poniesione na budowę, funkcjonowanie i likwidację szpitali w obiektach wielkopowierzchniowych okazały się niecelowe, nieefektywne i nie przyniosły trwałych rezultatów w postaci wzmocnienia infrastruktury szpitalnej kraju.

W przypadku szpitala tymczasowego działającego na Stadionie Narodowym tylko na czynsz wydatkowano 36,4 mln zł. Ponadto poniesiono koszty: opłaty eksploatacyjnej – 8,5 mln zł, ochrony – 4,3 mln zł oraz opłaty technicznej – 1,9 mln zł.

Za te szpitale płacono, nawet gdy nie działały. W przypadku placówki na Stadionie Narodowym w Warszawie koszt czynszu i innych opłat za taki okres wyniósł ponad 11 mln zł. We Wrocławiu wydano na ten cel 6,9 mln zł, tyle samo w Poznaniu. Natomiast w Łodzi niedziałający szpital tymczasowy kosztował 3,7 mln zł.

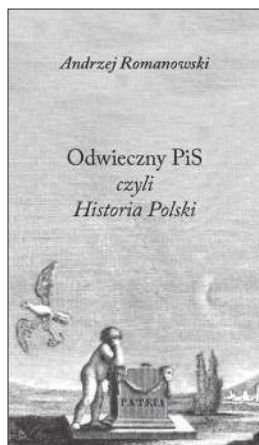
Wszystkie 33 szpitale tymczasowe zostały zlikwidowane, a zdemontowane konstrukcje i instalacje,

KSIAŻKI

Odwieczny PiS

Poglądów prof. Andrzeja Romanowskiego na temat PiS i jego działań czytelnikom PRZEGŁĄDU nie trzeba przedstawiać. Nasz felietonista wielce klarownie wyjaśnia w tekstach, jak szkodliwa dla Polski jest ta formacja. W najnowszej publikacji „Odwieczny PiS, czyli Historia Polski” prof. Romanowski idzie dalej. Pokazuje, że coś takiego jak pisizm istniało w Polsce zawsze, od początków jej państwowości. I zawsze miało antyzachodnie, antyeuropejskie oblicze. Tych, dla których Zachód z jego ideami i nowoczesnością był zagrożeniem, nigdy w naszych dziejach nie brakowało. Mieli w dodatku znaczący wpływ na losy Rzeczypospolitej.

W miniwykładzie na temat dziejów Polski Romanowski właśnie pisizm postrzega jako najważniejszą przyczynę jej upadków. Nie jednego upadku, ale wielu. Rozbicie dzielnicowe, rozbiory, powstania, Polska katolicka zamiast wielowyznaniowej to tylko niektóre. Choć książka jest wykładem historycznym, zawiera wiele elementów socjologicznych decydujących o polskiej mentalności, nieprzystającej do świata zachodniej cywilizacji, choć do niej tak często się odwołujemy.



Jak pisze prof. Romanowski, „nie ulega wątpliwości, że przez swą politykę godnościową i antyeuropejską PiS wmontował w Polskę mechanizm samozniszczenia. A to Polakom się podoba, bo PiS wyrasta z odwiecznego PiS i udatnie odwołuje się do zadomowionych tradycji destruktacyjnych i samobójczych. PiS-owski nowotwór złośliwy, żerując na tkankach, które już wcześniej były chore, dokonuje wciąż nowych przerzutów. Czy zatem następne szanse otworzą się dla Polski za kolejnych 700 lat? I czy odwieczny PiS jest naprawdę emanacją polskości?”

Na to ostatnie pytanie odpowiadam autorowi: tak, jest emanacją polskości. Ale do reprezentowanej przez PiS złowrogiej tradycji doszedł jeszcze jeden element: najgorsze oblicze neoliberalizmu, wyrażające się nadmiernym indywidualizmem i malejącym poczuciem wspólnotowości, solidaryzmu społecznego i odpowiedzialności za państwo. Polskie państwo.

Paweł Dybicz

Andrzej Romanowski, *Odwieczny PiS, czyli Historia Polski*, Wydawnictwo Austeria, Kraków 2023

po krótkim okresie użytkowania, nie mogły zostać wykorzystane jako pełnowartościowy materiał budowlany, gdyż co do zasady stały się odpadem podemontażowym.

Dlaczego do tego doszło? W ocenie NIK odpowiedzialność spada na premiera Mateusza Morawieckiego, ministra zdrowia Adama Niedzielskiego oraz ministra aktywów państwowych Jacka Sasina, którzy nie ustanowili skutecznych mechanizmów zapewniających gospodarne wydatkowanie środków publicznych przeznaczonych na tworzenie i funkcjonowanie szpitali tymczasowych, na udzielanie w nich świadczeń leczniczych i na likwidację placówek.

Co gorsza, raport NIK pokazuje, że nawet w okresach nasilenia pandemii liczba łóżek covidowych wydzielonych w szpitalach stacjonarnych i utworzonych w szpitalach tymczasowych, które zlokalizowano w obiektach przeznaczonych wcześniej do udzielania świadczeń medycznych oraz w obiektach modułowych, była wystarczająca do zapewnienia miejsc dla wszystkich pacjentów z COVID-19 wymagających hospitalizacji. Tymczasowe szpitale wielkopowierzchniowe, takie jak ten na Stadionie Narodowym, które generowały olbrzymie koszty, okazały się zbędne.

To nie wszystko. Od października 2020 r. do marca 2022 r. Narodowy Fundusz Zdrowia przekazał świadczeniodawcom kierującym tymi gigantycznymi szpitalami tymczasowymi łączną kwotę 1451,6 mln zł, z czego 866 mln zł zapłacono za leczenie pacjentów, a 585,6 mln zł za samą gotowość leczenia! Zdaniem NIK z owej kwoty nieefektywnie wydatkowano 165,7 mln zł.

Gdyby polska służba zdrowia była dobrze zorganizowana i dobrze kierowana, zamiast pompować pieniądze w tworzone od podstaw wielkie placówki tymczasowe, można by przeznaczyć setki milionów złotych na zakup nowoczesnego sprzętu i aparatury medycznej dla już istniejących szpitali, znacząco podnieść wynagrodzenia lekarzy, pielęgniarek, pracowników technicznych i ratowników

medycznych. Może efekty byłyby lepsze?

Raport NIK wspomina też o mało skutecznych działaniach ministra zdrowia na rzecz utrzymania ciągłości udzielania świadczeń opieki zdrowotnej. Pamiętamy, jak lekarze pracujący w przychodniach przechodzili wówczas na telefoniczne udzielanie porad. Zmalała także liczba przyjęć w ramach ambulatoryjnej opieki specjalistycznej. Ograniczono liczbę przyjmowanych do szpitali pacjentów cierpiących na inne choroby. Spadła liczba zabiegów operacyjnych, co było efektem zaleceń ministra zdrowia i NFZ w sprawie ograniczenia do niezbędnego minimum lub czasowego zawieszenia udzielania wykonywanych planowo świadczeń. Proces ten rozpoczął się wraz z tworzeniem szpitali

w naszym kraju boryka się z takimi problemami. Średnia dla państw Unii Europejskiej wynosi 37%.

Zostanie po staremu

Nikt nigdy nie opisał tak precyzyjnie stanu polskiej służby zdrowia. Pandemia z jednej strony odkryła niezwykle pokłady bohaterstwa i poświęcenia lekarzy, pielęgniarek i ratowników medycznych, starających się ze wszystkich sił pomóc chorym. Z drugiej ujawniła niekompetencję najwyższych urzędników państwowych i apetyty na wybitnie zyskowe interesy. Bo w latach 2020-2022, jak na wojnie, nikt nie liczył wydanych pieniędzy. A jeśli coś poszło nie tak, zawsze można było to uzasadnić stanem wyższej

W kwietniu 2020 r. resort zdrowia zamówił w spółce E&K 1241 respiratorów za 200 mln zł. Spółce wypłacono 154 mln zł zaliczki. Kontrakt podpisał wiceminister Janusz Cieszyński.

jednoimiennych, w których trzeba było odwołać zaplanowane wcześniej zabiegi dla pacjentów niezakażonych SARS-CoV-2.

Powstanie szpitali tymczasowych, zwłaszcza wielkopowierzchniowych, nie zapobiegło ograniczeniu dostępu do świadczeń osobom, które nie były zakażone wirusem. Personel medyczny, zaangażowany w walkę z epidemią, nawet jeśli pozostawał jedynie w gotowości, nie mógł się zajmować leczeniem innych pacjentów. W konsekwencji niektóre oddziały szpitalne stały puste. Nie odbywały się zaplanowane operacje ani inne zabiegi. Skutkiem tego była nadmiarowa liczba zgonów w Polsce. Według danych GUS w 2020 r. odnotowano 477 tys. zgonów, o 67,1 tys. więcej niż w 2019 r. Natomiast w roku 2021 liczba zgonów wyniosła 519,5 tys. i była o 154 tys. większa niż średnioroczna liczba z ostatnich pięciu lat. Wzrost ten spowodowany był też ogólnym stanem zdrowia Polaków, złym zwłaszcza wśród osób powyżej 65. roku życia, cierpiących na więcej niż dwie choroby przewlekłe. Okazuje się, że aż 58% osób starszych

konieczności. Głosy nielicznych ekspertów krytykujących decyzje urzędników nie miały znaczenia. Jeśli zaś pojawiało się podejrzenie złamania prawa, prokuratura wykazywała nadzwyczajną staranność i do dziś większość postępowań toczy się nieśpiesznie.

Politycy, których działania zostały krytycznie ocenione przez inspektorów NIK, mogą spać spokojnie. Wszak w ich ocenie NIK stała się instrumentem walki politycznej. Dlatego nie spodziewam się, by wyniki kontroli działań rządu w związku z COVID-19 miały jakikolwiek wpływ na poprawę sytuacji w ochronie zdrowia.

Jako społeczeństwo mamy nadzieję, że w przychodniach i szpitalach będzie lepiej, lecz szykujemy się na to, że będzie gorzej. I nie jest to zależne od tego, kto aktualnie rządzi, bo w przeszłości przecież nie było słodziej. Pozostaje nam wiara, że kolejna epidemia nie pojawi się nad Wisłą zbyt szybko i nie zastanie nas jak zwykle nieprzygotowanych.

Marek Czarkowski
m.czarkowski@tygodnikprzeglad.pl

Olsztyński pomnik na wokandzie

IPN i władza PiS dążą do jego zburzenia, czemu sprzeciwiają się miejscowy samorząd i grono społeczników

Marek Książek

Nie ustaje zamieszanie wokół pomnika dłuta Xawerego Dunikowskiego w Olsztynie. Naciski na zburzenie monumentu, odsłoniętego w 1954 r. jako pomnik Wdzięczności Armii Czerwonej, nasiliły się z chwilą transformacji ustrojowej. Wtedy zmieniono jego nazwę na pomnik Wyzwolenia Ziemi Warmińsko-Mazurskiej, a miejscowi ze względu na formę nazywali go pejoratywnie szubienicami. Po ogłoszeniu opinii IPN, że to symbol zniewolenia i komunizmu, wydawało się, że nic już nie uchroni pomnika przed likwidacją. Zwłaszcza że prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz wystąpił z wnioskiem o wykreślenie monumentu z rejestru zabytków. Aż tu nagle zmienił front, bo w zleconym przez niego sondażu okazało się, że większość mieszkańców sprzeciwia się zburzeniu (pisaaliśmy o tym w tekście „Olsztyńskie »szubienice« skazane na zburzenie”, PRZEGLĄD z 20.02.2023).

Z pomocą prawnicowcom dążącym do usunięcia obiektu pośpieszył minister kultury i dziedzictwa narodowego Piotr Gliński, a jego dyspozycje zaczął realizować mianowany przez PiS wojewoda warmińsko-mazurski Artur Chojecki. Nakazali oni prezydentowi Grzymowiczowi usunięcie pomnika. Ten jednak odwołał się do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Warszawie, który w lipcu br. nakazał wstrzymanie „wyroku” obecnej władzy do czasu merytorycznego rozstrzygnięcia sporu. Nastąpiło ono 13 września br. Orzeczenie WSA okazało się dla samorządu miasta niekorzystne. Sąd oddalił skargę gminy Olsztyn, tym samym podtrzymując decyzję ministra Glińskiego i wojewody Chojeckiego nakazującą



zdekomunizowanie tego miejsca, czyli usunięcie pomnika (w grę wchodzi jego przeniesienie w inne miejsce, ale istnieje groźba, że przy demontażu obiekt się rozpadnie).

W dniu wydania tego postanowienia Bożena Przyłuska, kandydatka na posłankę z listy Lewicy, zorganizowała przed siedzibą wojewody konferencję, nie kryjąc rozczarowania wyrokiem.

Wojna o pomnik Dunikowskiego ma charakter lokalny, ale jak w soczewce skupia się tu ogólnopolski spór o sens historii i cel jej przywoływania w przestrzeni publicznej.

– Miałam... mieliśmy nadzieję, że ta krucjata zostanie dziś zatrzymana, ale wyrok niestety rozczarowuje – sąd nie widzi przeszkód, by zniszczyć ten ważny dla mieszkańców Olsztyna i polskiej historii obiekt, świadectwo historii, na mocy pisowskiej ustawy dekomunizacyjnej. Na szczęście wciąż istnieje droga odwoławcza,

Konferencja przed siedzibą wojewody. Od lewej: Renée Traba, Marta Kamińska, Bożena Przyłuska i Agata Szerszeniewicz.

więc nie tracimy nadziei i liczymy na to, że miasto Olsztyn złoży skargę kasacyjną do NSA – przekazała mediom. I dodała: – Historia w wydaniu tej władzy to zafałszowana, jedno-wymiarowa i czarno-biała opowieść, która sprowadza się do ucinania dialogu sloganami o „wielkiej Polsce”, „prawdziwych Polakach” i „Chrystusie narodów”. Nie ma w niej miejsca na wątpliwości, rozmowę i analizę niuansów. Wojna o pomnik Dunikowskiego ma charakter lokalny, ale jak w soczewce skupia się tu ogólnopolski spór o sens historii i cel jej przywoływania w przestrzeni publicznej. Czy robimy to w imię prawdy, edukacji i zaprowadzenia pokoju, czy dla wygrania wojny z przeciwnikiem politycznym. To zupełnie odmienne i rozłączne motywacje.

Kandydatkę wsparła mec. Marta Kamińska, olsztyńska radna, działaczka KOD, która podkreśliła: – To my, mieszkańcy Olsztyna, powinniśmy decydować o naszej przestrzeni publicznej, co powinno się w niej znajdować, a co powinno zostać

usunięte. Nie chcemy, żeby o tym decydował za nas prezes czy urzędnicy z partyjnego nadania. Bardzo cieszy mnie, że prezydent Olsztyna odwołał się od decyzji ministra kultury o usunięciu pomnika Dziedzictwa Narodowego i mam nadzieję, że wniesie skargę nadzwyczajną na dzisiejszy wyrok do NSA.

Taki ma istotnie zamiar, o czym powiadomiła nas rzeczniczka prasowa ratusza. Do czasu rozstrzygnięcia skargi przez NSA obowiązuje postanowienie WSA z lipca br. o wstrzymaniu decyzji wojewody oraz ministra Glińskiego dotyczącej obowiązku usunięcia pomnika.

Bożena Przyłuska ma nadzieję, że wyższa instancja rozstrzygnie skargę po myśli większości mieszkańców Olsztyna, którzy przyzwyczaili się do obecności monumentu w środku miasta. Kandydatce Lewicy do Sejmu, która w programie wyborczym ma hasło rozdziału Kościoła od państwa, podoba się też „Projekt dla pokoju” autorstwa prof. Roberta Traby, o czym pisaliśmy w artykule „Walka o pomnik dłuta Dunikowskiego” (PRZEGLĄD z 24.07.2023). Pomysł profesora polega na stworzeniu swego rodzaju muzeum pod chmurką, ukazującego tragiczną nieraz historię miasta i regionu, w tym skutki totalitaryzmu hitlerowskiego i stalinowskiego. Jeśli pomnik przetrwa burzę, jest szansa na realizację projektu, jeśli nie – pozostanie rozczarowanie, że tej szansy nie wykorzystano. Warto dodać, że sam prof. Traba musiał wyjechać za granicę i nie był obecny na wspomnianej konferencji pod urzędem wojewódzkim (po drugiej stronie ulicy stoi sporny pomnik), ale w jego imieniu przybyła siostra Renée Traba. Poparcie dla zachowania monumentu wygłosiła także Agata Szerszeniewicz ze stowarzyszenia Działaj Olsztyn.

„Bezsprzecznie sporny pomnik powstał w Olsztynie w okresie PRL. Jednakże w chwili obecnej w żaden sposób nie upamiętnia ani tym bardziej nie propaguje ustroju komunistycznego. Aktualnie służy stworzeniu opowieści historycznej/edukacyjnej oraz stanowi część ekspozycji artystycznej wokół postaci Xawerego Dunikowskiego”, podkreśliły władze miasta w wydanym oświadczeniu. Jakiś czas temu na polecenie Grzymowicza skuto z monumentu symbole sierpa i młota, więc w ocenie ratusza już nie propaguje on komunizmu, może zatem pozostać na placu Dunikowskiego, wybitnego rzeźbiarza i więźnia obozu koncentracyjnego Auschwitz.

Wielka płyta przeżyła lokatorów

Walka PiS z dziadostwem – jak mówią – wielkiej płyty może się skończyć na posadzeniu kilku drzew

Ewa Smolińska-Borecka

W spocie reklamowym PiS premier Morawiecki grzmi: „Koniec z dziadostwem!”. Owo dziadostwo to – zdaniem premiera – budynki z wielkiej płyty. Ktoś naiwny mógłby wziąć jego słowa za zapowiedź, że PiS dom po domu rozbierze bloki z wielkiej płyty, a w ich miejsce postawi budynki wykonane inną metodą, np. tradycyjną, czyli z użyciem cegieł. I że mieszkańców do tych nowych budynków wprowadzi. Brzmi to abstrakcyjnie, ale przecież sama propozycja PiS jest abstrakcyjna. No bo jak to będzie: dadzą lokatorom wielkiej płyty mieszkania w budynkach NIE z wielkiej płyty czy nie dadzą? Nie dadzą! Jak zwykle pieniądze zapewne zostaną wyprowadzone z budżetu, by poprawić warunki mieszkaniowe swoim. Bo może akurat ci swoi do tej pory nie pokusili się o przeprowadzenie modernizacji ich bloku.

Budynek ma trzy piętra. Na pierwszy rzut oka niczym się nie wyróżnia. Ale to tylko pozory. Jego niezwykłość polega na tym, że jest to pierwszy w Warszawie budynek wykonany w technologii wielkiej płyty. Być może został oddany do użytku już w 1958 r., więc teraz miałby 65 lat. Ale inne źródła podają, że pierwsi lokatorzy wprowadzili się tam w 1960 r., dokładnie 28 lutego, w niedzielę. I że byli to Krystyna i Zbigniew Boguccy. 13 lat temu opowiedzieli dziennikarzowi o przeprowadzce do nowego lokum i o tym, że pani Krystyna z wrażenia i ze wzruszenia

usiadła na podłodze w przedpokoju i zapłakała. Monika i Elżbieta, członkinie Zarządu Wspólnoty Mieszkaniowej Wolska 115a, są pewne, że działo się to w roku 1960, choć ich nawet nie było na świecie. Jeden z pierwszych lokatorów bloku, już nieżyjący, opowiadał im o tym. I o tym, jak na uroczystość oddania do użytku budynku przyjechali nie tylko miejscowi oficjele, ale także goście z ZSRR, Węgier i innych państw bloku socjalistycznego.

Jeśli pierwsi lokatorzy faktycznie wprowadzili się do budynku 28 lutego 1960 r., to ten fakt powinien być odnotowany przez ówczesną prasę. Przeglądam numery kilka dni sprzed tej daty i kilka dni późniejsze. „Życie Warszawy”, „Sztandar Młodych”, „Express Wieczorny”, „Trybuna Ludu” – żadna z tych redakcji o tym nie wspomina.

W poszukiwaniu dodatkowego elektoratu premier Morawiecki, podobnie jak cztery lata temu, skierował wzrok na mieszkańców budynków z wielkiej płyty. I podobnie jak wtedy obiecuje im pieniądze. Ma to być podobno 5 mld zł rocznie. W domach z wielkiej płyty mieszka ponad 8 mln osób, z czego znaczna część ma czynne prawo wyborcze. Dlatego – z punktu widzenia PiS – warto zaważać o ich przychylności. Pi-sowski program nazywa się „Przyjazne osiedle”. Za te zapowiadane pieniądze mieszkańcy domów z wielkiej płyty będą mogli modernizować budynki, czyli m.in. instalować windy, wykonywać termomodernizację, budować miejsca parkingowe czy dofinansowywać tereny zielone. ▶

- Na razie to jedynie hałaś. Tymczasem mieszkańcy bloków od dawna mogą korzystać z różnych form pomocy finansowej. Oczekują też na środki unijne z Krajowego Planu Odbudowy, o które PiS jakoś nie występuje.

Szczęście razy 32

Budynek powstał na gruntach miejskich, podobnie jak cztery sąsiednie, wykonane w tej samej technologii wielkiej płyty, ale oddane do użytku nieco później. Ten pierwszy blok przeznaczono dla pracowników Przedsiębiorstwa Elektryfikacji Rolnictwa. Obok mieszkali podobno pracownicy Ministerstwa Handlu Wewnętrznego i Mody Polskiej. Kolejne budynki po sąsiedzku są komunalne. Każdy z pięciu bloków ma do dyspozycji tylko grunt w obrysie domu i pasek wokół o szerokości około pół metra.

Dom przy Wolskiej 115a ma cztery klatki i 32 mieszkania. Standardowe lokale mają po niemal 44 m kw. i trzy pokoje. Projektanci wymyślili, że na północ będą wychodziły okna dwóch niedużych pokoiów, a na południe – dużego pokoju, przedniego, z wejściem do kuchni, także z południową ekspozycją. Teraz, ponad

tuż po jego oddaniu do użytku. Miał wtedy trzy lata i nie pamięta, co było przed przeprowadzką. Potem chodził do pobliskiej szkoły, która sąsiadowała z ich budynkiem. Bawił się na placu zabaw przed domem, gdzie były karuzela, huśtawki i piaskownica. Teraz zamieszkała tu jego córka, Katarzyna. Właśnie wróciła z zakupów. Kilkuletni synowie pomagają jej przenieść torby z samochodu do klatki schodowej.

– Jestem zadowolona z mieszkania w tym budynku – mówi Katarzyna. – Mieszkłam tu od urodzenia z rodzicami i młodszymi o trzy lata siostrami bliźniaczkami. Do żłobka nie chodziłam, bo mama opiekowała się siostrami, więc także mną. Za to chodziłam do przedszkola, niedaleko, przy Wieluńskiej. Podobnie jak wcześniej tata chodziłam do sąsiedniej podstawówki. Wychowawczynią była pani, która kiedyś uczyła tatę. A szkołę średnią też miałam niedaleko. Skończyłam liceum ekonomiczne przy ulicy Chłodnej.

Katarzyna nie pamięta, żeby były jakieś problemy wynikające z tego, że blok został zbudowany z wielkiej płyty. – Kilka lat temu dom został ocieplony, wykonano nową elewację – wymienia. – Na szczęście nie ma u nas szczurów ani insektów. Martwi



mieszkało 1,3 mln osób, a więc jedynie ok. 40% mniej niż obecnie. Po wybuchu II wojny światowej, we wrześniu 1939 r., część mieszkańców w obawie przed wojskami niemieckimi opuściła miasto. W rezultacie liczba ludności spadła do 900 tys. Po upadku powstania warszawskiego ok. 550 tys. osób zostało wypędzonych z domów przez Niemców i skierowanych do obozu przejściowego w Pruszkowie. Już w styczniu 1945 r., zanim jeszcze zakończyła się wojna, warszawiacy zaczęli wracać do miasta. Liczba ludności stolicy wynosiła wówczas 420 tys. Szczególnie Warszawa lewobrzeżna została pokiereszowana, a wiele budynków było zniszczonych niemal całkowicie. To jednak nie zniechęcało ludzi do powrotu.

Instytut Budownictwa Mieszkaniowego w 1946 r. oraz w 1948 r. przeprowadził ankiety wśród pracowników wybranych czterech warszawskich zakładów, by się przekonać, jak mieszkają warszawiacy i jak poszczególnym grupom społecznym zmienia się sytuacja mieszkaniowa. W 1946 r. okazało się, że 47%

W domach z wielkiej płyty mieszka ponad 8 mln ludzi.

sześć dekad od postawienia budynku, można kręcić nosem na wielkość mieszkań czy rozkład pomieszczeń, ale wtedy bez wątplenia był to powód do bezgranicznego szczęścia.

Z 32 małżeństw, które otrzymały mieszkania, większość już tu nie mieszka. Ludzie poprzeprowadzali się, ale częściej zwyczajnie pومیęrali. Z najstarszych nadal jest jedno małżeństwo, trzy czy cztery wdowy, a jeden przeszedł 90-letni lokator wyprowadził się. Wiekowi lokatorzy nie chcą rozmawiać o tamtych czasach, więc na opowieści z pierwszej ręki nie ma co liczyć. Jakies 10 mieszkań jest wynajmowanych. W innych mieszkają kolejne pokolenia, czyli dzieci lub wnuki pierwszych lokatorów, albo nowi nabywcy lokali.

Grzegorz jest emerytem. Wprowadził się do budynku z rodzicami,

mniej trochę, że teraz nie ma placu zabaw na podwórku. Ale dzieci inaczej spędzają czas niż my przed laty i trzeba je wypychać na dwór. Kiedyś obok był parking, ale w latach 90. w tym miejscu postawiono dom. Szkoda, bo trudno gdzieś zostawić samochód, a wokół są parkingi płatne.

Katarzyna ma ogromny sentyment do mieszkania, bo przecież spędziła tu całe dzieciństwo.

Mozolne budowanie z cegły rozbiórkowej

W wyzwolonej Warszawie budynki były zrujnowane w takim stopniu, że wydawało się, iż miasto nigdy nie zostanie odbudowane. Z powodu zniszczeń wojennych w stolicy zachowała się zaledwie jedna piąta poprzedniej liczby izb. W 1938 r. w stolicy



Pierwszy w Warszawie budynek wykonany w technologii wielkiej płyty, ul. Wolska 115a.



budynki z elementów prefabrykowanych. Zdecydowano o budowie domów z wielkiej płyty. Dla mnóstwa ludzi bez mieszkań była to nadzieja na własny kąt, w 1960 r. Warszawa miała już 1 mln mieszkańców. I tak powstał pierwszy w stolicy wielkopłytyowy blok – przy Wolskiej 115a.

Po latach na swoim

Pod koniec lat 60. zlikwidowano Przedsiębiorstwo Elektryfikacji Rolnictwa. Budynek zakładowy tej firmy stał się komunalnym. Wiele lat później pojawiła się możliwość wykupu mieszkań z dużą bonifikatą, z czego skorzystało 29 lokatorów. Powstała wspólnota mieszkaniowa zarejestrowana w 2002 r.

– Do dziś trzy lokale są nadal mieszkaniami komunalnymi – mówi Monika z Zarządu Wspólnoty Mieszkaniowej Wolska 115a. – Z tego dwa stoją puste, bo lokatorzy zmarli. W Urzędzie Dzielnicowym Wola twierdzą, że nie mają pieniędzy na remont tych mieszkań, a jest on konieczny

przed przydzieleniem lokalu nowemu mieszkańcowi. Ale urząd ponosi opłaty czynszowe, więc jako wspólnota nie jesteśmy z tego powodu stratni. Jesteśmy małą wspólnotą, więc trudno nam zebrać pieniądze na remonty lub modernizacje. Na dodatek znaczna część mieszkańców to emeryci, bo wprawdzie większość pierwszych lokatorów budynku już nie żyje, ale w wieku emerytalnym są ich dzieci.

Monika i Elżbieta stanowią pierwszy kobiecy zarząd tej wspólnoty. Do tej pory byli mężczyźni: dwóch spośród pierwszych lokatorów budynku, jeden z drugiego pokolenia. Ci najstarsi odeszli, młodszy się wyprowadził. Ludzie cztery lata temu wybrali Monikę i Elżbietę. Elżbieta podkreśla, że starsi lokatorzy ją znali, bo od najmłodszych lat mieszkała w sąsiednim wielkopłytyowym budynku, przy Wolskiej 117. Pierwsi lokatorzy z Wolskiej 115a znali ją z dwóch powodów: ►

badanych nie ma własnego mieszkania, lecz mieszka z innymi rodzinami. Rodziny, które mieszkają samodzielnie, a było ich 52%, zwykle zamieszkują lokale jednoizbowe. Średnia liczba osób przypadających na jedną izbę wynosiła 2,3. Normy mieszkaniowe ograniczały powierzchnię mieszkań w zależności od liczby osób w rodzinie. Część mieszkańców żyła w lokalach z obcą rodziną. Dokwaterowywano rodziny, nie pytając o zgodę tych, którzy już zasiedlali dane mieszkanie. Zjawiskiem normalnym było wówczas to, że w lokalu z trzema pokojami mieszkali trzy obce rodziny, które korzystały ze wspólnej kuchni i łazienki. Niekiedy zdesperowani dotychczasowi lokatorzy grozili, że będą bronić swojego mieszkania przed obcymi i staną w drzwiach z siekierą, by zapobiec dokwaterowaniu.

W początkowych latach po wojnie w miastach głównie remontowano budynki. W Warszawie wiele było

zniszczonych w takim stopniu, że konieczne było budowanie od nowa. Ponieważ brakowało cegieł, na Ziemiach Odzyskanych, m.in. we Wrocławiu, rozbierano niepotrzebne, jak się wydawało, budynki, a cegły przewożono do Warszawy. W roku 1950 Warszawa miała 803 tys. mieszkańców. Przy ogromnym głodzie mieszkaniowym kluczowe było jak najszybsze wzniesienie nowych osiedli. W latach 1948-1949 na terenach przylegających do Starego Miasta powstał Mariensztat, w latach 1950-1952 w centrum Marszałkowska Dzielnica Mieszkaniowa, w latach 1953-1957 osiedle Łatawiec między Alejami Ujazdowskimi a Marszałkowską. Osiedla te, podobnie jak w innych dzielnicach Warszawy, zbudowano metodą tradycyjną.

Okazało się jednak, że to tempo odbudowy stolicy nie wystarczy do zaspokojenia potrzeb mieszkaniowych, bo liczba warszawiaków wciąż rosła. Stąd decyzja, by stawiać

► bo byli zakolegowani z jej rodzicami, a ona знаła się z ich dziećmi.

15 lat temu Elżbieta i jej siostra odziedziczyły mieszkanie po rodzicach. Ona dostała pieniądze za pół mieszkania, dołożyła pewną kwotę i kupiła lokum właśnie w budynku przy Wolskiej 115a. Monika to „nowy nabytek” wspólnoty. Wprowadziła się w 2017 r. Wcześniej mieszkała na Bielanych. Nigdy nie chciała mieszkać na Woli ani na parterze. A kupiła mieszkanie właśnie tu, i to na parterze. Zaważyły względy finansowe. – Cena nie była wygórowana, bo mieszkanie wymagało generalnego remontu – wyjaśnia. – Proszę sobie wyobrazić, że wyposażenie lokalu było takie jak w dniu oddania budynku do użytku! A przecież minęło już prawie pół wieku!

Monika trochę kręci nosem na okoliczną infrastrukturę: – Nie ma w pobliżu bankomatu, sklepu

ma powstać nowy budynek mieszkalny, bo dotychczasowy właściciel gruntu – dawne Stołeczne Przedsiębiorstwo Energetyki Ciepłej albo dzielnica – sprzedał ziemię deweloperowi. Wyrośnie więc prawdopodobnie sześciopiętrowy budynek, taki jak przy Wolskiej 117, a o trzy piętra wyższy od tego przy Wolskiej 117a, i bez wątplenia będzie oddalony od istniejących budynków o minimalną odległość. Starzy lokatorzy osiedla z wielkiej płyty zamierzają walczyć o to, by w ich sąsiedztwie nie kwitła patodeweloperka.

Obie członkinie zarządu mają natomiast wpływ na to, co się dzieje w ich wspólnocie. Wcześniej, za rządów męskiej ekipy, wymieniono przewody gazowe i ocieplono budynek. Przed rozpoczęciem prac lokatorzy mający loggie mogli zgłosić chęć ich zabudowy. Kilku się zdecydowało, dzięki czemu powięk-

na klatkach i w piwnicy. To koszt ok. 120-150 tys. zł.

A jeszcze są koszty, które powinna ponieść dzielnica. Bo tereny wokół budynków są własnością samorządu. Urząd dzielnicy odpowiada więc za utrzymanie trawnika, grabienie liści, odtworzenie placu zabaw dla dzieci i remont drogi prowadzącej do garaży. Elżbieta i Monika kontaktują się w tych sprawach z urzędem, na razie jednak niewiele udało im się załatwić. Od czasu do czasu pojawi się ekipa porządkowa. A kiedy członkinie zarządu organizują prace społeczne, by ogarnąć najbliższe otoczenie, przychodzą one dwie, mimo dolegliwości kręgosłupa, i jedna młoda kobieta.

– Bardziej możemy opowiadać o teraźniejszości niż o przeszłości – przyznaje Elżbieta. – Pięć czy sześć lat temu to jeszcze miałyby pani z kim porozmawiać o początkach tego budynku. Teraz już nie...

Elżbieta i Monika marzą, by na czterech klatkach schodowych zainstalować windy. Kiedy żona pana Grzegorza chorowała, z trudem wychodziła pod jego opieką na spacer. Pozostałe wiekowe osoby też mają problem z opuszczaniem mieszkań. Dlatego kobiety z zarządu wspólnoty zainteresowały się propozycją PiS nazwaną „Przyjazne osiedle”. Choć nie mają przekonania, czy jakiegokolwiek pieniądze ich wspólnota by dostała.

Epilog

Program PiS „Mieszkanie+” nie wypalił i został zamknięty. Tysiące osób w Warszawie oczekują na mieszkanie. Rząd nie potrafi sobie poradzić z problemem, umie jedynie obrażać. Bo jak można ponad 8 mln Polaków powiedzieć, że ich dom to dziadostwo? Owszem, budynki powstały z wielkiej płyty, ale dzięki temu rozwiązaniu ich rodzice czy dziadkowie mieli szansę na samodzielne mieszkanie. A oni od lat w ramach wspólnoty mieszkaniowej lub spółdzielni o te budynki dbają, by były w jak najlepszym stanie technicznym. I nie potrzebują fikcyjnej pomocy.

Ewa Smolińska-Borecka
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Ponad sześć dekad od postawienia budynku można kręcić nosem na wielkość mieszkań czy ich rozkład, ale wtedy to był powód do bezgranicznego szczęścia.

mięsnego ani większego sklepu spożywczego, jedynie osiedlowy Groszek, brakuje sklepu z kosmetykami czy z bielizną.

Elżbieta nie narzeka. Może dlatego, że tu się wychowała i z tym miejscem jest związana emocjonalnie. – Na nowym osiedlu, które powstało po przeciwnej stronie ulicy Kasprzaka, jest wiele nowych sklepów – zwraca się do Moniki. – Między innymi sklep sieci Rossmann. Ja mam tylko takie spostrzeżenie: kiedy w ostatnich latach powstało nowoczesne osiedle po drugiej stronie Kasprzaka, zauważyliśmy, jak tłoczno się zrobiło w okolicy. Kiedy wybieramy się na spacer do parku Sowińskiego naprzeciwko naszego osiedla, spotykamy mnóstwo ludzi. Kiedyś tak nie było.

Na powstawanie nowych osiedli w pobliżu ich wspólnoty ani na tłok w pobliskich miejscach publicznych Elżbieta i Monika nie mają wpływu. Nawet na to, że między sąsiednimi budynkami, przy Wolskiej 117 i 117a, gdzie do tej pory był pawilon SPEC,

szyli nieduże kuchnie. Po zakończeniu termomodernizacji dobudowy nie widać.

Koniec tego roku będzie bardzo pracowity dla zarządu. Wspólnotę czeka bowiem przegląd budynku, który należy wykonać raz na pięć lat. Sprawdzone zostaną dach, mury, piwnice, podmurówki. Do kontroli są też wodomierze ciepłej i zimnej wody w mieszkaniach. Niedawno wymienione zostały przewody kanalizacyjne w piwnicach, co wspólnota udźwignęła z trudem. – Ta wymiana kosztowała nas 120 tys. zł – mówi Elżbieta. – Ciągłe są awarie instalacji elektrycznej, światło wyśiada na klatce, a w konsekwencji w mieszkaniach. Ostatnio wszystkie bezpieczniki na klatkach zostały wymienione. Ale to nie wystarczy, na jednej z klatek niedawno interweniowałyśmy trzy razy. Jeżeli ktoś włączy większe urządzenie, instalacja nie wytrzymuje. Sześć dekad temu była przystosowana do dużo mniejszych poborów prądu. Chcemy zrobić wymianę przewodów elektrycznych

“

**To konstytucja
praw kobiet
doświadczających
przemocy.**

Unikalny zbiór diagnoz.

**Pokazuje źródła
przemocy i konkretne
rozwiązania.**

**Określa nasze,
obywateli i obywaterek,
prawa oraz obowiązki
rządzących.**



**dr. Sylwia
Spurek**

Posłanka do PE
była Zastępczyni RPO



Polonia chce głosować

W nadchodzących wyborach weźmie udział nawet pół miliona Polaków przebywających za granicą



Kolejka głosujących w siedzibie ambasady i konsulatu RP w Paryżu, wybory do Parlamentu Europejskiego w 2019 r.

Zuzanna Muszyńska

W zbliżających się wyborach parlamentarnych Polonia zgłasza 402 lokalach wyborczych, zgodnie z wydanym 12 września przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych projektem rozporządzenia w sprawie utworzenia obwodów głosowania dla obywateli polskich przebywających za granicą. MSZ uważa, że liczba obwodów odpowiada aktualnym potrzebom Polaków poza krajem.

Najwięcej obwodowych komisji wyborczych powstanie w państwach, w których przebywa największa liczba Polaków: w Wielkiej Brytanii 75 komisji, w tym 19 w Londynie, w Stanach Zjednoczonych 52 komisje, a w Niemczech 42 komisje, niemal dwa razy więcej niż w 2019 r. Więcej niż 10 obwodów powstanie we Francji (18), w Hiszpanii (13), w Kanadzie (12), w Irlandii (11) i w Norwegii (11). W Belgii – 10.

Polacy zgłaszają też m.in. w Arabii Saudyjskiej, Omanie, Iranie, Jordanii, Kolumbii, Etiopii, Kenii, Mongolii, Panamie, Senegalu i Uzbekistanie.

W 2019 r. Polonia oddała 300 tys. głosów w wyborach parlamentarnych.

Opozycja i środowiska polonijne do ostatniej chwili przekonywały resort spraw zagranicznych, że komisji musi być więcej.

W wyborach prezydenckich w 2020 r. było to już ponad 400 tys. Można się spodziewać, że w nadchodzących wyborach weźmie udział nawet pół miliona Polaków przebywających za granicą.

**Panu Bogu świeczkę,
Polonii komisję**

Jeszcze na początku września z MSZ dochodziły sygnały, że obwodów będzie ok. 360, czyli ledwie o 40 więcej niż w 2019 r. Polonia

wnioskowała o 431 punktów wyborczych. Długo oczekiwany komunikat o stworzeniu 402 obwodów media oceniły pozytywnie („presja ma sens”), gdyż jest to wzrost o ponad 25% w odniesieniu do 2019 r. Czy to wystarczy?

Kamil Arendt, działacz polonijny z Londynu, założyciel Polonia-Express, uważa, że absolutnie nie: – Zwiększenie liczby komisji z 314 do 402 to sztuczka kuglarska. Nie zwiększa ono dostępności do punktów wyborczych, a jego głównym celem jest uniknięcie sytuacji przeciążenia komisji w największych skupiskach polonijnych i przekroczenia ustawowego czasu 24 godzin na policzenie głosów. Marnuje się więc zasoby na obejście przepisu art. 230 par. 2 Kodeksu wyborczego, którego zapis sam w sobie jest niekonstytucyjny, niepotrzebny, szkodliwy i niespotykany nigdzie na świecie.

Chodzi o konieczność przeliczenia głosów w zaledwie 24 godziny, w narzuconym przez znowelizowany Kodeks wyborczy zmienionym trybie prac komisji, co polegać ma na tym, że każdy członek komisji musi

obejrzeć każdą kartę wyborczą. Jeśli choć jeden oddany w danej komisji głos nie zostanie zliczony w terminie, wybory w tej komisji „uznaje się za niebyte”, a wszystkie inne głosy zostają unieważnione.

Opozycja i środowiska polonijne do ostatniej chwili przekonywały resort spraw zagranicznych, że komisji musi być więcej, gdyż będą dodatkowo obciążone zliczaniem głosów z referendum oraz limitem czasowym 24 godzin na kolektywne przeliczenie wszystkich głosów.

Warto przypomnieć, że Polonia londyńska przeprowadziła wiosną tego roku symulację w celu zbadania wydolności nowego systemu zliczania głosów. Wynik: w ciągu 24 godzin komisja zdąży zliczyć maksymalnie 1,6 tys. kart do Sejmu i Senatu

Małgorzata Hallewell z organizacji Polonia Głosuje, inicjatorka symulacji wyborczej w Londynie i koordynatorka Obywatelskiej Kontroli Wyborów za granicą, podchodzi do nowej liczby komisji z umiarkowanym optymizmem: – Bardzo się cieszymy

zamykane są na pięć dni przed wyborami, gdy niemożliwe jest już utworzenie nowych obwodów ani przeniesienie wyborców do mniejszych komisji. W 2020 r. cała Polska czekała na wyniki z Manchesteru, gdzie do każdej z dwóch OKW zapisało się ponad 20 tys. wyborców. Umęczone komisje ledwo zdążyły ustalić wyniki w ciągu dopuszczonych wtedy 48 godzin, co demonstruje, jak trudno utworzyć właściwą liczbę obwodów i uniknąć błędów organizacyjnych”.

Dodatkowe komisje to mydlenie oczu. Polonia zasługuje na poważne potraktowanie, czyli zniesienie limitu czasowego na policzenie głosów

(bez kart referendalnych). Tymczasem w 2019 r. spośród wszystkich 314 zagranicznych komisji aż 51 przekroczyło limit 2 tys. zapisanych wyborców (16%), podczas gdy w kraju było to jedynie 0,7%.

To utrudnianie głosowania Polonii, która jest zdecydowanie antypolska. W wyborach prezydenckich w 2020 r. Andrzeja Dudę wybrała jedna czwarta (25,9%), Rafała Trzaskowskiego – trzy czwarte (74,1%) Polaków za granicą. Trzaskowski dostał prawie 201 tys. głosów więcej niż obecny prezydent. Wybory przegrał z Dudą o 422 tys. głosów, czyli 211 tys. głosów na jego korzyść zmieniłoby wynik. Przy tak wyrównanych szansach warto się bić o zagraniczne głosy.

Kamil Arendt zauważa, że w wielu przypadkach Polonia straciła komisje, które istniały cztery lata temu, a nowych lokalizacji jest o wiele za mało. – Wiele próśb od lokalnych społeczności polskich zostało przez konsulaty zignorowanych – mówi – choć często oferowały one gotowe lokale i kandydatów do komisji. MSZ skupiło się na powieleniu liczby komisji pod tym samym adresem – czasem do trzech czy nawet czterech (jak w Londynie), ale to zupełnie nie ułatwia Polonii dotarcia do urn, a jedynie poprawia statystyki. Co gorsza, nie gwarantuje, że w żadnej komisji nie będzie wpadki, bo liczba wyborców i tak nie rozkłada się po równo. Dodatkowe komisje to mydlenie oczu. Polonia zasługuje na poważne potraktowanie, czyli zniesienie limitu czasowego na policzenie naszych głosów, a także przywrócenie możliwości głosowania korespondencyjnego, która jest standardem w Europie i na świecie.

z każdej dodatkowej komisji, bo to zwiększa szanse na udział w głosowaniu wielu osób, zwłaszcza teraz, kiedy pozbawiono nas głosowania korespondencyjnego. Cieszy również fakt, że w Zjednoczonym Królestwie, a zwłaszcza w Londynie, zwiększono liczbę komisji w dzielnicach, gdzie podczas ostatnich wyborów przypadało po kilka tysięcy wyborców na komisję. Niestety, nie wiemy, czy to wystarczy, by gwarantować policzenie wszystkich głosów w ustawowym terminie 24 godzin. Zakładamy jednak większą frekwencję. Ilu wyborców przypadnie na jedną komisję, do wiemy się dopiero po zamknięciu

Głosowanie korespondencyjne nie dla zagranicy

Reprezentanci środowisk polonijnych bezskutecznie apelowali o przywrócenie głosowania korespondencyjnego na posiedzeniach sejmowej Komisji Łączności z Polakami za Granicą w styczniu br., gdy prace nad nowelizacją ustawy jeszcze trwały.

Właśnie obywatelom głosującym za granicą jako pierwszym umożliwiono głosowanie korespondencyjne w Kodeksie wyborczym

MSZ skupiło się na powieleniu liczby komisji pod tym samym adresem, ale to nie ułatwia Polonii dotarcia do urn, a jedynie poprawia statystyki.

rejestracji 10 października. Ze względu na jednoczesne głosowanie w referendum powinno to być mniej niż 2 tys. osób, a najlepiej nie przekraczać 1,5 tys. Czy tak się stanie, tego nie wiemy.

Zarząd KOD UK wystosował na początku maja 2023 r. list otwarty do przewodniczącego Państwowej Komisji Wyborczej Sylwestra Marciniaka. Oto jego fragment: „Organizacje polonijne popierają postulat rozbudowania sieci punktów głosowania. Nie gwarantuje to wcale, że głosy uda się terminowo policzyć, gdyż wyzwaniem jest nierówna dystrybucja wyborców. W najmniejszych komisjach – jak w Pjongjangu – uprawnionych do głosowania jest kilkanaście osób. W największych – jak w londyńskiej dzielnicy Ealing – ponad 6 tys. Wyborcy sami wybierają, do której komisji się zapiszą, a listy głosujących

z 5 stycznia 2011 r. Kilka miesięcy później przyznano to samo prawo osobom z niepełnosprawnościami, a w 2014 r. wszystkim wyborcom. PiS zlikwidowało głosowanie korespondencyjne w 2018 r., pozostawiając tę możliwość jedynie osobom z niepełnosprawnościami. W wyborach prezydenckich 2020 r. przywrócono jednorazowo głosowanie korespondencyjne ze względu na covid. W krajach z najliczniejszą Polonią – w Wielkiej Brytanii, USA, Niemczech czy Francji – była to jedyna możliwa forma głosowania. W II turze skorzystało z niej 95% wyborców zagranicznych.

Jak wynika z ekspertyzy wykonanej dla Kancelarii Senatu RP przez prof. Bartłomieja Michalakę z Wydziału Nauk o Polityce i Bezpieczeństwie UMK w Toruniu, głosowanie korespondencyjne przyjęło się wśród Polaków głosujących za granicą, ▶

► w przeciwieństwie do wyborców krajowych. Prof. Michalak wskazuje, że stale rosnąca frekwencja wyborcza wśród Polonii jest podstawowym wyzwaniem, przed którym stoi polski system organizacji wyborów za granicą, i w związku z tym należałoby niezwłocznie przywrócić w Kodeksie wyborczym możliwość

liczba i geografia w poszczególnych krajach są optymalne. Alternatywnym rozwiązaniem byłoby zrezygnowanie z tradycyjnego głosowania w lokalach za granicą na rzecz głosowania korespondencyjnego z jedną, odpowiednio zwiększoną kadrowo, obwodową komisją wyborczą ds. głosowania korespondencyjnego,

KO do Senatu. „Mając na uwadze m.in. sytuacje związane z organizacją wyborów za granicą, uważamy, że w Polsce potrzebna jest osoba, która będzie stanowić pierwszy kontakt dla Polonii, do której będzie można się zwrócić z prośbą o pomoc. Reprezentowałaby obywateli polskich żyjących za granicą, byłaby w ciągłym dialogu z instytucjami i rządem”, mówił były rzecznik praw obywatelskich na konferencji prasowej w Sejmie RP 12 września.

Prof. Bodnar przypomniał, że na całym świecie mieszka przeszło 21 mln osób z polskimi korzeniami, 5-6 mln to obywatele Polski. Każdy Polak przebywający za granicą (na stałe lub czasowo, legalnie lub nielegalnie) i posiadający ważny polski paszport ma prawo oddać głos. W pierwszych wolnych wyborach do Sejmu w 1991 r. zagłosowało 40 tys. Polaków za granicą. Można śmiało zakładać, że w sprzyjających okolicznościach zagłosuje pierwszy milion.

Polacy zagłosują m.in. w Arabii Saudyjskiej, Omanie, Iranie, Jordanii, Kolumbii, Etiopii, Kenii, Mongolii, Panamie, Senegal i Uzbekistanie.

głosowania korespondencyjnego dla głosujących za granicą. Oto szczegółowe rekomendacje: „Ministerstwo Spraw Zagranicznych, w porozumieniu z Państwową Komisją Wyborczą oraz lokalnymi środowiskami polonijnymi, powinno dokładnie i z większym wyprzedzeniem, niż to przewiduje kalendarz wyborczy, dokonać analizy potrzebowanego zapotrzebowania na lokale wyborcze. W szczególności należy przywrócić się, czy dotychczasowa ich

obejmująca swym zasięgiem cały obwód konsularny”.

Warto dodać, że prof. Michalak widzi Polonię jako idealnego odbiorcę pilotażowego programu e-votingu – 40% ankietowanych Polaków za granicą preferowałoby bowiem głosowanie elektroniczne.

O tym, czy sprawy Polonii trafią w lepsze ręce, rozstrzygną nadchodzące wybory. Stworzenie urzędu Rzecznika Praw Polonii zapowiedział prof. Adam Bodnar, kandydat

Zuzanna Muszyńska
z.muszynska@tygodnikprzeglad.pl

**14. Festiwal
Muzyki
Filmowej
Krzysztofa
Komedy**

29 IX – 1 X 2023
www.fm fkk.pl
**Studio Koncertowe PR
im. W. Lutosławskiego
Kino Atlantic**

Organizator: **JAZZ ART FUNDACJA**

Partnerzy: **MAZOWSZE**, **IMAFILM**, **STOART**, **za'ks**

Patroni Medialni: **JAZZ**, **KULTURA**, **jazzforum**, **P**

Z Galicji



Jan Widacki

Jeszcze o patologii polskiej nauki

Do niedawna jako pewnik przyjmowano, że istotą nauczania akademickiego jest to, że nauczający równocześnie ma wkład w dyscyplinę, której naucza. Mówiąc bardziej konkretnie, jeśli wykładam studentom kryminologię, to powinienem sam uprawiać tę dyscyplinę. Prowadzić z jej zakresu badania naukowe, publikować artykuły, podręczniki, monografie. Jeśli ktoś wyklada np. psychologię kliniczną, sam powinien prowadzić badania, publikować... Niby to takie oczywiste. Nikt tego nie kwestionował, nikt z takim podejściem nie polemizował. Takie były niepisane (a czasem pisane!) założenia. Tym różnił się profesor uniwersytetu od profesora gimnazjum. Od nauczyciela w szkole średniej nie wymagano, by sam naukowo rozwijał dyscyplinę, której uczy.

Z takiego założenia wychodząc, stworzono cały system stanowisk w nauce. Asystenta, adiunkta, docenta, profesora nadzwyczajnego, profesora zwyczajnego. Asystent musiał mieć skończone studia, tytuł magistra i miał obowiązek robić doktorat. Jeśli nie zrobił go w ciągu sześciu lat, musiał z uczelnią się pożegnać. Adiunkt musiał być doktorem i musiał robić habilitację. Jeśli w ciągu ośmiu lat jej nie zrobił, żegnał się z uczelnią. Potocznie mówiło się, że ktoś się „wyrotował”. Po habilitacji można było dostać etat docenta. Docent miał formalnie te same uprawnienia co profesor. Mógł wykladać, prowadzić seminaria. Być promotorem lub recenzentem w przewodach doktorskich. Nie mógł tylko być recenzentem w przewodach profesorskich. Docenci i profesorowie tworzyli kategorię „samodzielnych pracowników naukowych”. Pozostali, a więc asystenci i adiunkci, zaliczani byli do „pomocniczych pracowników naukowych”. Jeśli docent miał osiągnięcia naukowe, w szczególności poważne publikacje, w tym monografię, wypromował doktora, mógł się ubiegać o tytuł profesora. Najpierw nadzwyczajnego, później, po dalszym pomnożeniu dorobku naukowego, o tytuł profesora zwyczajnego.

Jak widać, każdy naukowiec był przez taki system zmuszany do pracy naukowej. Obok tych stanowisk (tzw. naukowo-dydaktycznych) były stanowiska dydaktyczne: wykładowcy i starszego wykładowcy. Wykładowcy i starsi wykładowcy stanowili najwyżej kilka procent kadry nauczającej. Prowadzili oni zajęcia z dyscyplin spoza głównego nurtu na danym kierunku

studiów. Na przykład z matematyki dla studentów chemii, ekonomii dla studentów prawa itp. Mieli oni wyłącznie obowiązki dydaktyczne. Nie musieli prowadzić badań naukowych, publikować prac ani robić kolejnych stopni.

Zaczęło się to zmieniać stopniowo. Najpierw zniesiono system rotacji. Nie wolno już zwolnić adiunkta, jeśli nie zrobi habilitacji, podobnie jak asystenta, który doktoratu nie potrafi zrobić albo mu się nie chce. Pozbycie się z uczelni nieuka jest bardzo trudne i wymaga długotrwałych procedur. Musi on mieć negatywne oceny w kolejnych okresowych ocenach, robionych bodajże raz na trzy lata. Podejrzewam, że to ustabilizowanie etatowe (także nieuków, czasem ludzi zupełnie nienadających się do nauki) wynikało z tego, że rewolucja Solidarności na uczelniach była przede wszystkim ruchem adiunktów. Rozwaliło to system zmuszający do pracy naukowej i naukowych awansów. Adiunkt, jeśli nie

Pozbycie się z uczelni nieuka jest bardzo trudne i wymaga długotrwałych procedur.

chce, to może nie robić habilitacji i na etacie adiunkta doczekać do emerytury. Co więcej, tzw. Konstytucja dla nauki (znów dane „na pośmiewisko sprzeczne z naturą nazwisko”) tworzy równoległą do naukowej hierarchię dydaktyczną. Profesor może być profesorem naukowo-dydaktycznym (czyli nauczającym i uprawiającym naukę) albo profesorem dydaktycznym. Który musi tylko prowadzić wykłady, opierając się na cudzych skryptach i podręcznikach. Nie musi uprawiać nauki, publikować prac. Do tego doszło łatwe – często na podstawie kryteriów niemerytorycznych – nadawanie różnym szkołom publicznym i niepublicznym uprawnień do nadawania stopnia doktora, a nawet doktora habilitowanego.

W krótkim czasie pod względem liczby doktorów i profesorów będziemy w ścisłej światowej czołówce, ale nasze najlepsze uczelnie w rankingach światowych będą balansowały między piątą a ósmą setką, wyprzedzane przez uniwersytety z krajów do niedawna zaliczanych do „Trzeciego Świata”. Taka pozycja polskich uniwersytetów i polskiej nauki ma oczywiście wiele innych przyczyn. Ale to temat na odrębne rozważania.

Kto trzyma atomowy guzik?

Prywatyzacja wojny postępuje, a miliarderzy prowadzą już politykę niezależną od Waszyngtonu

Jakub Dymek

W pewien piątkowy wieczór we wrześniu 2022 r. miliarder i celebryta Elon Musk otrzymał wiadomość o wadze życia i śmierci. Ukraińscy politycy zażądali, by uruchomił należący do niego system łączności satelitarnej Starlink nad Krymem. Przez kilka miesięcy rosyjskiej inwazji na Ukrainę ta komercyjna technologia pozwoliła dostarczyć internet na front, do szpitali i urzędów. O tym, jakie niezwykle możliwości daje Ukraincom Starlink, szybko zaczęły krążyć legendy, chętnie podłapywane przez media. A sam Elon Musk był chwalony jako zbawca i filantrop, choć „ofirowanie” systemu Starlink Ukrainie nie było do końca gestem dobrej woli. Dla dociekliwych nie stanowiło tajemnicy to, że w kosztach dostarczania Ukrainie łączności satelitarnej partycypują inne kraje, w tym Polska, wspierając projekt Muska dziesiątkami milionów dolarów. Chociaż ostatecznie pochwałę, ale i krytykę, zbierał on sam.

Zrozumiał, co chciał

Z jaką palącą sprawą zwrócili się tego wrześniowego dnia do Muska ukraińscy oficjele? Potrzebowali zasięgu i łączności gwarantowanej przez starlinki, aby przeprowadzić podmorski atak na rosyjskie okręty cumujące w krymskim Sewastopolu. Plan zakładał wysłanie sześciu zdalnie sterowanych łodzi podwodnych, podmorskich dronów, z ładunkami wybuchowymi i zatopienie statków przeciwnika. Dopiero gdy Ukraińcy rozpoczęli operację, przekonali się, że plan wykorzystania łączności Starlink do naprowadzenia dronów na cel się nie uda. Satelity Muska były w tym regionie nieaktywne.

Członkowie rządu w Kijowie, m.in. minister Mychajło Fedorow, zaczęli bombardować miliardera wiadomościami. Bezszyfrowanie. Bezskutecznie.

Musk nie zgodził się uruchomić satelitów nad Krymem. Był już po rozmowie z rosyjskim ambasadorem, który przekonał go, że atak na Krym będzie równoznaczny z atakiem na Federację Rosyjską, uzasadni zatem odpowiedź nuklearną. Ambasador najprawdopodobniej blefował, kłamał albo Musk zrozumiał z tego tyle, ile chciał. Bo chyba nawet największe jastrzębie na Kremlu tak naprawdę nie uważają, że odpowiedzią na konwencjonalny atak na bazę rosyjskiej floty musi być odwet przy użyciu arsenału nuklearnego. Amerykański miliarder podjął

wojny obronnej – nie do kontrataków i ofensywy. Z czasem zaś Musk utwierdził się w przekonaniu, że właśnie ktoś taki jak on może pomóc wynegocjować pokój i powstrzymać świat przed zagładą nuklearną.

Kto tu eskaluje?

Skąd właściwie to wszystko wiemy i co nowego mówi nam ta sprawa? Całą powyższą historię o nieudanym ataku na Krym opowiada biograf Muska, Walter Isaacson. Fragmenty jego wchodzącej szturmem na rynek książki opublikował teraz „Washington Post”. I trudno się dziwić, że wywołały wielką debatę i falę oburzenia. Isaacson jest biografem, który nie krzywdzi swoich

Technologia Starlink może być wykorzystywana na potrzeby cywilne, humanitarne i prowadzenia wojny obronnej – nie do kontrataków i ofensywy.

jednak decyzję – nie będzie udostępniał systemu do celów ofensywnych i koniec. Swoje poglądy wyłożył też w rozmowach z Jakiem Sullivanem, doradcą prezydenta Bidena ds. bezpieczeństwa narodowego, a także z najwyższym rangą amerykańskim wojskowym Markiem Milleyem. Potem zaś sam zadzwonił do ambasadora Federacji Rosyjskiej, by go zapewnić, że nie dostarczy ukraińskim siłom zbrojnym łączności na potrzeby ataków na rosyjskie terytorium.

Ukraińscy urzędnicy i politycy na przemian atakowali i zasypywali komplementami kontrowersyjnego miliardera, chcąc go zmusić do zmiany decyzji. Z tego, co wiadomo, Musk do dziś zdania nie zmienił. Technologia Starlink może być wykorzystywana na potrzeby cywilne, humanitarne i prowadzenia

bohaterów – i często uzyskuje od nich wsparcie i szeroki dostęp. Biografia Muska jego autorstwa jest już kolejną – po książce o Stevie Jobsie – historią miliardera z Doliny Krzemowej, przy której bohater nie tylko nie straszy pozwem, ale wręcz sam gorliwie pomaga w pisaniu.

Dzięki przychylności Muska Isaacson uzyskał nie tylko pierwszorzędne informacje, ale i dostęp do choćby szyfrowanych wiadomości wysyłanych przez ukraińskich polityków. Tyle że ceną takiego podejścia jest przyjęcie perspektywy i wartości bohatera książki. Skoro Elon Musk coś uważa albo sądzi – to najwyraźniej tak jest. I w świecie Elona jest to prawdą, z którą nie warto dyskutować. Czego jednak nie napisał Isaacson, to szybko dopowiedzieli krytycy Muska w internecie.

„Miliarder jest megalomanem. Uwierzył rosyjskiej propagandzie. Dał się zastraszyć. To kolejny wielki sukces rosyjskiego szantażu atomowego”, pisali kolejni oburzeni autorzy na stronach poczytnych anglojęzycznych tytułów. Nie zdziwi pewnie nikogo, że najdalej poszli znani dobrze polskim czytelnikom Anne Applebaum czy Timothy Snyder. Historyk z Yale pisał na Twitterze (obecnie X) – jak na ironię należącego od kilku miesięcy do Elona Muska – że miliarder pomógł „przedłużyć wojnę i zabić tysiące ludzi”. A nawet gorzej: „Szerząc propagandę Kremla, Musk uprawdopodobnił ryzyko wybuchu wojny nuklearnej. Gdy nuklearni chuligani napotykają tchórzostwo, tworzy to jeszcze więcej nuklearnych chuliganów. I świat, w którym wszyscy budują atomówki – by zastraszyć innych lub samemu nie paść ofiarą chuliganów”.

Applebaum zaś, pisząc dla „The Atlantic”, punktowała braki w logice Muska (czego w opublikowanym fragmencie nie robi Isaacson). Nie, ataki na rosyjską flotę nie prowadzą wprost do eskalacji nuklearnej. Gdyby tak było, już dawno mielibyśmy wojnę jądrową, bo przecież Ukraińcy mają za sobą udane ataki za pomocą podwodnych dronów – dokładnie takich, jakich użycie zablokował Musk. Nie brakuje głosów wskazujących, że także Ukraińcy stoją za wysadzeniem Nord Stream II – a i to nie doprowadziło przecież do nuklearnego odwetu. Podobnie jak kolejne próby zbombardowania przy użyciu dronów Moskwy i samego Kremla.

Byłoby jednak nadmiernym optymizmem oczekiwać, że Applebaum czy Snyder pójdą o krok dalej i zdobędą się na choć trochę pogłębioną analizę problemu. U obojga autorów światem rządzi bowiem „rosyjska propaganda”. A wszystkie decyzje podejmowane nie tylko przez Elona Muska, ale i przez Waszyngton, Berlin, Brukselę można wytłumaczyć jednym i tym samym zjawiskiem: rosyjska propaganda dociera do uszu zarówno ekscentrycznego miliardera, jak i Bidena, Scholza i von der Leyen. Nie pierwszy raz u tych autorów cały problem sprowadza się do „Rosji Schrödingera”. W tych

analizach Rosja jest tak słaba i niepotężna, że w ogóle nie należy się jej bać, ale zarazem tak potężna i przebiegła, że z ukrycia steruje wszystkimi decyzjami na świecie. I trzyma w szachu nawet prezydenta USA.

W przeciwieństwie do tych teorii spiskowych problem jest dość oczywisty – choć leży gdzie indziej. Jest nim pogłębiająca się prywatyzacja wojny i status wielkich korporacji technologicznych, które uzyskują suwerenność równą państwom.

Szaleńcy i magnaci

Problem z Muskiem blokującym ukraińską ofensywę nie polega na tym, że miliarder „dał się omamić rosyjskiej propagandzie”. Kłopot w tym, że w ogóle doszło do sytuacji, w której o ewentualnym wybuchu apokaliptycznej w skutkach wojny jądrowej ma decydować rozkapryszony miliarder o fantazji i usposobieniu zbuntowanego 17-latk. I że ostatecznie granice – słynne „czerwone linie” – Ukrainie wyznacza nie jej sztab generalny ani nawet nie Biały Dom i Pentagon, ale właśnie Musk. W wyobrażeniu o świecie Applebaum i Snydera problem polega na tym, że Musk nie zgodził się na atak na Krym. Gdyby miliarder odpisał wtedy na wiadomościę Fedorowa: „Walcie, w co chcecie i kiedy chcecie”, wszystko byłoby, jak trzeba. Autorzy i hołubieni w Polsce komentatorzy rzeczywistości międzynarodowej nie zadają sobie pytania, dlaczego właściwie niekryjący swoich interesów ani sympatii do różnych reżimów Musk naprawdę powinien mieć władzę decydowania o takich rzeczach. Krytykują Muska nie dlatego, że ma zbyt wielką władzę, lecz dlatego, że nie użył tej władzy po ich myśli.

Tymczasem obserwatorzy rzeczywistości o nieco bardziej zniuansowanym spojrzeniu na świat problem zauważają. Dziś szefowie koncernów technologicznych i wielkich platform cyfrowych są w stanie prowadzić własną, niezależną od woli i oczekiwań Waszyngtonu politykę zagraniczną. Decydując, komu udostępnić swoje satelity, komu umożliwić albo odebrać dostęp do wirtualnych

walut i szyfrowanych komunikatorów, gdzie poluzować, a gdzie zacieśnić reżim cenzury – wielkie cyfrowe korporacje wpływają na globalną politykę. W tym na wojny, próby zamachów stanu, przemoc polityczną i masakry, co wiemy już z USA, Brazylii, Birmy czy Ukrainy i Rosji właśnie.

Skupianie się na Musku – który oczywiście jest kontrowersyjny i karmi się uwagą – pozwala zauważyć raptem wycinek coraz szerszego zjawiska. Wojna sprywatyzowana – finansowana i napędzana kaprysami miliardera, opłacana z charytatywnych rzutek, sprzedawana przez wielkie agencje PR-owe globalnej widowni jak widowisko sportowe albo baśń fantasy – będzie wojną jeszcze bardziej wymykającą się prawu międzynarodowemu i jakiegokolwiek kontroli. W czasie kubańskiego kryzysu raketowego administracja Kennedy’ego utrzymywała swoje prywatne i zakulisowe kanały kontaktu z Moskwą, dzięki czemu udało się uniknąć najgorszego. Wyobraźmy sobie dzisiaj analogiczną sytuację, w której granice rządów stawiają dostawcy technologii i to oni dzwonią – jak robił to Musk – do obu stolic, negocjując warunki wojny i pokoju na własną rękę.

Jednak na razie jedyne słuszne wnioski wyciągnął z tej historii amerykański Departament Obrony. Ameryka nie potrzebuje swojego Prigożyna. Teraz to wojsko ma dzierżawić satelity i technologie z prawem decydowania o ich użyciu. Może dzięki temu rozwiązanie kolejnej sytuacji decydującej o życiu i śmierci tysięcy ludzi nie będzie zależało od jednego SMS-a od Elona Muska.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl



Hollywood prowadzi i rujnuje amerykańską politykę zagraniczną

Trzymanie się nadziei na hollywoodzkie zakończenie doprowadzi do śmierci znacznie większej liczby Ukraińców i dalszej dewastacji kraju

Stephen M. Walt

Stephen M. Walt, goszczący już na łamach PRZEGLĄDU 30 maja 2022 r. jako autor ciekawego tekstu „Elity polityczne nie rozumieją potęgi nacjonalizmu”, jest czołowym przedstawicielem szkoły realizmu politycznego w Stanach Zjednoczonych. Dokładniej rzecz ujmując, kierunek, który reprezentuje, określany jest w nomenklaturze uniwersyteckiej mianem defensywnego neorealizmu. Ojcem intelektualnym defensywnego neorealizmu jest Kenneth N. Waltz z pracą „Theory of International Politics” (wyd. polskie „Struktura teorii stosunków międzynarodowych”, przeł. Renata Włoch, Warszawa 2010). Głos Walta – profesora stosunków międzynarodowych na Uniwersytecie Harvarda – w amerykańskiej debacie publicznej jest dobrze słyszalny za sprawą jego stałej kolumny w magazynie „Foreign Policy”. Zazwyczaj jest to głos rozsądku i umiarkowania, tak jak w prezentowanych poniżej fragmentach tekstu, który ukazał się w witrynie internetowej magazynu 27 lipca br. (foreignpolicy.com/2023/07/27/hollywood-foreign-policy-oppenheimer). Walt przytomnie wskazuje niebezpieczeństwa, które stwarzają hollywoodzkie produkcje, oddziałujące na zbiorową wyobraźnię Amerykanów poprzez konsekwentne kreowanie zero-jedynkowego, czarno-białego, manichejskiego obrazu świata. To, jak ta wyobraźnia funkcjonuje, nie jest obojętne dla reszty globu, ponieważ to amerykańscy obywatele wybierają najpotężniejszego człowieka na planecie – prezydenta USA.

Stany Zjednoczone są pod wieloma względami wyjątkowe, choćby z uwagi na ogromne terytorium, bogactwo, otwartość, oddalenie od innych wielkich potęg – oraz skłonność

Stephen M. Walt jest czołowym przedstawicielem szkoły realizmu politycznego w Stanach Zjednoczonych.

do „hollywoodzkich zakończeń”. Wszyscy wiedzą, o czym mówię. O tych kulminacyjnych momentach w filmach, kiedy zdziesiątkowani i źle uzbrojeni bohaterowie odwracają losy wydarzeń i wyrrywają zwycięstwo z rąk nikczemnych wrogów. Dobrzy wygrywają, źli przegrywają (najlepiej w upokarzający i bolesny sposób). Tym samym ze światem znów jest wszystko w porządku. To rodzaj fabuły, który amerykańscy widzowie

się nie cieszyć, gdy Andy Dufresne ucieka z więzienia Shawshank i zły naczelnik oraz bandycki strażnik więzienny, którzy go dręczyli, dostają to, na co zasłużyli? (...).

Jak sama nazwa wskazuje, hollywoodzkie zakończenia są zasadniczo

amerykańskim wynalazkiem, choć Szekspir, Dickens i Jane Austen stosowali je na długo przed wynalezieniem kina. Podobne zakończenia można znaleźć także w innych tradycjach kinematograficznych. Generalnie jednak broniłbym tezy, że filmy produkowane poza USA są mroczniejsze, bardziej ambiwalentne w portretowaniu dobra i zła, mniej triumfalne w tonie i bardziej skore do zakończeń z nutą dwuznaczności.

Walt wskazuje na niebezpieczeństwa, jakie hollywoodzkie produkcje stwarzają dla zbiorowej wyobraźni Amerykanów, gdy kreują czarno-biały obraz świata.

połykają jak zimne piwo w upalne południe. Przykłady można mnożyć w nieskończoność i muszę przyznać, że sam tym fabułem ulegam. Chcę patrzeć, jak Frodo niszczy pierścień, i obserwować, jak wali się wieża Saurona. Promienieję, gdy Harry i jego koledzy czarodzieje zabijają lorda Voldemorta, gdy Indiana Jones przechrzta nazistów i kiedy Sojusz Rebeliantów wysadza w powietrze najnowszą wersję Gwiazdy Śmierci (...). I jak

Rzecz jasna, są i amerykańskie filmy wykazujące te cechy (przykładowo „Poszukiwacze”, „Chinatown”, „Absolwent”, „Bez wyjścia”, „Million Dollar Baby”).

Zamiatowanie Ameryki do happy endów nie powinno wprawiać w wielkie zdziwienie, jeśli weźmie się pod uwagę szczęśliwy bieg wydarzeń w historii Stanów Zjednoczonych oraz sposób, w jaki jest ona z reguły opowiadana. W naszej zbiorowej

pamięci odważni rebelianci pokonują Imperium Brytyjskie pod Yorktown (zobacz film „Patriota”), a następnie tworzą nowy naród na podstawie wzniosłych ideałów. Stale rozwijająca się republika dziesiątkuje i podbija rdzenną ludność, której opór wobec Objawionego Przeznaczenia [Manifest Destiny – słynna koncepcja

taki nie będzie odpowiednio przygotowany do stawienia czoła skomplikowanej moralności wielu kryzysów międzynarodowych ani do zrozumienia, że w większości z nich nie można osiągnąć hollywoodzkiego zakończenia. Ta tendencja zarysowuje się w typowych reakcjach Ameryki na rządy autorytarne, z którymi ma

do błędnego wniosku, że dyplomacja zawiodła.

Żywię obawy, że ten sam impuls będzie hamował amerykańskie wysiłki, aby pomóc Ukrainie przetrwać obecną wojnę. Wszyscy życzylibyśmy sobie zakończenia tego konfliktu na hollywoodzką modłę. Chcielibyśmy zobaczyć Rosję wyco-

fującą się, zdyskredytowanego (co najmniej) prezydenta Rosji Władimira Putina i szybką odbudowę Ukrainy. Co jednak w sytuacji, gdy taki rezultat nie może zostać osiągnięty przy akceptowalnym po-

ziomie kosztów i ryzyka? Co, jeśli taki wynik nie jest zapisany w scenariuszu? Jeżeli najlepszym możliwym rozwiązaniem dla Ukrainy jest zawarcie niepewnego kompromisu, który uchroni kraj przed zniszczeniem, choć będzie niezadowolający pod wieloma względami, to trzymanie się nadziei na hollywoodzkie zakończenie doprowadzi do śmierci znacznie większej liczby Ukraińców i dalszej dewastacji kraju. Wskazywanie tego nie sprawia mi przyjemności, lecz odmowa przyznania, że taka możliwość istnieje, byłaby aktem nieodpowiedzialności i czymś,

Choć moralitety produkowane przez Hollywood to świetna zabawa, są one zarazem wysoce niewiarygodnym przewodnikiem po świecie prawdziwej polityki.

sformułowana w pierwszej połowie XIX w., głosząca prawo Amerykanów do zajęcia obszarów między Oceanem Atlantyckim a Pacyfikiem – P.K.] jest zazwyczaj przedstawiany w Hollywood jako (...) nieuzasadniony. Cnotliwa Północ pokonuje niewolnicze Południe w wojnie secesyjnej, zmazując wielką plamę na honorze kraju. Następnie Stany Zjednoczone wyruszają, aby ocalić świat w dwóch wojnach światowych, przyczyniając się do pokonania imperialnych Niemiec (w pierwszym konflikcie) oraz zmuszając do bezwarunkowej kapitulacji nazistowskie Niemcy i Japonię (w drugim). Nic dziwnego, że uwielbiamy spoglądać wstecz na te „dobre wojny” i zakładać, że ich wynik był raczej normą aniżeli wyjątkiem.

Od 1945 r. jednakże hollywoodzkie zakończenia należą do rzadkości. Wojna koreańska zakończyła się remisem, wojna w Wietnamie natomiast była porażką, co jasno uzmysławiają takie filmy jak „Pluton”, „Full Metal Jacket” i „Pola śmierci”. Zimna wojna zakończyła się pomyślnie dla Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników, ale powolna śmierć z wycieńczenia ZSRR nie była tym poruszającym zwycięstwem, które uwielbia Hollywood. (...) Jednak pomimo powtarzających się przestróg, że prawdziwa polityka rzadko jest czarno-biała i że konflikty często kończą się nie triumfem dobra nad złem, lecz niejasnym i chaotycznym kompromisem, nasza kultura wciąż formułuje odmienny przekaz. Tymczasem, jeśli czyjś horyzont intelektualny jest ukształtowany zbyt silnie przez srebrny ekran, ktoś

ona na pieńku. Po utwierdzeniu się w przekonaniu, że są ucieleśnieniem zła i śmiertelnym zagrożeniem, Waszyngton formułuje zestaw nienegocjowalnych żądań, nakłada sankcje i przypomina, że „wszystkie opcje są na stole”. Jeśli rządy te nie przyjmą naszego ultimatum – a prawie nigdy tego nie robią – zwiększamy presję w nadziei, że ustąpią. Naszym celem jest ich pełna kapitulacja – hollywoodzkie zakończenie, które można przedstawić jako nieskazitelne osiągnięcie dyplomatyczne i pokaz naszych cnót. W niektórych przypadkach – chociażby embarga

Jeśli czyjś horyzont intelektualny jest ukształtowany przez srebrny ekran, ktoś taki nie stawi czoła skomplikowanej moralności wielu kryzysów międzynarodowych.

nałożonego na Kubę – stosujemy to podejście od pięciu dekad mimo jego oczywistej nieskuteczności.

To samo się dzieje, gdy amerykańscy dyplomaci osiągają bardzo korzystny rezultat, który jednakże nie spełnia wymogów Hollywood. Umowa nuklearna z Iranem z 2015 r. była znaczącym osiągnięciem Stanów Zjednoczonych i ich europejskich sojuszników, oferowała nam wiele rzeczy, których oczekiwaliśmy. Jednak, jak większość negocjacji, zawierała elementy kompromisowe, ponieważ Iran nigdy nie zaakceptowałby umowy, która nie dawałaby mu żadnych korzyści. Nie widząc bezwarunkowej kapitulacji Teheranu, wielu Amerykanów poczuło się oszukanych i doszło

co nie leży w długoterminowym interesie Ukrainy.

Ogólniejszy wniosek z rozważań jest taki, że choć moralitety produkowane przez Hollywood to świetna zabawa (...), są one zarazem wysoce niewiarygodnym przewodnikiem po świecie prawdziwej polityki. Następnym razem, gdy będziecie państwo chrupali popcorn, wstuchując się w ścieżkę dźwiękową przechodzącą w crescendo i patrząc, jak bohaterowie biorą górę nad adwersarzami, przypomnijcie sobie mądre słowa z kampanii reklamowej „Ostatniego domu po lewej” Wesa Cravena z 1972 r.: „To tylko film”.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla



Więźniowie obozu w Dachau.

KL Dachau był wzorcem

Z Dachau pochodziły kadry SS dla nowych obozów koncentracyjnych, tam zdobywał „doświadczenie” pierwszy komendant Auschwitz Rudolf Höss

Bohdan Piętka

21 marca 1933 r. SS-Reichsführer Heinrich Himmler, wówczas prezydent policji w Bawarii, wydał rozkaz utworzenia obozu koncentracyjnego w Dachau koło Monachium. Już następnego dnia na teren byłej fabryki amunicji, gdzie obóz urządzono, przybył transport więźniów. Początkowo obóz znajdował się pod zarządem bawarskiej policji krajowej. 11 kwietnia 1933 r. władzę nad nim przejęła SS.

Dachau to pierwszy państwowy obóz koncentracyjny powołany w III Rzeszy w celu izolacji przeciwników politycznych. Nie był to jednak pierwszy obóz koncentracyjny stworzony przez niemieckich nazistów. Dojście do władzy w Niemczech Hitlera i NSDAP skutkowało rozpętnaniem terroru wobec tych, których naziści uważali za przeciwników politycznych i wrogów narodu niemieckiego. Wkrótce po objęciu urzędu kanclerskiego przez Hitlera 30 stycznia 1933 r. bojówki SA przystąpiły

do tworzenia tzw. dzikich obozów koncentracyjnych.

Obozów tych powstało łącznie 48. Były to m.in.: Ahrensböck, Alt Daber, Bad Sulza, Brauweiler, Bredow, Columbia-Haus, Esterwegen, Eutin, Fuhlsbüttel, Hammerstein, Kemna bei Wuppertal, Lichtenburg, Moringen, Oranienburg, Papenburg, Perleberg, Sachsenburg, Sonnenburg (obecnie Słońsk) i Quednau w Królewcu. Tylko Columbia-Haus w Berlinie, Bredow w Szczecinie i „legalny” Dachau były administrowane przez SS. Pozostałe znajdowały się w gestii SA.

Nienawiść i pogarda dla więźniów

Pierwszym komendantem KL Dachau został SS-Hauptsturmführer (później SS-Standartenführer) Hilmar Wäckerle (1899-1941). Gdy informacje o zbrodniach na więźniach przeniknęły do wiadomości publicznej, stracił tę funkcję. Jego następcą został 26 czerwca 1933 r. Theodor Eicke (1892-1943), wówczas SS-Oberführer, później SS-Obergruppenführer. Eicke

wykazywał się od początku niezwykle brutalnym stosunkiem do więźniów jako „wrogów Rzeszy”. To on położył fundamenty pod kształt nie tylko KL Dachau, ale też całego systemu nazistowskich obozów koncentracyjnych poprzez opracowanie niehumanitarnego regulaminu, systemu kar, kodeksu postępowania strażników i zasad administrowania obozem. On także opracował system indoktrynacji załóg obozowych w duchu ideologii nazistowskiej oraz nienawiści i pogardy dla więźniów.

Początkowo śmiertelność więźniów w KL Dachau nie była tak wysoka jak po wybuchu II wojny światowej. Celem nie była zagłada więźniów, chodziło o ich sterroryzowanie i zniechęcenie do dalszej działalności politycznej. Ale terror SS prowadził do narastania śmiertelności w tym i innych niemiecko-nazistowskich obozach koncentracyjnych, co przygotowało je do przyjęcia funkcji eksterminacyjnej po wybuchu wojny.

Według statystyk obozowych do grudnia 1939 r. przeszło przez

KL Dachau 35 863 więźniów, z których część zwolniono. W aktach urzędu stanu cywilnego w Prittlbach zachowały się dane o śmierci w Dachau w okresie od 12 kwietnia 1933 r. do 31 marca 1939 r. 489 więźniów. Na podstawie tych danych i innych źródeł ustalono w 2002 r., że najprawdopodobniej liczba ofiar z tego okresu wyniosła 558. W 1933 r. zginęło 22 więźniów, w 1934 r. – 33, w 1935 r. – 12, w 1936 r. – 11, w 1937 r. – 41, w 1938 r. – 256 i w 1939 r. – 183. W świetle najnowszych badań w latach 1933-1945 śmierć w KL Dachau poniosło co najmniej 41,5 tys. osób spośród ok. 188 tys. więźniów, którzy przeszli przez ten obóz. 14,5 tys. zginęło od czerwca 1944 r. do kwietnia 1945 r.

W latach 30. esesmani zabijali więźniów przy pracy, rozstrzeliwali w czasie „ucieczki” i mordowali wskutek różnych sposobów maltretowania. Zabijali jednak indywidualnie, nie było jeszcze mordu masowego. Ponadto powodem śmiertelności więźniów KL Dachau były m.in. ciężka praca i pogarszające się z każdym rokiem warunki bytowania.

Pierwszymi ofiarami zbrodni SS w KL Dachau byli komuniści niemieccy, w tym Fritz Dressel z Feldmoching koło Monachium, Josef Götz z Monachium, Karl Lehrburger i Arthur Kahn z Norymbergi, Leonard Haussmann z Augsburga i Ernst Goldmann z Fürth.

Zastrzelenie w czasie ucieczki

Najczęściej zbrodnie esesmanów na więźniach były oficjalnie określane jako „zastrzelenie w czasie ucieczki” (*auf der Flucht erschossen*). Tak formalnie zaklasyfikowano we wrześniu 1933 r. śmierć więźnia Franza Stenzera. Został on „zastrzelony w czasie ucieczki”, chociaż prawie nie był w stanie poruszać się o własnych siłach, po tym jak wypuszczono go z ciemnicy (bunkra), gdzie przebywał tygodniami.

Zastrzelony podczas ucieczki miał być również robotnik Fritz Brück z Monachium. W rzeczywistości został przez esesmanów pobity do nieprzytomności przy wożeniu węgla, a następnie przez nich zastrzelony.

Podobnie zginęli Alfred Bonario, Felix Fechanbach, Ernst Goldmann, Erwin Kahn, Michael Sigman, Alfred Strauss i Johann Wiesman.

Pod koniec maja 1933 r. prasa poinformowała o pierwszych przypadkach śmierci w Dachau, które w większości miały być rezultatem „samobójstw” więźniów lub „zastrzelenia ich w czasie ucieczki”. Równocześnie monachijski prokurator Karl Wintersberger wniósł oskarżenie przeciw komendantowi obozu Hilmarowi Wäckerlemu i jego podwładnym w związku ze śmiercią Alfreda Straussa, którego jeden z esesmanów zabił 24 maja 1933 r. dwoma strzałami w kark, po bestialskim skatowaniu poprzedniego dnia. Wintersberger zapowiedział przyjazd do obozu specjalnej komisji do

śledztw w sprawie zbrodni w obozach koncentracyjnych.

Sprzyjało temu i to, że wkrótce w Dachau oraz innych obozach koncentracyjnych zaczęto stosować praktykę palenia zwłok. Przede wszystkim w celu zatarcia śladów. Nie ma ciała – nie ma zbrodni.

W pierwszych latach istnienia KL Dachau życie tracili tam nie tylko komuniści, socjaldemokraci i Żydzi. Ginęli także pravicowi przeciwnicy Hitlera, a nawet naziści. Jednym z nich był członek SA Josef Amuschel z Monachium, który wszedł w konflikt z SS. 25 sierpnia 1933 r. Amuschel został przywieziony po okrutnych torturach (m.in. zmiażdżono mu stopy) z monachijskiego „Brunatnego Domu” do KL Dachau i zamordowany przez esesmanów

W pierwszych latach istnienia KL Dachau życie tracili tam nie tylko komuniści, socjaldemokraci i Żydzi. Ginęli także pravicowi przeciwnicy Hitlera, a nawet naziści.

zbadania przyczyn śmierci Straussa (z zawodu adwokata) i dwóch innych więźniów. Wówczas esesmani zatarli ślady morderstwa – zawlekli zwłoki ofiar do drewnianej szopy i podpalili. W tej sytuacji komisja Wintersbergera nie miała czego badać.

Jeszcze w jednej sprawie zbrodni na więźniach władze prokuratorskie próbowały interweniować. 17 października 1933 r. zamordowano w Dachau dwóch komunistów – Wilhelma Franza z Monachium i Delwina Katza z Norymbergi. Władze obozowe zawiadomiły rodziny, że ofiary te popełniły samobójstwo. Krewni zwrócili się jednak do prokuratury z prośbą o zbadanie przyczyn śmierci. Dwaj lekarze dokonali oględzin zwłok i stwierdzili, że obu więźniów okrutnie maltretowano i uduszono. Z pomocą SS przyszedł wtedy doktor praw Hans Frank, wówczas minister sprawiedliwości Bawarii (w latach 1939-1945 generalny gubernator części okupowanej Polski). Frank przychylił się do prośby Himmlera i wystąpił o umorzenie postępowania jako szkodliwego dla interesów państwa. Odtąd w III Rzeszy nikt już nie próbował wszczynać

w obecności nowego komendanta Theodora Eickego. W rezultacie rozprawy z SA, czyli nocy długich noży (z 29 na 30 czerwca 1934 r.), na terenie KL Dachau przeprowadzono 21 egzekucji wysokich rangą funkcjonariuszy SA oraz przeciwników politycznych Hitlera. Najbardziej znaną z tych ofiar był Gustav von Kahr (1862-1934), konserwatywny polityk, były premier Bawarii i przeciwnik Hitlera podczas puczu monachijskiego w 1923 r.

Rola SS w nocy długich noży przyczyniła się do wzrostu znaczenia KL Dachau. Inne obozy koncentracyjne, które dotąd były nadzorowane przez SA, zostały przejęte przez SS. Natomiast komendant Theodor Eicke został mianowany 4 lipca 1934 r. inspektorem obozów koncentracyjnych i objął kierownictwo formalnie utworzonego 10 grudnia 1934 r. Inspektoratu Obozów Koncentracyjnych. Eicke zastosował model Dachau we wszystkich pozostałych kacetach i tych, które powstały później. W ten sposób KL Dachau stał się obozem wzorcowym (*Musterlager*) dla obozów koncentracyjnych tworzonych w Niemczech, a od 1938 r. również ▶

► na terenach anektowanych i okupowanych przez III Rzeszę.

Narzędzie terroru

W 1935 r. Hitler postanowił wprowadzić na stałe system obozów koncentracyjnych do katalogu politycznych narzędzi terroru i rozbudowywać go. W ten sposób utorował drogę tyranii SS i gestapo. Rok później wszystkie obozy koncentracyjne utworzone po przejściu władzy przez NSDAP w 1933 r. w celu rozprawy z przeciwnikami politycznymi zostały zlikwidowane, z wyjątkiem KL Dachau. W ich miejsce utworzono nowe i większe. Były to: KL Sachsenhausen (1936), KL Buchenwald (1937), KL Mauthausen (1938), KL Flossenbürg (1938) i KL Ravensbrück (1939). Przed wybuchem wojny przeszło przez te obozy 165-170 tys. więźniów.

Do obozów nadal kierowano rzeczywistych i domniemych przeciwników nazizmu, ale oprócz nich trafiało tam coraz więcej osób uwięzionych z powodów ideologicznych. Byli to przedstawiciele mniejszości seksualnych, religijnych i etnicznych, czyli osoby homoseksualne, świadkowie Jehowy, Romowie, Sinti i Żydzi, poza tym osoby, które wielokrotnie popełniały czyny karalne lub prowadziły styl życia niedopasowany do kryteriów nazistowskiej „higieny społecznej” (prostytutki, uchylające się od pracy, oskarżeni o „zhańbienie rasy” i inni okreśani jako „elementy aspołeczne”).

KL Dachau nie tylko był wzorcem dla nowych kacetów. Z Dachau pochodziły też kadry dla nowych obozów koncentracyjnych pod zarządem SS. Tam zdobywali „doświadczenie” m.in. późniejszy pierwszy komendant KL Auschwitz Rudolf Höss, późniejszy komendant KL Sachsenhausen Hermann Baranowski i Hans Loritz, późniejszy pierwszy komendant KL Flossenbürg Jakob Weisborn. W „szkole Eickego”, jak nazywano w środowisku esesmańskim Dachau, kształtowano w nich niewrażliwość na własne uczucia oraz na cierpienie maltretowanych i mordowanych ofiar. Popełniane wspólnie zbrodnie integrowały środowisko sprawców, co jeszcze przed wybuchem wojny

uczyniło z SS sprawne narzędzie masowego terroru.

Po mianowaniu 17 czerwca 1936 r. Himmlera zwierzchnikiem całej policji niemieckiej, dysponentem obozów koncentracyjnych było już wyłącznie SS. Kacety stały się jednym z filarów tworzącego się w Rzeszy imperium „państwa SS” (*SS-Staat*). Do 1937 r. ostatecznie opracowano zasady funkcjonowania tych obozów, wzorowane na KL Dachau i stworzone głównie przez Eickego. Od 1936 r. Eicke był także szefem formacji strażników obozowych, czyli oddziałów Trupiej Głównki (*SS-Totenkopfverbände*). Opracował i wdrożył zasady ich szkolenia oraz indoktrynacji ideologicznej. Jego ideą było uczynienie z tych oddziałów najbardziej elitarnych części SS. W 1939 r. SS-Totenkopfverbände liczyły już 24 tys. ludzi zorganizowanych w trzy pułki.

Wyzwoleni spod nazizmu

Pierwszy komendant Auschwitz Rudolf Höss wspominał po wojnie: „Alfą i omegą wszystkich pouczeń Eickego było: Tam za drutami czyha wróg i przygląda się wszystkim waszym poczynaniom, aby waszą słabość wykorzystać dla siebie. Nie odstawiajcie waszych słabych stron, pokazujcie kły tym wrogom państwa. Każdy, kto okaże im chociaż najmniejszy ślad współczucia, musi zniknąć z naszych szeregów”.

W latach 1937-1938 rozpoczęto rozbudowę KL Dachau, w tym budowę nowego obozu, przewidzianego na 6 tys. więźniów. Prace budowlane wykonywali w najcięższych warunkach sami więźniowie. Po anektowaniu w 1938 r. przez III Rzeszę Austrii i tzw. Kraju Sudetów, do Dachau po raz pierwszy napłynęły tysiące więźniów politycznych, którzy wcześniej nie byli obywatelami Rzeszy Niemieckiej. Natomiast po nocy kryształowej w listopadzie 1938 r. do KL Dachau trafiło ok. 11 tys. Żydów, których esesmani próbowali zmusić terrorem i szantażem do zrzeczenia się majątku i do emigracji. Wybuch wojny w 1939 r. spowodował napływ więźniów z krajów podbitych i okupowanych przez Niemcy hitlerowskie, którzy szybko stali się większością.

KL Dachau nie został nigdy ośrodkiem masowej zagłady, jak np. Auschwitz, ale do końca wojny był miejscem izolacji i eksterminacji osób różnych narodowości, w tym miejscem kaźni polskich elit – inteligencji i księży katolickich. Łącznie w obozie tym uwięziono 2720 duchownych, z czego aż 1780 z Polski (868 zginęło). W latach 1941-1942 zgładzono też w Dachau ok. 4 tys. jeńców radzieckich (głównie na strzelnicy Hebertshausen, gdzie esesmani ćwiczyli strzelanie do żywych celów). Wielu więźniów zginęło również w wyniku zbrodniczych eksperymentów medycznych i pracy niewolniczej.

Nie jest prawdą powielana czasem w publicystyce antykomunistycznej teza, że Dachau i inne niemieckie obozy koncentracyjne tworzone przed 1939 r. były wzorowane na łagrach radzieckich. W latach 30. XX w., a nawet później, o obozach stalinowskich niewiele wiedzano w Europie. Przede wszystkim ze względu na szczelną blokadę informacyjną odgradzającą ZSRR od świata. Naziistowskie obozy koncentracyjne były wynalazkiem czysto niemieckim i różniły się od stalinowskich organizacją, strukturą administracyjną, systemem kar, regulaminem więziarskim, stworzeniem kategorii więźniów, formami szkolenia i indoktrynacji załogi obozowej, a nawet metodami eksploatacji więźniów. Niemiecki system kacetów stworzył pod okiem Heinricha Himmlera Theodor Eicke – drugi komendant KL Dachau i pierwszy inspektor obozów koncentracyjnych.

Większość więźniów i ofiar niemieckich obozów koncentracyjnych stanowili do 1939 r. Niemcy. Jest to fakt niemal banalny, ale nie dla wszystkich oczywisty. Niedawno oburzenie niektórych prawicowych polityków i mediów w Polsce wzbudziło stwierdzenie kanclerza RFN, że Niemcy zostały w maju 1945 r. wyzwolone spod nazizmu. Tymczasem jest to prawda. Niemcy byli twórcami nazizmu i przez cały okres III Rzeszy w większości jego zwolennikami, ale byli też jego ofiarami. Pierwszymi. Historia nie jest czarno-biała, jak chcą tego różne polityki historyczne. Jest skomplikowana.

Bohdan Piętka

Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Czy nadchodzące wybory do parlamentu są najważniejszymi od lat? Może tak, może nie. Jestem przekonany, że kolejna kadencja rządów PiS będzie kontynuacją i dopełnieniem wielu działań tej partii, które przez lata krytykowałem – to, co ma nadejść, to nie są groźby, to będą działania. W razie zwycięstwa Kaczyńskiego (a prawdę mówiąc, z trudem przychodzi mi dzisiaj pogodny, niezmacony optymizm, że tak się nie stanie) zostanie postawiona kropka nad i w radykalnym przemodelowaniu całego systemu politycznego. Najkrócej rzecz ujmując, wszystkie zabezpieczenia przed autokratycznym, monopartyjnym zwrotem ostatecznie znikną. Los Trybunału Konstytucyjnego podzielią sądy, w tym Sąd Najwyższy, prokuratura już jest instytucją podległą partyjnym wytycznym, jej wybiórczość i ręczne sterowanie widać jak na dłoni od lat. Gdzieś na obrzeżach pozostaje Najwyższa Izba Kontroli z wybranym głosami PiS prezesem Marianem

Czy oczekuję, że dziennikarze będą masowo i publicznie dzielić się sympatiami albo wyborami politycznymi? Nie. Ale też nie widzę jakichkolwiek powodów, żeby nie móc tego zrobić z otwartą przyłbicą. Nie jest to może trudniejsze od ujawnienia zarobków (którego w Polsce nie sposób się spodziewać), ale doskonale podtrzymuje mit „niezaangażowania”. He, he, pusty śmiech. Pamiętacie tę postać z Tuwima?

*Jakiż to uroczy facet! / kulturalny, religijny, /
absolutnie apolityczny / i zupełnie bezpartyjny.
Jakie wzniosłe ideały / głosi szeptem na uboczu! /
jaki czysty, święty płomień / bije z tych szlachetnych oczu!
Jakiż on ma program piękny, / słuszny i prostolinijny: /
absolutnie apolityczny / i rozkosznie bezpartyjny!
Ma być tak: Cywilizacja, / Demokracja, Wolność Słowa, /
Duch Zwycięzca, Rząd Wszechludzki / Tudzież Zgoda Wszechklasowa.*

Całe to tajne głosowanie

Banasiem (niby wrogiem partii rządzącej, bo któż z tego świata politycznego tak głośno się przeciwstawił Kaczyńskiemu, ale pozostającym w stanie niejakiej hibernacji).

Media... Nawet nie chce się ust otwierać. W mojej ocenie mediów jakby po prostu nie było. Tych, które pełnią funkcje „kontrolne” wobec władzy (wyjątki personalne tylko wzmacniają to przeświadczenie). Całe to „pole medialne”, jak powiedziałby Bourdieu, zostało dokumentnie zaorane – przez komisaryczne, w niewyobrażalnej skali, zawłaszczenie polityczne całych mediów „publicznych” i przez nienaruszalną świętość zasady zysku mediów prywatnych w rękach takiego czy innego kapitału. Choroby, które toczyły polskie media od 1989 r., okazały się, co było oczywiste, śmiertelne, jesteśmy zatem obserwatorami stanu agonalnego. Słowo propaganda jest już niewystarczające na oddanie istoty tak „niefunkcjonujących mediów”.

Zabawne, choć przez łzy, jest trwanie w tym patologicznym układzie tysięcy osób, które „tylko wykonują swoją robotę”, „politykom się nie interesuję i nie zajmuję”, albo tych niezależnych, którzy żywią przekonanie, że są solą tej dziennikarskiej ziemi, że służą świętym dogmatom obiektywizmu i niezaangażowania, że pracują poza politycznymi kontekstami. Jednym z elementów tego karykaturalnego zakłamywania rzeczywistości jest udawanie, że dziennikarze nie mają poglądów politycznych, że co kilka lat nie idą jak inni do urn i nie wrzucają tam skreślonych własną ręką kart. Paradoksalnie ów fenomen samooszukiwania się (i wprowadzania w błąd wszystkich odbiorców) dotyczy głównie dziennikarzy, którym z PiS nie po drodze. Ci partyjni nawet nie muszą nic mówić, wiadomo, na kogo oddadzą głos, bez skrępowania biorą udział w procederze. Opłaca się. Wystarczająco dobrze.

*Serce rośnie, kiedy słucham / jego tyrad melodyjnych, /
absolutnie apolitycznych / i uroczo bezpartyjnych.
Ma być również Sprawiedliwość, / Czysta Sztuka, Pokój Wieczny, /
Miłość, Błogość, Szczęście – słowem / świat wspaniały i bajeczny.
Taki program zachwyt budzi! / Toż to istny raj biblijny: /
absolutnie apolityczny / i cudownie bezpartyjny.
„Wieszczu, mówię, bóstwo moje! / wszystko pięknie i prześwietnie, /
ale jak to niby zrobić / i wprowadzić w czyn konkretnie?
Wszyscy pójda za twym głosem, / każdy cię jak zbawcę przyjmie – /
Absolutnie! Apolitycznie! / Z entuzjazmem! Bezpartyjnie!
Ale powiedz mi, wieszczuniu, / archaniele i proroku, /
kto załatwi te drobnostki: / szczęście, zgodę, wolność, pokój?”
Wieszcz zadumał się głęboko, / potem westchnął elegijnie /
(absolutnie apolitycznie / i przedziwnie bezpartyjnie) –
I natychmiast najkonkretniej / opowiedział o swym planie: /
zaczął od Sanctissimusa, / skończył zaś na Guderianie.
Tak wylazła z Archaniola / stara świnia reakcyjna: /
absolutnie apolityczna / i zupełnie bezpartyjna.*

Na koniec podzielę się zatem jasną deklaracją: głos oddam na lewicę, a tylko dlatego nie napiszę na kogo konkretnie, że rozważam udanie się na to niby święto demokracji gdzieś poza Warszawę, gdzie mój głos będzie „więcej znaczył” w tej chorej ordynacji. Czyli na kogoś z listy Komitetu Wyborczego Nowa Lewica. Bo też czytam w „życiowych” nam mediach, że co trzeci zwolennik lewicy odda głos na inny komitet. Mam ten komfort, że głosuję zgodnie z przekonaniem, a nie kalkulacją. I tak możemy rozpocząć odliczanie do momentu, kiedy usłyszymy (po tym jak PiS wygra znacznie, nieznacznie, przegra nieznacznie), że wszystkiemu winna jest tradycyjnie lewica. Zakład? ■

Ekonomia ma alternatywę dla tego, co jest teraz

Mamy na świecie ogromną obfitość rzeczy, a większość ludzi wciąż nie może zaspokoić podstawowych potrzeb

Rozmawia Tomasz Borejza

Dlaczego we współczesnym świecie jest tak dużo śmieci?

– Odpowiedź wymaga postawienia pytania pomocniczego: dlaczego na świecie jest tak dużo towarów? To pojęcie towaru jest tutaj kluczowe, a w ekonomii – centralne. Towary to po prostu różnorodne dobra lub usługi, które wytwarza się po to, by je sprzedać i na nich zarobić, nie na własny użytek. Nasza gospodarka jest gospodarką towarową i z tym wiążą się różnorodne konsekwencje. Choćby taka, że o tym, co wytwarzamy, a czego nie, jak dużo czegoś produkujemy i w jaki sposób, decyduje dziś to, jak duży jest zysk ze sprzedaży. To towar jest podstawą naszego dobrobytu, bo dzięki niemu zaspokajamy nasze potrzeby – przynajmniej te materialne. O tym, czy mamy do czegoś dostęp, decyduje jednak zawartość naszego portfela. Skutkiem tego – dość paradoksalnym – jest to, że mamy dzisiaj na świecie ogromną obfitość rzeczy, a większość ludzi wciąż nie może zaspokoić takich podstawowych potrzeb jak dostęp do mieszkania lub żywności. Dotyczy to głównie krajów biedniejszych, ale przecież nie tylko ich.

Wielu ludzi nie ma nawet rzeczy podstawowych, a jednocześnie inni toną w niepotrzebnych.

– W przypadku klas średniej i wyższej sytuacja jest odwrotna. To problem dla tych, którzy chcą zarabiać na produkcji i sprzedaży towarów, bo to ogranicza zyski. Oczywiście są wśród nas milionerzy, którzy mają po kilkadziesiąt samochodów i liczne posiadłości, ale większość tego



DR MACIEJ GRODZICKI

– ekonomista
z Uniwersytetu Jagiellońskiego,
członek zarządu Polskiej Sieci Ekonomii,
związkowiec Inicjatywy Pracowniczej

nie potrzebuje. Wystarczy nam kilka ubrań, jeden telefon i jeden samochód na rodzinę. A może wystarczyłby nawet mniej niż jeden samochód, gdyby znaleźć sposób, by efektywnie wymieniać się nim ze znajomymi lub sąsiadami. Nierówny podział dochodów oraz nasze ograniczone potrzeby to jedna z głównych barier dla popytu.

Kiedy już mamy pralkę, to nie da się zarobić na sprzedaniu nam drugiej?

– Kapitał, firmy i korporacje nauczyły się, jak sobie z tym radzić. Bariera ta była szczególnie widoczna w momencie przejścia od gospodarek tradycyjnych do kapitalistycznych. Ludzi można było zagonić do pracy w fabrykach, bo siłą wyrzucało się

ich z pól, zabierało się możliwości mieszkania, hodowli zwierząt i uprawy roślin. Ale w pewnym momencie pojawił się problem: ludzie nie chcieli za dużo kupować. Mieli bazę i podstawowe rzeczy, które sobie wywalczyli – często podczas strajków robotniczych.

Bardzo dobrze opisano to w brytyjskiej historii gospodarczej. Ten problem pojawił się po raz pierwszy w XIX w. Wtedy towary na rynku kupował głównie ułamek społeczeństwa, czyli najbogatsi mieszczaństwo i arystokraci – odpowiednik dzisiejszego „jednego procenta”. By stworzyć prawdziwie masową gospodarkę, trzeba było nauczyć kolejne warstwy społeczne, jaką wartością są towary i konsumpcja. Nauczyć ludzi, że potrzebują tych produktów, że wiąże się z nimi prestiż, że są one wyznacznikiem pozycji społecznej. Wtedy pojawiły się techniki marketingu i marketing jako nauka o tym, jak przyuczać ludzi do konsumowania. I dziś posiadamy o wiele więcej

rzeczy, niż potrzebujemy. (...)

Zostańmy przy tym, jak ludzi nauczono, że nie wystarczy im to, co im wystarcza.

– Mnie kojarzą się z tym dwie rzeczy. Jedną to właśnie brytyjska historia, w której bardzo mocno wybrzmiewał aspekt klasowy. Ludzi bogatych pokazywano jako wozurzec, a konsumpcję – jako metodę przedstawiania siebie i swoich aspiracji do awansu do klasy wyższej. To spowodowało, że w społeczeństwie, które było generalnie podzielone na burżuazję i robotników, pojawiły się pośrednie szczeble. Ludzie mogli się starać o awans społeczny, a jeśli to się nie udawało, to przynajmniej naśladowali styl życia bogatych.

Eric Hobsbawm, brytyjski historyk gospodarczy, świetnie pokazywał, jak pierwsze artykuły gospodarstwa domowego imitowały luksus, którym cieszyły się klasy wyższe. Później zwrócono też uwagę, że arystokraci jeżdżą na wakacje, więc zaczęto proponować wyjazdy za miasto. Uczono ludzi, że nawet czasu wolnego nie spędza się z rodziną, na łonie natury lub festiwalach, ale że trzeba wejść na rynek i coś kupić. To paradoksalnie sprawiło, że bogatsi chcieli się wyróżnić na tle biedniejszych, więc zaczęli sięgać po kolejne dobra luksusowe i organizować takie wyjazdy, na które nie było stać reszty społeczeństwa. Podział klasowy sam w sobie napędza konsumpcję. Możemy to obserwować również dzisiaj. Tyle że dziś odbywa się to na bardziej złożonym poziomie.

Drugim kluczowym punktem był pomysł Edwarda Bernaysa, bratanka Zygmunta Freuda, który uznał, że osiągnięcia psychoanalizy można wykorzystać również w komunikacji publicznej i reklamie. Mężczyzna zauważył, że w strategiach marketingowych można bazować na naszych lękach, popędach i instynktach stadnych. Jego pierwsze pomysły dotyczyły konsumpcji bekonu albo promowania palenia papierosów wśród kobiet. W reklamie zaczęto więc odwoływać się do ambicji, prestiżu, emocji. Z czasem – wraz z pracami Ernesta Dichtera – marketing zyskał naukowy wymiar. Zaczęto testować reklamy, robić grupy fokusowe, przeprowadzać badania neurologiczne. Sięgnięto po wiedzę i metody psychologii akademickiej. W ten sposób kręci się to do dziś, bo już małe dzieci przygotowuje się do bycia konsumentami – często jeszcze zanim zaczną mówić. Gdy obserwuję małe dzieci w rodzinie lub u przyjaciół, niekiedy jestem przerażony tym, jak szybko zaczynają one definiować siebie przez pryzmat tego, co konsumują. A jednocześnie sam po sobie widzę, że kiedy je odwiedzam i chcę okazać im jakieś uczucie, to po prostu kupuję zabawkę lub kolejną książkę.

Tak się rzeczywiście robi.

– Oczywiście trudno się z tego wypisać, bo żyjemy w społeczeństwie konsumpcyjnym. Z punktu widzenia

produkcji towarowej siłą napędową jest dążenie do zysku i pomnożenia kapitału. Ale to marketing i kultura konsumpcji powodują, że można produkować bardzo dużo towarów. Dużo więcej, niż gdybyśmy kupowali tylko to, co jest nam potrzebne. A śmieci są ostatnim etapem. Tym, co kończy konsumpcję.

Śmieci jest zatem tak dużo, bo nauczono nas kupować mnóstwo rzeczy, których nie potrzebujemy?

– Między innymi. Śmieci powstają na różnych etapach cyklu produkcji i konsumpcji, nawet już w samych zakładach przemysłowych. Światowa

Stoi za tym także machina marketingowa, która opowiada nam, że nowy samochód lub telefon zrobią z nas lepszych ludzi.

Mamy również śmieci pochodzące z procesów produkcyjnych. Ogrom odpadów powstaje w wyniku logistyki i transportu.

Rozwój handlu internetowego spowodował ogromny popyt na kartony i folie. Branża opakowań to jedna z tych branż, które teraz rosną najszybciej. Większość z tego trafia do kosza, a ponownie wykorzystuje się niewielką część. Kiedy to dostrzeżemy, przeniesiemy nieco punkt

Podział klasowy sam w sobie napędza konsumpcję. Możemy to obserwować również dzisiaj.

góra śmieci, której nie jesteśmy w stanie zrecyklingować, jest jednak pochodną współczesnych wzorców konsumpcji. Pierwotne gospodarstwa domowe były praktycznie cyklem zamkniętym. Wykorzystywało się wszystko.

Nie trzeba patrzeć na pierwotne gospodarstwa.

– Słusznie, wystarczy cofnąć się o 30 lat. Pamiętam, że mój dziadek do znużenia naprawiał ubrania i miał całą szafę sprzętów, które pozwalały ponownie wykorzystywać niemal wszystko. Dziś rzeczy się wyrzuca i kupuje nowe. Wspiera to praktyka nazywana celowym postarzeniem produktów. Dotyczy to głównie sprzętu RTV i AGD, ale i odzieży, bo ciuchy także produkuje się gorszej jakości, każe się je często zmieniać. Na tym przecież polega tzw. *fast fashion* (szybka moda) – każe się nam jak najczęściej kupować ciuchy kiepskiej jakości, żeby tylko nadążyć za modą. Rzeczy są produkowane w taki sposób, żeby szybko się psuły. A jednocześnie wszystko organizuje się tak, by – kiedy już te produkty się zepsują – okazało się, że nie ma części zamiennych lub są one drogie. Brakuje np. oprogramowania lub serwisu, które umożliwiłyby naprawę. Robi się to, byśmy jako konsumenci nie mieli wyboru i musieli więcej kupować. W efekcie szybciej wymieniamy auta, sprzęt AGD, sprzęt RTV oraz ubrania.

ciężkości z naszych indywidualnych zachowań – w rodzaju rezygnacji z jednorazowych foliówek na rzecz wielorazowych toreb – na poziom systemowy. Często nie mamy wyboru. Kiedy idziemy na zakupy do supermarketu, musimy kupić rzeczy zapakowane w plastik. Nawet warzywa są w plastiku. Wszystko jest w opakowaniach, które od razu po otwarciu trafiają do kosza.

Fakt. Do wielorazowej torby wrzucamy jednorazowe opakowania.

– Wynika to przede wszystkim z tego, że to bardzo wygodne dla handlu i logistyki. Dzięki temu można łatwo posegmentować produkty. Standardowe opakowania łatwo się dostarcza i układa na półkach. Cały system nie jest zorientowany na to, żeby produkować jak najmniej odpadów – jego celem jest zapewnienie jak największej wygody. Sobie oraz konsumentom. Poza tym opakowania wykorzystuje się w marketingu. Ich kolory, kształty i faktury to sposób wyróżnienia się na rynku, więc firmy nie są zainteresowane tym, żeby opakowania były standardowe i żeby dało się je wielokrotnie wykorzystywać.

Współczesna produkcja jest też globalna. Znakomitej większości towarów, które obecnie konsumujemy, nie wyprodukowano w promieniu 30 lub 50 km od miejsca sprzedaży. Wtedy dałoby się je przywieźć w skrzynkach i bez opakowań, ▶

► przekazać od razu do rąk nabywców. Tak jak na straganach na targu. Ale te produkty przyjeżdżają z całego świata. Przechodzą przez wiele magazynów, tirów itd. Rozproszenie łańcuchów produkcji po całym świecie wymaga szczelnych, trwałych opakowań. A w ostatnim stadium mamy przecież jeszcze markety, również zorganizowane w taki sposób, że było im wygodnie.

Prowadzisz badania światowych łańcuchów dostaw. Co jest dziś w nich najbardziej charakterystycznego?

– One w wewnętrznie sprzeczny sposób łączą dwie rzeczy. Z jednej strony wydają się niesamowicie efektywne i otwarte na producentów z całego świata. W każdym miejscu jesteś w stanie wytworzyć coś, co się przyda w jakiejś branży przemysłu na

Ale za tym kryje się kilka etapów dostaw, często nie do końca zrozumiałych nawet dla korporacji, która je kontroluje. Powstaje piramidka, którą można śledzić, ale tylko do pewnego momentu. Firmy nawet próbują to robić, bo chcą wiedzieć, jaka jest jakość, jakie są koszty. Ale to jest często tak złożone i rozproszone po świecie, że staje się nieprzejrzyste.

Kiedy kupuję rower, widzę markę producenta. Intuicyjnie zakładam, że to on mi go dostarczył. Podasz przykład pokazujący, jak bardzo rozdrobnione są łańcuchy produkcji?

– Są wyraziste przykłady. Jednym z nich jest Volkswagen, który ma kilkuset dostawców pierwszego rzędu i kilka tysięcy dostawców drugiego rzędu. Praktycznie cały świat. Ciekawe, że nawet proste produkty – takie

A druga, że to gospodarka uszyta na miarę gigantów.

– Z jednej strony daje to krajom Południa – ale też takim jak Polska – możliwość wejścia w różne miejsca tego łańcucha produkcji. Widać to w tym, jak wiele mamy montowni, podwykonawców oraz firm logistycznych. Angażujemy się w to i dzięki temu dostajemy np. miejsca pracy, które często są lepiej wynagradzane niż lokalne. A jednak coś za coś – przychodzi moment, gdy trudno jest przeskoczyć wyżej. Dlatego dystans gospodarczy, który dzieli Polskę od Niemiec, od lat utrzymuje się na zbliżonym poziomie. Coś zmienia się w dużych miastach, ale spora część naszego eksportu bazuje na produktach pracochłonnych. Choćby montowniach.

Lokalna firma może dostarczyć półprodukt, ale nie zbuduje globalnego łańcucha dostaw.

– Łańcuchy dostaw koordynują dzisiaj giganci. Dzięki temu oni zgarniają większość wypracowywanej nadwyżki. Mogą z nią robić różne rzeczy. Mogą pomnażać te środki albo wydawać je na – o tym mówiliśmy na początku – marketing i promowanie konsumpcji. Możliwości jest coraz mniej. Gdy wchodzisz do sklepu, może ci się wydawać, że masz ogromny wybór. Widzisz cały regał ciastek, jest ich tak dużo, że trudno ci się zdecydować, ale one bardzo często pochodzą od jednego, może dwóch lub trzech koncernów. W dodatku tak naprawdę nie wiemy, jaki jest skład danego produktu, gdzie i z czego został on wytworzony, jaka presja na środowisko się z tym wiązała. Dobrze to widać po strukturze handlu w Polsce: przybywa marketów wielkich sieci, a przestrzeń dla lokalnej produkcji jest stopniowo ograniczana.



Fragment rozmowy z książką Tomasza Borejzy *Odwolac katastrofe*. Rozmowa o klimacie, buncie i przyszłości Polski, Znak Horyzont, Kraków 2023

Już małe dzieci przygotowuje się do bycia konsumentami – często jeszcze zanim zaczną mówić.

drugim końcu globu. Procesy produkcji podzielono bardzo wąsko. Nie ma zakładu, który od początku do końca wytwarza rowery. Jedne zakłady robią śrubki, drugie produkują materiał na śrubki. Niektóre robią koła zębate, a niektóre – tokarki. Firmy z wielu regionów świata, w tym z Europy Środkowej, kombinują, jak włączyć się w ten proces. Ostatecznie otrzymujemy rzeczy, które teoretycznie zrobione są najefektywniej. Towary mają niską cenę i dobrą jakość. Jest jednak druga strona medalu. Wiodące firmy, które zapewniają markę, projekt, marketing i finansowanie, mają ogromną władzę. Z tego powodu podział dochodów jest bardzo nierówny i lwia część zysków trafia do tych przedsiębiorstw. Z kolei różnorodne koszty społeczne i środowiskowe podlegają offshoringowi, czyli przenoszeniu wybranych procesów przedsiębiorstwa za granicę. Zanieczyszczenia wody i powietrza, deforestacja czy fatalne warunki pracy przenoszą się do krajów Południa – z dala od oczu konsumentów wrażliwych ekologicznie.

Łańcuchy też są bardzo rozproszone. Mają kilka poziomów dostawców. Na szczycie jest firma, która daje markę, pod którą my kupujemy towar.

jak warzywa lub kwiaty – zanim trafią do ostatecznego odbiorcy, krążą po świecie ze względów logistycznych, których do końca nie rozumiemy. Niekiedy pokonują przy tym naprawdę daleką drogę. Walmart, amerykańska sieć supermarketów, to ciekawy przykład firmy, która miała ambicję śledzić swoich dostawców aż do piątego poziomu – dostawców dostawców dostawców swoich dostawców – żeby wymuszać standardy cenowe, bo akurat Walmartowi zależy głównie na tym. Ale bardzo trudno to zrobić. Tak jak trudne jest dziś kontrolowanie tego, jaki wpływ na środowisko ma produkcja określonych towarów. Firmy mogą chwalić się, że stają się bardziej zielone u nas, na globalnej Północy, że zmniejszają emisję, a tak naprawdę przenoszą je do dostawców. Widać to najlepiej, kiedy chodzi o emisję dwutlenku węgla. Ale przy odpadach jest podobnie. Wiemy o procedurze eksportu śmieci. Globalizacja utrudnia regulowanie takich spraw, bo produkcja nie jest lokalnie skoncentrowana.

Tu pojawiają się dwie ważne sprawy. Jedna, że kompletnie nie wiemy, kto wytwarza to, co kupujemy.

– Nie wiemy.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Ciemna granica

Film Agnieszki Holland „Zielona granica” na Festiwalu Filmowym w Wenecji. Minister Ziobro tak go skomentował: „W III Rzeszy Niemcy produkowali propagandowe filmy, pokazując Polaków jako bandytów i morderców. Dziś mają od tego Agnieszkę Holland...”. Obraz Holland mówi o dramacie uchodźców na granicy z Białorusią. Został entuzjastycznie przyjęty przez festiwalową publiczność i dostał nagrodę specjalną. Tym gorzej dla filmu. Media prawicowe wołają, że film jest oklaskiwany przez „zachodnie elity” i „Zachód”, bo antypolski. „Zachód” nagle staje się obelgą, „elita” to też obelga. Jak nie Zachód, to zostaje nam Wschód, jak nie elita, to prosty lud. Minister sprawiedliwości bawi się w krytyka filmowego i w moralistę – on, zamordysta – a filmu nie widział. Nie musi. Nikt z tych, którzy rzucają obelgi na Holland, filmu nie widział. I zapewne go nie obejrzy. Agnieszkę znam osobiście i niezwykle ją cenię, nie tylko jako artystkę. Też za prawość, za inteligencję i mądrość, a to nie zawsze idzie w parze, bywają ludzie inteligentni, którzy nie są mądrzy. Wszystko, co Holland mówi, ma swoją wagę i budzi zainteresowanie.

Tomasz Stala, jedynka na liście Konfederacji, będąc gościem telewizji wRealu24, stwierdził, że jest wciąż „dużo znaków zapytania i wątpliwości w sprawie komór gazowych w obozach koncentracyjnych”. Oprócz bycia działaczem politycznym jest on właścicielem wydawnictwa, które wydaje antysemitki książki, np. „Mord rytualny w Rzeszowie”, „Śledztwo historyczne” czy „Mędrców Syjonu”. Konfederaci cały czas się zarzekają, że nie ma mowy, by stworzyli z PiS rząd, ale mało kto im wierzy. Władza to narkotyk, otumania nawet mądrych i porządných, a co dopiero głupców.

Polska piłka nożna sięga dna. Ledwie wygraliśmy z Wyspami Owczymi, zaraz potem klęska z Albanią. Należę do coraz większej grupy kibiców, którzy, gdy gra polska drużyna, kibicują przeciwnikowi. Sport, jak to u nacjonalistów, staje się częścią gry politycznej rządzących. Wszystko jest już polityczne. Żle życząc PiS, źle też życzymy piłkarzom. Znany komentator sportowy oskarża portugalskiego trenera polskiej drużyny: Fernando Santos „stał się bardziej polski (w złym tego słowa znaczeniu) niż sami Polacy. Szybko wyszły na jaw jego najgorsze cechy, które przypisuje się naszemu narodowi. Niekoniecznie, kultura

dezinformacji, tupolewizm, optymizm magiczny”. Proszę, jak piłka nożna staje się źródłem narodowej refleksji.

Wpadł Robert, kawa z nim na tarasie. Jak wszyscy ma swoje problemy i depresyjną naturę. Poznaliśmy się zresztą na polu depresji. Wybitny mechanik samochodowy, a przy tym człowiek rozumny. Teraz pracuje jako dekarz. Mówi, że ma nagle dwa razy mniej zamówień na naprawy dachów. Ludzie nie mają pieniędzy. Inflacja wiele zjada. Mnie na pewno.

Konwencje programowe kilku partii. KO w Tarnowie, hasło „100 konkretów na 100 dni”. Dobrze to zabrzmiało. Pamiętam, jak kiedyś ludzie nawet życzliwi zarzucali Tuskowi, że jest leniwy. Teraz zadziwia jego pracowitość. I determinacja. I sprawność umysłowa oraz dar mówienia. Mnie tylko dziwi, jak słabo wybrzmiewa w kampanii wyborczej opozycji sprawa miliardów dla Polski z KPO, które blokuje PiS. To rzecz gardłowa, niebywała i skandaliczna. KO słusznie stawia na

kobiety, ukazuje, jaki patriarchalny i represyjny stosunek wobec kobiet ma PiS. A przecież mniej kobiet niż mężczyzn chodzi na wybory. To paradoks, bo o wiele więcej młodych kobiet idzie na

studia. Na spotkaniach autorskich 80% uczestniczących to kobiety. Jest chyba problem z solidarnością kobiecą, dlatego nie powstała silna partia kobiet, były takie próby, ale poniosły porażkę.

PiS w ramach swojej kampanii manipuluje, kłamie, szczuje. A przecież to dopiero początek. Ciekawe, co podłego wymyśli w puencie kampanii, w strachu przed przegraną. Gęsto się robi i duszno od ich fajdactw.

Przejmujemy się wojną na Ukrainie, PiS, Trumpem, inflacją, a to wszystko głupstwa wobec zmian klimatycznych. „To był najgorętszy okres w historii prowadzenia pomiaru temperatury na Ziemi”, oceniła trzy ostatnie miesiące Światowa Organizacja Meteorologiczna. Rekordowo wysoka jest też temperatura powierzchni oceanów. Skomentował te dane sekretarz generalny ONZ António Guterres: „Rozpoczęło się załamanie klimatu”. Przejmujemy się tym jeszcze ciągle mniejszość, większość uważa, że to bujda. Trumpowcy i pisowcy są sceptyczni lub wietrzą światowy spisek.

Zmianami klimatu przejmują się jeszcze ciągle mniejszość, większość uważa, że to bujda.

Meloni i Schlein

– pojedynek na garsonki

We Włoszech po raz pierwszy w historii rządzą kobiety, zarówno prawicowym rządem, jak i lewicową opozycją



Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu



Wkrótce minie rok, od kiedy Georgia Meloni rządzi Włochami jako pierwsza i jedyna kobieta w historii kraju, a Elly Schlein jest pierwszą w historii przewodniczącą włoskiej Partii Demokratycznej.

„Jestem Giorgia! Jestem kobietą, jestem matką, jestem ze skrajnej prawicy! Nie dla lobby LGBT, tak dla rodziny naturalnej! Nie dla masowej imigracji! Nie dla bankierów międzynarodowych! Nie dla biurokratów brukselskich! Nie dla przemocy islamskiej! Nie dla aborcji, tak dla życia!”, krzyczała Giorgia Meloni w październiku 2021 r., podczas wiecu hiszpańskiej narodowo-konserwatywnej partii Vox.

Już wkrótce minie rok (22 października), od kiedy Meloni rządzi Włochami jako pierwsza kobieta w historii tego kraju. W społeczeństwie opartym historycznie na modelu patriarchalnym to z jednej strony ewenement, z drugiej przewidywalna kolej rzeczy. Tylko konserwatywna prawica mogła wyłonić ze swojego

grona kobietę zdolną rządzić krajem, ale na twardych, maskulinistycznych zasadach, gdyż dla innych kobiet i innego modelu władzy nadal nie ma tu miejsca. Świadczy o tym już sam fakt, że Meloni mówi o sobie premier, a nie premierka.

Mała blondynka w eleganckich, kolorowych garsonkach dziś już zupełnie nie przypomina ani tej Giorgii krzyczącej zaledwie dwa lata temu na wiecu Vox, ani pyskatej, wymachującej flagą na wiecach postfaszystowskiego Sojuszu Narodowego dziewczyny z rzymskiej dzielnicy Garbatella. Meloni zmieniła się jak kameleon, przyswajając sobie wszystkie cechy establishmentu. Stała się prawie umiarkowana i nauczyła ważyć słowa. Włoska premier zdołała zaskarbić sobie przychylność

w instytucjach unijnych i zdobyć pewien autorytet na arenie międzynarodowej. Żadne media zagraniczne nie piszą już, że Włochom zagraża faszyzm. Jej styl jest skrzyżowaniem draghizmu i merkelizmu. Jednak melonizm w nowej odsłonie nie wszystkim Włochom przypadł do gustu. Wprawdzie miodowy rok rządu jeszcze trwa, ale premier zaliczyła już pierwsze protesty.

Obietnice i pieniądze

Rząd Meloni ma przeważającą większość zarówno w Izbie Deputowanych, jak i w Senacie, co pozwala mu praktycznie robić, co chce. W ciągu pierwszych ośmiu miesięcy parlament przyjął 42 ustawy rządowe, a lepsze rezultaty w tym

zakresie uzyskały tylko drugi i czwarty rząd Berlusconi. Premier i jej rada ministrów działają sprawnie i szybko, odwołując się często do dekretów (ale tak postępowały wszystkie włoskie rządy), mniej za to korzystając z wotum zaufania (rzadziej niż premierzy Conte i Draghi). Meloni nie zdoła jednak zrealizować większości przedwyborczych obietnic, które sama złożyła, ale przede wszystkim które Włochom złożyli jej koalicjanci – Salvini i nieżyjący już Berlusconi. Nie pozwoli jej na to trudna sytuacja ekonomiczna kraju ani ogólnoswiatowa koniunktura gospodarcza. Pomimo że Włosi są największymi beneficjentami środków z unijnego Funduszu Odbudowy (191,5 mld euro), pieniądze tych nie da się przeznaczyć na inne cele niż te zaplanowane przez poprzednie rządy w Krajowym Planie Odbudowy i przyjęte przez Brukselę. Nie wiadomo też, czy uda się z nich efektywnie skorzystać. Europejska kasa tłumaczy kameleonizm włoskiej liderki i jej euroaktywizm. Niestety, przy każdej trudności, którą w kontaktach z UE napotykają premier lub jej ministrowie, włoski rząd chętnie wraca do eurosceptycyzmu, zrzucając winę na biurokratów z Brukseli i na zbyt mały patriotyzm własnych komisarzy.

W tej sytuacji (galopująca inflacja i przewidywany zastój gospodarczy) rząd Meloni będzie musiał zrezygnować z kilku sztandarowych obietnic przedwyborczych: 15-procentowego podatku liniowego dla wszystkich i wcześniejszych emerytur dla osób, których staż pracy i wiek daje sumę 101 (obietnice Salvini) oraz podniesienie najniższych emerytur do 1 tys. euro (obietnica Berlusconi). Nie da się też zmniejszyć presji podatkowej. Uchwalenie budżetu na przyszły rok będzie trudne. Włosi będą zmuszeni zaciskać pasa, a nie wreszcie popuścić go zgodnie z obietnicami.

Meloni musiała się zmierzyć z dwoma wielkimi problemami, które odziedziczyła po premierze Giuseppe Contem i okresie populistycznych rządów Ruchu Pięciu Gwiazd. Pierwszym było zniesienie bezwarunkowego dochodu podstawowego (w 2021 r. pobierały

go 1 150 152 osoby, a w 2023 r. ok. 900 tys.; maksymalny zasiłek wynosił 780 euro). Drugim – zniesienie tzw. super bonusu budowlanego 110%, którego efektem jest dziura budżetowa na ponad 100 mld euro. Większość włoskich wyborców, zwłaszcza z północy, zagłosowała na prawicowy rząd właśnie dlatego, aby skończył z populistycznym rozdawnictwem, bo aż 75% beneficjentów bezwarunkowego dochodu podstawowego pochodziło z południa kraju, a świadczenie socjalne zniechęciło ich do podejmowania pracy. Od 1 stycznia 2024 r. rząd wprowadzi nową zapomogę, która obejmie ok. 800 tys. najbiedniejszych rodzin, ale zostaną z niej wykluczone osoby w wieku pracowniczym. Z super bonusu budowlanego, przewidującego 100-procentowy zwrot kosztów remontu i ocieplania fasad oraz 10-procentowy dodatek, mogli skorzystać wszyscy – biedni i bogaci. Nakręcał on rynek budowlany przez dwa lata,

Włoska premier zdołała zaskarbić sobie przychyłość w instytucjach unijnych i zdobyć autorytet na arenie międzynarodowej.

ale równocześnie podniósł koszty remontów i materiałów. Włoska Gwardia Finansowa odkryła oszustwa na 30 mld euro. W rezultacie najsprytniejsi wyremontowali elewacje na koszt państwa, co może teraz grozić jego bankructwem. Już Mario Draghi chciał podjąć te drastyczne kroki, lecz skończyło się to doprowadzeniem do jego dymisji przez M5S.

Sukcesy i porażki Meloni

Za sukces Meloni można uznać utrzymanie i wzmocnienie pomocy finansowej dla rodzin i włoskich firm, zwłaszcza poprzez dopłaty do cen prądu, gazu i benzyny oraz rozszerzenie listy produktów podstawowych, dla których VAT został obniżony do 5%. Z jej inicjatywy Włochy wprowadziły również jednorazowy podatek od dodatkowych zysków banków w 2023 r., tyle że spowodowało to załamanie giełdowe i oczywiście nie spodobało się bankierom.

Jej największą porażką jest walka z nielegalną imigracją. Rząd prężył muskuły, a po katastrofie z 26 lutego br. w pobliżu Cutro w Kalabrii, gdy płynąca z Turcji łódź z ok. 200 osobami na pokładzie pękła na dwie części kilka metrów od włoskiego wybrzeża, urządził pokazowy i zwołał sztab kryzysowy, ale nic się nie zmieniło. Wręcz przeciwnie – w 2023 r. nielegalna imigracja do Włoch wzrosła o 111%, w przeciwieństwie do roku poprzedniego. Z 68 571 nielegalnych migrantów przybyłych do UE w pierwszej połowie tego roku (62 680 drogą morską i 5891 drogą lądową), do Włoch dostało się 50 405 osób. Kraj ten pozostaje celem międzynarodowej mafii, mimo że tzw. dekret Cutro zastrzył kary za przemyt ludzi do 30 lat więzienia i zniósł specjalną ochronę dla uchodźców (co grozi zwiększeniem liczby migrantów przebywających nielegalnie na terenie kraju). Osobiste wizyty premier w Libii i Tunezji,

a także w Polsce i na Węgrzech, mające na celu powstrzymanie fali migracyjnej oraz relokację migrantów w UE, nie przyniosły rezultatów. Dla centroprawicowego rządu kwestia imigracji jest tak śliska i drażliwa, że w prorządowych mediach zaczęto unikać tematu i podawania statystyk.

Na tym tle inne reformy rządu, jak ta dotycząca systemu sprawiedliwości i sądownictwa oraz próba zmian konstytucyjnych i wprowadzenia prezydenjalizmu – błędną i znikają.

Meloni już przed wyborami zapowiedziała, że będzie działać na rzecz wzmocnienia roli tradycyjnej rodziny w społeczeństwie. W 2019 r. osobiście protestowała na manifestacjach przeciwko związkom gejowskim i LGBTQ. Teraz jej rząd zakazał transkrypcji aktów urodzenia dzieci z małżeństw jedнопłciowych zawartych za granicą, za co został upomniany rezolucją w Brukseli. Zdecydował również o uznaniu surogacji ▶

► za przestępstwo uniwersalne, co ma utrudnić posiadanie dzieci parom homoseksualnym.

Nie odniósłszy sukcesu w walce z nielegalną imigracją, Giorgia wzięła się za rodzimą mafię, przestępczość nieletnich i uchylanie się od obowiązku szkolnego. Po drastycznych gwałtach na dziewczynkach dokonanych przez grupę ich rówieśników w Caivano w Kampanii oraz w Palermo; po zastrzeleniu muzyka w centrum Neapolu, czego z zimną krwią dokonał nastolatek, a także po próbie zabicia księdza walczącego z handlem narkotykami na obrzeżach Rzymu, w dzielnicy Tor Bella Monaca, rząd Meloni wydał dekret Caivano. Sama premier udała się do miasta, w którym doszło do drastycznej przemocy, i zwołała tam sztab kryzysowy. Policja i wojsko

baby gangów, jak w krajach zwanych Trzecim Światem.

Właśnie w Caivano, miejscowości zdominowanej przez mafię, Giorgia napotkała pierwszy nieśmiały opór tych, którzy stracili bezwarunkowy dochód podstawowy.

Kolorowa Schlein

Od 26 lutego tego roku Elly Schlein jest pierwszą w historii przewodniczącą włoskiej Partii Demokratycznej. W jej półrocznej karierze lewicowej polityczki i liderki opozycji największą sensacją wzbudziło to, że przy wyborze ubioru stosuje armocromię, czyli analizę kolorystyczną, i w tym celu korzysta z porad konsultantki, której usługa kosztuje nawet 300 euro za godzinę. Schlein wyznała to w wywiadzie dla magazynu „Vogue”.

Po Schlein spodziewano się, że będzie twardą opozycjonistką Meloni, z nowymi pomysłami na lewicowość.

zostały wysłane do Caivano, Neapolu i do Tor Bella Monaca, aby przeszukać pod kątem narkotyków, brudnych pieniędzy i broni mieszkania w dzielnicach zdominowanych przez mafię. Dekret Caivano przewiduje m.in. przymusowe oddalenie nieletnich z miejsc, w których popełnili uprzednio wykroczenia, czyli zakaz wstępu do dyskotek, barów, dzielnic, a nawet miejscowości; upomnienie kwestora dla osób w wieku 12-14 lat; zakaz posiadania i używania telefonu komórkowego (mający zapobiegać organizowaniu się baby gangów); karę dwóch lat więzienia dla rodziców, których dzieci uchylają się od obowiązku szkolnego; ograniczenie dostępu nieletnich do pornografii.

Dla włoskiej lewicy są to typowo represyjne metody prawicowej polityki, która na przemoc odpowiada przemocą. Czy Giorgii Meloni uda się ten problem rozwiązać, czy też będzie to kolejny niewypał jak z imigracją – przyszłość pokaże. Faktem jest, że zabrała się za niego jako pierwsza. A we Włoszech wzrost przestępczości nieletnich, który wybuchł po pandemii, jest coraz bardziej niepokojący i przybiera formy

która pozwoliła jej wygrać wybory w 2018 r. Dla Elly Schlein zniesienie go jest „wojną, którą rząd wydał biednym, aby chronić bogatych”. Dziś bezwarunkowa zapomoga nie cieszy się już tak wielkim poparciem społecznym jak pięć lat temu. Obie partie skupiają się wobec tego na nowym wspólnym celu, jakim jest minimalna stawka godzinowa w wysokości 9 euro. Rząd Meloni nie jest jednak przekonany do wprowadzenia takiego rozwiązania, choć ma zamiar na ten temat dyskutować z opozycją i związkami. Prawica uważa, że minimalna stawka godzinowa może obniżyć płacę w niektórych sektorach objętych umowami zbiorowymi.

Choć PD i M5S mają wspólne cele i teraz próbują współpracować (co nie udało się przed ubiegłorocznymi wyborami, doprowadzając do klęski wyborczej oraz dymisji Enrica Letty), w rzeczywistości obie partie konkurują ze sobą i walczą o głosy ok. 1,8 mln osób, uważających się za klasę średnią, ale niegłosujących na prawicę ze względów ideologicznych.

Radykalizując i pchając PD na lewo, Schlein w praktyce traci umiarkowany elektorat. Już we wrześniu Partię Demokratyczną opuściło 31 członków z Ligurii, przechodząc do centrowej partii Akcja, której liderem jest Carlo Calenda.

„Powinna podnieść poziom dyskusji politycznej i podejmować tematy niewygodne, takie jak macierzyństwo zastępcze, a przede wszystkim rozszerzać sojusz polityczny nie tylko w lewo, ale i do centrum”, stwierdził Pier Luigi Bersani, były sekretarz PD, należący do zwolenników Schlein. „Z nią w nadchodzących wyborach europejskich nie osiągniemy nawet 17%”, wyrwało się drugiemu byłemu sekretarzowi partii, Nicoli Zingarettiemu.

Po Schlein spodziewano się, że będzie wobec Meloni twardą opozycjonistką, gotową w kwestiach ideologicznych toczyć z nią równy pojedynek przynajmniej na słowa, i że będzie mieć nowe pomysły na lewicowość. Tymczasem Elly z Giorgią może konkurować i wygrywać co najwyżej w doborze koloru garsonek.

Agnieszka Zakrzewicz

Jak Dumne Chłopaki skompromitowały Trumpa

Nie można bezkarnie rzucać kłamstw w pędzie po władzę

Eliza Sarnacka-Mahoney
Korespondencja z USA

We wtorek 5 września sędzia federalny Timothy Kelly ogłosił wyrok zamykający proces przeciwko pięciu członkom ugrupowania Proud Boys (Dumne Chłopaki) współodpowiedzialnym za organizację szturm na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Enrique Tarrio, lider grupy, został skazany na 22 lata więzienia, to najsurowszy jak dotąd wyrok w tej sprawie.

Tarrio, podobnie jak dwaj jego zastępcy: Ethan Nordean i Joseph Biggs, a także szef regionalny z Filadelfii Zachary Rehl, dostał odsiadkę z art. 18 U.S.C. par. 2384 o tzw. wywrotowym spiskowaniu – sławetna angielska fraza *sedition conspiracy* z przepisu, który wszedł do amerykańskiego prawodawstwa w czasie wojny secesyjnej. Nordean, Biggs i Rehl spędzą za kratkami odpowiednio: 18, 17 i 15 lat. Piątego sądownego w procesie, Dominica Pezzolę, szeregowego członka organizacji, który podczas szturm wydarł policjantowi z rąk tarczę i zabił nią szybko, wpuszczając tłum do Kapitolu, sędzia Kelly skazał na lat 10. Oczyścił go bowiem z zarzutu o wywrotowe spiskowanie i ukarał „jedynie” za utrudnianie pokojowego przekazywania władzy, włamanie, rabunek oraz atak na służby porządkowe (tego dnia zginęło pięć osób, a rany odniosło 140 policjantów). Tarrio, Nordean, Biggs i Rehl ze swoimi wyrokami dołączyli do Stewarta Rhodesa, lidera neofaszystowskiej organizacji Oath Keepers, który za wywrotowe spiskowanie dostał 18 lat odsiadki już w maju tego roku.

Dlaczego wyroki z artykułu o wywrotowym spiskowaniu są tak istotne, właściwie historyczne? Przyczyn



Enrique Tarrio (nz. w środku), lider grupy, został skazany na 22 lata więzienia.

jest sporo. Po pierwsze, są niemal bezprecedensowe w historii Ameryki od czasów wojny secesyjnej. Po drugie, zadają kłam teorii o skradzionych wyborach. Po trzecie, mogą podzielać jak kubek zimnej wody na wszystkich, którzy w spisek wierzą.

Powróćmy jak za secesyjnych lat

Ekstremistów planujących obalenie rządu nigdy w Ameryce nie brakowało. Sprzyja temu fakt, że „antyrządowość”, spadek po sporach ideologicznych toczonych już przez ojców założycieli u zarania amerykańskiej państwowości, po dziś dzień jako jedno z największych kuriozów cechuje amerykańską duszę. Idea narzucania ludziom norm postępowania oraz kontrolowania jakichkolwiek aspektów ich życia kłóci się przecież z uświęconym w Ameryce prawem do wolności. Wojna secesyjna – o którą nadal toczą się spory, co formalnie było jej przedmiotem: walka

o utrzymanie niewolnictwa czy wolność stanów do stanowienia o swoich sprawach – pozostaje, szczególnie dla konserwatystów, tym momentem w historii, kiedy rząd popisowo zaciągnął obrożę na szyjach obywateli.

Relacje Waszyngtonu ze stanami przywróconego do macierzy Południa układają się od tej pory różnie i może dlatego władza sądownicza zdaje się jak ognia unikać sądownictwa z art. 18 U.S.C. par. 2384. W istocie w ostatnich 150 latach skazała z niego jedynie kilkunastu aktywistów niepodległościowych z Puerto Rico. Choć kilka razy użyto tego artykułu w odniesieniu do „rodzimych terrorystów”, do procesów nigdy nie doszło, bo sąd za każdym razem takie sprawy oddalał. Tak się stało z segregacjonistami pod wodzą Edwina Walkera, którzy w 1962 r. walczyli o wykluczenie czarnoskórych studentów z listy przyjętych na Uniwersytet Missisipi. I z białymi suprematystami z ugrupowania The Order (Porządek), ▶

► aresztowanymi w 1984 r. za rozruchy zbrojne i morderstwo.

Co więc oznacza skazanie Dumnych Chłopaków za wywrotowe spiskowanie? To nie tylko kara za pierwszy w historii Ameryki zamach na najwyższą instytucję państwową, ale i uznanie ich za najniebezpieczniejszą od wojny secesyjnej organizację zagrożającą demokracji.

Biali, dumni, gnębieni

Dumnych Chłopaków powołał do życia w 2016 r. Kanadyjczyk Gavin McInnes, dziennikarz i ultrakonserwatysta stający w obronie gnębionego przez współczesny świat mężczyzny identyfikującego się z tradycjami europejskiego nacjonalizmu. Choć organizacja przyjmuje w swoje szeregi osoby kolorowe – przykładem jest sam Enrique Tarrio – język, jakim się posługuje, i sprawy, w które się angażuje, nie pozostawiają wątpliwości, że to ugrupowanie neofaszystowskie i suprematystyczne. Jak wyjaśnia w książce „We Are Proud Boys” dziennikarz śledczy witryny Huffington Post Andy Campbell: „Już we wczesnym okresie PB Gavin McInnes tak określił swój pogląd na kwestię miejsca białej supremacji w grupie: każdy może do nas dołączyć, o ile tylko zgadza

się z postulatami, że za sukcesem zachodniej kultury stoi przede wszystkim biały mężczyzna. To, że rasa nigdy nie stanowiła najważniejszego ideologicznego spoiwa organizacji, bez wątpienia czyni z niej społeczność o dziwnym obliczu. Członkowie PB noszą w sercu zarówno biały nacjonalizm, jak i bigoterię, a przede wszystkim łączą się pod sztandarem politycznej przemocy w służbie ultrapravicowej maszyny skarg i zażaleń”.

Wśród innych określeń opisujących PB znajdziemy: zachodni szowiniści, mizoginiści, rasiści, skrajni nacjonaści oraz pogromcy ruchu Black Lives Matter i socjalistów z Antify.

Na radarze FBI organizacja znalazła się wiosną 2018 r., gdy jej członkowie wznieśli aktywność w mediach społecznościowych i zaczęli się pojawiać na protestach, skandując hasła nienawiści i nawołując do przemocy. 30 czerwca 2018 r. w Portland Ethan Nordean pobił do nieprzytomności antyfaszystowskiego aktywistę. Niecałe trzy miesiące później, 22 września, na zlocie w obronie Alexa Jonesa, znanego radiowca i miłośnika teorii spiskowych, policja zatrzymała grupę PB szykującą się do ataku na kontrprotestujących. 4 sierpnia Facebook zablokował konto Gabe’a Silvy, który zaczął grozić socjalistom. Gdy zaś McInnes przyjechał w październiku tego roku na wiec republikanów w Nowym Jorku, a podczas przemówienia zadeklarował: „Nikomiu moich poglądów nie narzucam, ale przemoc naprawdę jest skuteczną metodą rozwiązywania problemów”, pod budynkiem doszło do rozlewu krwi. Dumne Chłopaki zaczęły atakować na ulicy osoby kolorowe. Aresztowano dziewięć osób, a FBI wpisało po tym zdarzeniu PB na listę ugrupowań terrorystycznych. Wtedy to McInnes zrezygnował z radą prawników z przywództwa w organizacji, a stery przejął Enrique Tarrio.

Na to, by nazwa ugrupowania stała się znana wszystkim Amerykanom, trzeba było poczekać jeszcze dwa lata, na pierwszą debatę prezydencką między Donaldem Trumpem a Joem Bidenem 29 września 2020 r. Na pytanie prezentera Chrisa Wallace’a, czy Trump gotów jest potępić białych suprematystów, ten odpowiedział

znamiennym zdaniem: „Cofnijcie się, ale trwajcie w pogotowiu” skierowanym właśnie do Dumnych Chłopaków.

W czasie szturm na Kapitol PB współpracowali z innymi ugrupowaniami neofaszystowskimi – Oath Keepers oraz Three Percenters. Oba powstały dużo wcześniej, w odpowiedzi na prezydenturę Baracka Obamy. Podobnie jak PB i one urosły w siłę i zapewniły sobie miejsce w powszechnej świadomości dopiero pod rządami Trumpa. Choć trudno o twarde dane, Centrum ds. Walki z Ekstremizmem przy Lidze przeciw Zniekształceniom (Anti-Defamation League, ADL) w Nowym Jorku donosi, że w 2022 r. liczba zrzeszonych w amerykańskich oddziałach (wszystkie działają również w Kanadzie) organizacji Proud Boys, Oath Keepers i Three Percenters już przekroczyła 40 tys.

Jon Lewis, ekspert z Uniwersytetu Jerzego Waszyngtona badający ekstremizm w USA, wskazuje dodatkowe znaczenie kar wymierzonych liderom Proud Boys i Oath Keepers za szturm na Kapitol. „Znajdujemy się na niebezpiecznym rozdrożu. Fala przemocy i agresji ze strony rodzimych terrorystów, jakiej doświadczyliśmy w ostatnich latach, nie zostawia wątpliwości, że dalsza pasywność i przemykanie oczu na to zjawisko nie wróżą nam nic dobrego. Jeśli w styczniu 2024 r. mamy uniknąć kolejnej rewolucji, musimy odstąpić od realizacji przestarzałych wytycznych dla »wojny z terrorem«, którą wciąż umiejscawiamy poza granicami USA, i skoncentrować się na zagrożeniach płynących z samego środka naszego kraju”, postuluje Lewis.

Postulat ten wspierają zaś statystyki. W latach 2013-2022 amerykańscy ultrapravicowcy byli odpowiedzialni za 75% morderstw popełnionych przez ekstremistów, przy czym co czwarta ofiara (251 osób) zginęła z rąk białego suprematysty. Radykalni islamisci dopuścili się 20% zbrodni z tego zestawienia, a ultraliberałowie – 4%.

I rzecz nie mniej przerażająca, którą śledztwo w sprawie szturm na Kapitol tylko potwierdziło: w szeregach ekstremistów rośnie liczba



mundurowych, już nie tylko weteranów wojennych, ale i ludzi wciąż czynnych zawodowo. Ekstremiści nie tylko więc się militaryzują, ale także dzięki takim „wtyczkom” zyskują możliwość infiltracji obszarów bezpieczeństwa publicznego. Gdy we wrześniu 2022 r. ADL dotarła do listy członków Oath Keepers, odkryła na niej nazwiska 370 policjantów i ponad 100 żołnierzy w służbie czynnej.

Winni, wrobieni

Teoria o skradzionych wyborach oraz szturm na Kapitol pozostają najbardziej polaryzującymi Amerykanów zjawiskami ostatnich lat. Polaryzacji sprzyja nie tylko zachowanie Trumpa, ale i upolitycznienie wszelkich prób wyjaśnienia, co naprawdę zaszło 6 stycznia. Prace i wnioski specjalnej komisji kongresowej powołanej już w 2021 r. nie pomogły. Prawica od początku przypięła im łatkę polowania na czarownice. Ale wyroki sądowe będące efektem śledztwa i działania prokuratury to inna sprawa. Największe w historii FBI dochodzenie zaowocowało aresztowaniem już ponad tysiąca osób, a skazaniem kilkuset. Wiele procesów, w tym przeciwko liderom PB, prowadzili sędziowie nominowani przez Trumpa. Wyroki skazujące z artykułu o wywrotowym spiskowaniu wysyłają więc do ludu MAGA jasny przekaz: wyniki wyborów były prawomocne, a 6 stycznia doszło do realnej próby dokonania zamachu stanu w wyniku spisku.

Jedyne, co dało się w tej sprawie zrobić – i z czego sędzia Kelly skorzystał – to nałożyć na PB łagodniejszy wyrok, niż ubiegała się prokuratura. Tarriowi groziły 33 lata więzienia, a każdemu z pozostałej czwórki ponad 20 lat.

Ciosem dla omawianej teorii, choć wygląda na to, że na razie wcale nie tak poważnym, były zeznania samych członków PB. W obiegowej, wciąż uczęszczanej przez Trumpa wersji uczestnicy szturmu byli jedynie „pokojowymi manifestantami”, którzy przyjęli zaproszenie do wspólnego spaceru pod Kapitol (Trump, jak wiemy, ostatecznie udziału w spacerze nie wziął). Nadto Trump zapiera się, że nie miał pojęcia, iż jego fani mogli

być 6 stycznia uzbrojeni i gotowi na regularną rewolucję, a twierdzenie, że jego sztab utrzymywał z nimi kontakt przed szturmem, uważa za absurdalne. Dumne Chłopaki wszystkie te twierdzenia obalily.

Tarrio przyznał się, że już 20 grudnia powołał do życia „Ministerstwo Samoobrony”, którego oficjalnym celem ogłoszonym członkom PB pod postacią kodowanych wiadomości były „powrót 1776” oraz „szturm na Kapitol” w dniu zatwierdzania głosów elektorskich. I choć ani on, ani żaden z trójki jego zastępców nie uznał tego za akt wywrotowego spiskowania, zrobił to w ich imieniu inny członek organizacji, Jeremy Bertino. Ten dawny szef oddziału PB w Karolinie Północnej był sędzonym i przyznał się do wywrotowego spiskowania już w październiku 2022 r. Wyjawił wtedy m.in., że planowanie szturmu i koordynowanie akcji z innymi organizacjami rozpoczęło się niemal natychmiast po ogłoszeniu wyników wyborów w listopadzie 2020 r. Bertino wciąż oczekuje na wyrok, z racji tego, że najpierw zgodził się zeznawać w procesie Tarria i reszty.

I wreszcie linia obrony przyjęta przez adwokatów Tarria oraz sędzonych z nim kolegów. Jej fundamentem był argument, że Dumne Chłopaki jedynie wykonywały wolę człowieka, którego uważały za ich przywódcę. A że okazał się oszustem – nieświadomie padli ofiarą jego mactw. Mamy więc do czynienia z ciekawym paradoksem. Broniąc się, osobnicy, w których lud MAGA po dziś dzień widzi bohaterów najbardziej zaangażowanych w obronę interesu ich wodza, de facto tego wodza zdemaskowali i ośmieszyli. Tuż przed ogłoszeniem wyroku Tarrio wyznał publicznie, że jest „dogłębnie zawstydzony rolą, jaką odegrał w ataku na Kapitol”. „Mój kandydat przegrał”, dorzucił.

Faworyt, ale na cenzurowanym

Trump wciąż cieszy się dużym poparciem i nieco ponad rok przed wyborami pozostaje faworytem konserwatywnego elektoratu. Jest jednak nadzieja, że zachowanie sądu i samych Dumnych Chłopaków choć

trochę skomplikuje mu życie. Pod koniec lata został postawiony w stan oskarżenia za próbę sfalszowania wyborów w stanie Georgia, a to tylko jedno z rozlicznych postępowań prawnych, które przeciw niemu się toczą. Na pewno nie pomoże mu, że w czasie procesu Tarria i spółki FBI ujawniło wiadomości, które kilka dni przed szturmem Tarrio wymieniał z Rogerem Stone’em, republikańskim strategiem i jednym z najważniejszych zauszników Trumpa. Śledczy są też w posiadaniu zapisu rozmowy, którą „ktoś” ze sztabu Trumpa przeprowadził zaraz po szturmie z przywódcą Oath Keepers Stewartem Rhodesem. Teoria, że sztab Trumpa nic o planowanym ataku na Kapitol nie wiedział, upadła.

Ponadto w odróżnieniu od innych to akurat postępowanie prze naprzód z całą siłą. Oskarżająca Trumpa prokuratura Fani Willis na rozpoczęcie procesu wyznaczyła dzień 4 marca 2024 r. Adwokatowi Trumpa na razie nie udało się tej daty przesunąć, nie można więc wykluczyć, że jeśli sąd nie zwolni tempa, były prezydent może usłyszeć wyrok jeszcze przed wyborami zaplanowanymi na 5 listopada. A jak wykazał sondaż Reuters/Ipsos z końca sierpnia br., 42% elektoratu republikańskiego nie zgłasza na kryminalistę z wyrokiem więzienia, kolejne 20% taki wyrok zmusi do głębokiego zastanowienia się nad głosowaniem.

Widok neofaszystów za kratkami jest dla wielu Amerykanów ważny z jeszcze jednego powodu. Danny Westneat, komentator polityczny dziennika „The Seattle Times”, nazywa to powrotem idei odpowiedzialności za słowa i czyny. „To prawdziwa ulga zobaczyć, że nie można tak po prostu rzucać sobie kłamstw w pędzie po władzę. Ulga, bo już niemalże przyzwyczaiłem się do tego, że z polityki zniknęły ostatnie bariery i że można dziś bezkarnie robić naprawdę wszystko. Wyrok dla Dumnych Chłopaków jest jak długo wyczekiwany przełom przywracający wiarę w to, że ze swoich uczynków trzeba się rozliczać”, napisał w felietonie. Dobrze, by Danny Westneat się nie mylił. Inaczej czekają nas przerażające czasy.

Eliza Sarnacka-Mahoney

Metropolia potrzebuje ekscentryków

Rampa leży na pograniczu tego, co miejskie i podmiejskie, a nasza widownia jest mieszanką społeczną i geograficzną



MICHAŁ WALCZAK
– dyrektor Teatru Rampa

Rozmawia Tomasz Miłkowski

Po raz pierwszy pracuje pan na etacie?

– Za dyrekcji Jana Buchwalda współpracowałem z Teatrem Powszechnym jako konsultant literacki, ale nie etatowo, tylko na umowę-zlecenie. Praca w Rampie to mój pierwszy etat w instytucji kultury, podobnie jak etat Moniki Strzępki – dyrektorki Teatru Dramatycznego.

Wiele to zmienia w rytmie pańskiej pracy?

– Instytucja systematyzuje i sprzyja rytualizacji, o którą trudno, gdy jest się wolnym strzelcem. Przed

objęciem dyrekcji Rampy miałem doświadczenie w prowadzeniu zespołu i organizacji instytucji pozarządowej – jako lider kabaretu Pożar w Burdelu i prezes fundacji. Byłem bardzo ciekaw, czy kreatywność typową dla działań offowych uda się pogodzić z rytmem pracy w instytucji miejskiej. Dwa sezony zarządzania Rampą dowiodły, że to możliwe – jeśli powściągnie się improwizacyjny temperament, wzmocni planowanie i przełamie stereotypowe myślenie o instytucji kultury. Na początku obawiałem się etatowej monotonii, ale ludzie pracujący w Rampie na stałe i twórcy, których zapraszamy do projektów, wnoszą

tak pozytywny ferment, że rutyna mi nie zagraża. Chciałbym, żeby ten ferment mógł się rozwijać przez produkcję jeszcze większej liczby premier. Na razie wystarcza nam na dwa, trzy nowe spektakle w sezonie. Chciałbym, żeby Rampa produkowała ich pięć lub sześć.

Wszystko ma plusy i minusy.

– Po dwóch sezonach dyktowania wraz z moim zastępcą Łukaszem Strzelczykiem jestem bardziej świadomy zalet i wad teatru instytucjonalnego. Pierwszy sezon był naznaczony pandemicznym chaosem i stresem. W sezonie drugim, bardziej stabilnym i przemyślanym, odnalazłem balans między

żywiłowymi pomysłami a odpowiedzialnością za instytucję, czyli przede wszystkim ludzi: pracowników teatru i widzów. Wielość obowiązków związanych z zarządzaniem instytucją czasem przeważa nad frajdą twórczą, ale dzięki zgranemu zespołowi pojawia się coraz więcej przestrzeni na kreatywność i jej stymulowanie u twórców.

Rampa nauczyła mnie innej perspektywy niż tylko dramatopisarska czy reżyserska – jako dyrektor naczelny i artystyczny staram się zrozumieć punkt widzenia twórczyni czy twórcy i pomóc go wydobyć, nie kierując się wyłącznie osobistym gustem. To zmusza do stanięcia z boku, raczej towarzyszenia procesowi twórczemu niż ingerencji w niego. Spojrzenie z boku na Warszawę i jej twórców jest w ogóle typowe dla Rampy, sceny położonej w sercu blokowiska na Targówku, dzielnicy nieoczywistej, oryginalnej i nieco tajemniczej. Tworzenie teatru właśnie tutaj to wyzwanie, którego potrzebowałem, aby się rozwijać.

Mógiby pan utknąć w Pożarze, także w jego poetyce.

– Z dzisiejszej perspektywy myślę, że tworzenie przez ponad siedem lat nieformalnej grupy bez instytucjonalnej stabilizacji czy systematycznych grantów ocierało się o szaleństwo i wymagało poświęcenia, które pożerało prawie całą energię życiową. Szkoda, że obecny system finansowania kultury w Polsce nie wspiera kompanii teatralnych w stylu belgijskiej Needcompany, ale dzięki temu dynamiczne twórczynie i twórcy rozwijają się w instytucjach, próbując łączyć stabilizację i innowacyjność. Nie odcinam się od dorobku Pożaru w Burdelu, staram się go twórczo transformować, pracując w Rampie nad nowymi formułami komediowymi, takimi jak one man show Andrzeja Konopki o Anatoliju Kaszpirowskim, baśń muzyczna „Mały Syrenek” czy „Niepokój nauczycielski” – stand-up musical Agnieszki Makowskiej. Pożar w Burdelu był komediowo-muzyczną opowieścią o Warszawie, Rampa to komediowo-musicalowy teatr, położony w bardzo szczególnym dla Warszawy miejscu, w którym Andrzej Strzelecki

w okresie transformacji tworzył autorski teatr muzyczny. Start w konkursie na dyrektora Rampy był w jakimś sensie naturalny i cieszę się, że mogę rozwijać kulturę właśnie w tej części Warszawy.

Widać, że szuka pan więzi z miejscem, z Targówkiem. Pożar był kabaretem silnie zrośniętym z miastem, z Warszawą. Pomysły, które w nim krążyły, wiązały się z drążeniem metra, z podziemnym miastem. Ta alternatywna nie-Warszawa odzywa się teraz na Targówku.

– W repertuarze Rampy interesuje mnie to, co także w Pożarze w Burdelu było silnikiem twórczym: przekładanie lokalności na uniwersalny język i sprowadzanie wielkich mitów do świata tu i teraz. Aluzje do miejscowych kontekstów nie mogą być

wrażliwi na otoczenie i jego specyfikę, bo jesteśmy jedną z niewielu scen na prawym brzegu Wisły, a jedyną na Targówku. To odpowiedzialność i szansa na stworzenie oryginalnego, nieszablonowego repertuaru. Rampa przypomina mi trochę teatr w Wałbrzychu z czasów dyrekcji Piotra Kruszczyńskiego i eksplorowanie duszy miasta czy dzielnicy nieco zapomnianej i zdystansowanej wobec centrum. Ten dystans i historia powstania to szansa na oryginalny teatr popularny, wyrastający z ludowych korzeni. Budynek teatru został zbudowany w 1956 r. jako dom kultury w scenerii wiejskiej, w której zamiast bloków były łąki i pastwiska. Dopiero Marian Jonkajtys i Jan Krzyżanowski przeforsowali ideę stworzenia na Targówku teatru w 1975 r.

Nie odcinam się od dorobku Pożaru w Burdelu, staram się twórczo go transformować, pracując w Rampie nad nowymi formułami komediowymi.

oczywiście jedynym paliwem repertuaru, ale staramy się inteligentnie łączyć komentarz do życia w stolicy z dobrymi historiami w spektaklach, takich jak „W grobie się nie mieści” czy „Niekończąca się historia”. Eksplorujemy też muzyczne światy i mity w widowisku „Depesze” o jednej z najśłynniejszych w Polsce subkultur. Badamy podświadomość miasta, jego sny wyrażane w popkulturze i zbiorowej wyobraźni.

Chce pan rozuścić tę wyobraźnię?

– Mam jej niedosyt. Odnoszę wrażenie, że Warszawa jako miasto patrzy na siebie zbyt pragmatycznie i materialistycznie. A ja do życia potrzebuję wspólnoty śnienia, miejskiego karnawału łączącego wysokie i niskie, żywych i zmarłych. Metropolia nie istnieje bez swojego cienia, równoległego miasta mitów i symboli, nie-Warszawy. Większość stołecznych teatrów tworzy repertuary niezależne od lokalnych kontekstów, skupiając się na jednorodnym obszarze umownego centrum, gdzie oferta kulturalna jest obfita i często bardzo do siebie podobna. Rozwijając teatr na Targówku, musimy być bardziej

1 maja.

– Teatr na Targówku – bo tak brzmiała pierwotna nazwa placówki – miał misję szerzenia kultury w dzielnicy ludowo-robotniczej i słabo zurbanizowanej, dlatego najpopularniejszymi gatunkami w repertuarze były wodewile, rewie, a nawet przedstawienia cyrkowe. Przy obecnym zainteresowaniu ludową historią Polski warto zwrócić uwagę na ludową historię Warszawy. W 2025 r. będziemy obchodzić 50-lecie teatru i poprzez jego dzieje zadamy pytanie o rolę teatru popularnego i ludycznego we współczesnej i przyszłej Warszawie, której kultura powinna kwitnąć nie tylko w kolejnym dotowanym milionami teatrze w Pałacu Kultury czy jego okolicach, ale także w dzielnicach o niższym poziomie uczestnictwa w kulturze. Jeśli chcemy naprawdę unowocześnić kulturę stolicy – zerwijmy z pałacocentryzmem i dostrzeżmy to, co dzieje się poza centrum. Rozumiem polityczną obsesję wzmacniania lewobrzeżnego centrum miasta, ale dla kultury lepsza jest decentralizacja, ex-centryczność i różnorodność. ▶

► **Za dyrekcji Andrzeja Strzeleckiego zarzucano mu, że robi teatr dla lewobrzeżnej Warszawy, że widownia przyjeżdża z drugiej strony Wisły.**

– Dyrekcja „Strzelca” to okres świetności Rampy, który przywołałem w programie i chciałbym do niego nawiązać, integrując widza z lewej i prawej strony Wisły, kierując nasze spektakle także do mieszkańców miejscowości podwarszawskich i całego Mazowsza. Rampa to teatr leżący na pograniczu tego, co miejskie i podmiejskie, a nasza widownia jest mieszanką społeczną i geograficzną. Tworzenie repertuaru, który działa na kilku poziomach i dociera do różnorodnej widowni, to

mi opatrzone napisem: „Przestrzeń eksperymentalna”. Przez kilka lat działało tam tzw. Mrowisko, scena offowa prowadzona przez Grzegorza Mrówczyńskiego. Czy to nawiązanie do tego typu działań?

– Przestrzeń eksperymentalna jest obecnie wykorzystywana głównie przez Joannę Górniak, liderkę programu rewitalizacyjnego Otwarta Rampa, który poprzez warsztaty musicalowe i stand-upowe rozwija nurt amatorski i realizuje społeczną misję aktywizowania mieszkańców przez teatr. Pod koniec sezonu ok. 50-60 osób niezwiązanych zawodowo ze sceną występuje w spektaklu muzycznym odnoszącym się do

czy dzielnicę. Przed objęciem dyrekcji Rampy przez trzy lata tworzyłem z grupą zapaleńców praski festiwal cyrkowy Inwazja Klaunów, który znakomicie wpisał się nie tylko w praskie klimaty, ale też w pandemiczne lęki. Bardzo chciałbym reaktywować Inwazję Klaunów na Targówku, gdzie w odróżnieniu od Pragi pokutuje stereotyp pustyni kulturalnej. Wykorzystanie wspaniałych parkowych przestrzeni ożywiłoby blokowisko i aktywizowało życie towarzysko-kawiarniane.

Mam nadzieję, że jubileusz 50-lecia teatru będzie okazją do przekonania biura kultury i naszych partnerów w dzielnicy do wsparcia Rampy jako teatru publicznego, którego misją jest rozwój prawobrzeżnej kultury nie tylko przez kolejne sukcesy sprzedażowe, ale także dzięki aktywizowaniu dzielnicy poprzez festiwale i działania plenerowe, dostępne dla wszystkich.

Rozmawiamy przed premierą „40-latka”, musicalu nawiązującego do bardzo warszawskiego serialu Jerzego Gruzy.

– Teatr muzyczny w Polsce napędzany jest coraz częściej świetnymi musicalami z West Endu i Broadwayu, które są gotowymi produktami, sprzedającymi się przed premierą i gromadzącymi fanów gatunku. Misją teatru publicznego powinno być jednak tworzenie oryginalnych, polskich spektakli muzycznych, konkurencyjnych wobec formatów wypracowywanych często przez lata w specjalnych programach doskonalenia scenariusza czy inscenizacji. Jeśli nie chcemy za kilka lat być filią West Endu, potrzebujemy laboratorium warszawskiego musicalu – programu wsparcia twórców oryginalnych pomysłów, które będą podstawą repertuaru przyszłości.

Rok 2022 formalnie był rokiem Gabriela Narutowicza, ale w teatrze nie było po tym śladu. Jeśli wzorujemy się na West Endzie i zachwycamy spektaklami historycznymi – gdzie jest warszawski musical o najśłynniejszym polskim mordzie politycznym? Teatr muzyczny powinien edukować i bawić oraz angażować się inteligentnie w dyskusje polityczne – zwłaszcza jeśli bierze na warsztat aktualne, polskie tematy.

Musimy być bardziej wrażliwi na otoczenie i jego specyfikę, bo jesteśmy jedną z niewielu scen na prawym brzegu Wisły.

fascynujące wyzwanie zintegrowania rozrywki z głębszym przekazem. Połączenia pierwiastka ludowego z intelektualnym. Przenikanie się tych żywiołów czuję codziennie w moim gabinecie, który ma nietypową historię: za czasów domu kultury było to mieszkanie dozorca budynku.

Dyrektor to też trochę dozorca.

– Podoba mi się ta podwójność wpisana w budynek, po którym krążą duchy nie tylko twórców teatralnych, ale także instruktorów i animatorów, od lat 50. krzewiących na Targówku kulturę. Socrealistyczny pałac wśród bloków nie jest zbyt funkcjonalny, bo pomieszczenia biurowe są rozrzucone po dwóch piętrach bez widocznego planu, za to mamy cztery sceny różnej wielkości. Miejska legenda głosi, że w podziemiach miała się znajdować pierwsza stacja metra. Mój wieloletni poprzednik, dyrektor Witold Olejarz, pokazywał nam dowody na tę teorię, która – choć niepotwierdzona – rozbudza wyobraźnię. Podobnie jak grodzisko na Bródnie czy prehistoryczne wykopaliska na budowie drugiej nitki metra, o których śpiewaliśmy w Pożarze w Burdelu. Targówek to idealne miejsce na stworzenie Muzeum Miejskich Legend i Baśni.

Kiedy zmierzałem do pańskiego gabinetu, mijałem wejście do podzie-

historii prawobrzeżnej Warszawy. W tym roku będziemy pracować nad horror musicaliem „O północy w lunaparku”, nawiązującym do historii Lunaparku Sto Pociągów, istniejącego w parku Praskim przed wojną, a przewodnikiem po fabule będzie Stefan Wiechecki „Wiech” – Homer warszawskiej ulicy, którego imieniem nazwany został otaczający Rampę park. Mieszkając na Pradze, niedaleko powojennego sklepu ze słodyczami prowadzonego przez „Wiecha”, wierzę, że rewitalizacja nie musi być abstrakcyjnym hasłem. Może się stać aktywnym pobudzaniem miejskiego karnawału i wymiany energii między instytucjami a ludźmi.

Prawy brzeg jest inny?

– Nieprzypadkowo warszawski lunapark przed wojną znajdował się właśnie w parku Praskim, gdzie odbywały się potańcówki i gromadzące tysiące ludzi zabawy miejskie. Dziki brzeg Wisły i zielone plenery Targówka sprzyjają imprezom plenerowym, takim jak festiwal nowocyrkowy, promujący sztukę ekologiczną i ludyczną, wychodzącą z budynków do mieszkańców, jak dzieje się to w wielu polskich miastach. Opole, Oleśnica czy Lublin odkryły dawno zaraźliwe piękno nowoczesnego cyrku, który w połączeniu z teatrem może niesamowicie ożywić miasto

Boję się przytłoczenia przez pozyczone historie i gotowce musicalowe, bo czuję się warszawskim patriotą i wierzę w polską popkulturę. Będę lobbował za ideą laboratorium musicalu, bo wierzę w strategiczny rozwój widowni i repertuaru oryginalnego. Wystawiany w Teatrze Syrena musical „Bem” ewoluował z kilkuminutowej sekwencji odcinka Pożaru w Burdelu dzięki rozmowom, które toczyliśmy z Maxem Łubieńskim i Jackiem Mikołajczykiem. Platforma dialogu i rozwoju projektów od mniejszych form do ukształtowanych produktów pozwoliłaby zintegrować grupę twórców na stałe rozwijających autorskie idee, które często potrzebują sparingu, konfrontacji i konstruktywnej krytyki.

Skąd pomysł na „40-latkę”?

– Warszawa zasługuje na oryginalny musical, który opowiada o jej tożsamości i ikonicznych postaciach, takich jak Stefan Karwowski. Inżynier, budowniczy, ojciec i mąż to symbol miasta w nieustannej budowie, które znakomicie sportretowali Krzysztof Teodor Toeplitz i Jerzy Gruza. Reżyser serialu „40-latek” to też postać bardzo mi bliska, człowiek orkiestra, który poruszał się między telewizją, kinem i teatrem muzycznym, rozumiejąc potrzebę swojskiej, warszawskiej popkultury. Zapracowany Karwowski w kryzysie wieku średniego wydał mi się aktualniejszą figurą współczesności niż pozbawiony zobowiązań hipster z placu Zbawiciela. Może dlatego, że z wiekiem bardziej interesujące wydają mi się dojrzałe postacie. Podobnie myśli Joanna Drozda, która współczesnego „40-latkę” reżyseruje.

Chce pan do Rampy skrzyknąć twórców, którzy interesują się rodzimym teatrem muzycznym?

– Bardzo podobały mi się spektakle Joanny „Hotel Ritz” w Białostockim Teatrze Lalek i „Piplaja” w Syrenie, oba zainscenizowane z charakterystycznym połączeniem ironii i czułości wobec bohaterów. Cieszę się, że „40-latkę” dzisiaj interpretuje reżyserka i równocześnie autorka scenariusza inspirowanego oryginałem. Myślę, że męskiemu bohaterowi w kryzysie przyda się perspektywa feministyczna, którą

ucieleśni nowa wersja kobiety pracującej – w którą wciela się reżyserka.

A co z pańskim sercem do dramatu? Dyktowanie chyba trochę utrudnia pracę pisarzowi?

– Trudno równocześnie występować w rolach twórczych i administracyjnych, ale stale się tego uczę i wierzę, że da się pogodzić kreację z zarządzaniem. Może dlatego, że w roli dyrektora kreatywność bardzo się przydaje, a twórczość też wymaga dobrego zarządzania. Przez ostatnie dwa sezony pisałem dla Rampy, ale też dla innych teatrów. „Partycja królowa sieci” w Białostockim Teatrze Lalek, „Szatan show” w Teatrze Polonia czy „Ballady i romanse” w Teatrze Ludowym w Krakowie, a za chwilę „Bim-Bom-Boom” dla Teatru Powszechnego w Łodzi to świetne projekty, które dały ujście mojej energii twórczej poza dyktowaniem. Bardzo dużo energii pisarskiej włożyłem również w projekty Rampy, dzięki czemu wzbogaciliśmy tanio i szybko repertuar. Klasyczne rozumienie „pisanie dramatów” bardzo się zmieniło od czasu, gdy zaczynałem przygodę ze sceną, a druk w „Dialogu” był równoznaczny z premierą w teatrze. Pisanie dla teatru

frekwencji i społeczności lojalnych fanów brakuje nam paliwa na dodatkowe dwie, trzy premiery, w których moglibyśmy bardziej zaryzykować, wyjść w plener i zaprosić twórców projektów niekomercyjnych, za to wartościowych społecznie. To nie jest moja dyrektorska fanaberia, ale potrzeba Targówka i prawdopodobnie kultury. Chcemy działać intensywniej i poszerzyć naszą ofertę artystyczną. **Jesteście na to gotowi?**

– Warszawa musi dostrzec potrzeby kulturalne obszarów leżących poza centrum i wyjść z cienia Pałacu Kultury. Nowoczesność to decentralizacja i pomysły rodzące się w ex-centrycznych warunkach, a nie reprodukcja socrealistycznego pomysłu na kumulację kapitału kulturalnego na jednym obszarze. Jeden schemat przestrzenny rodzi podobne do siebie schematy myślenia, zmniejszając aspekt zaskoczenia i różnorodność idei. Dlatego przygarniamy do Rampy idee wypierane przez centrum i będziemy konsekwentnie eksponować ex-centryczne postacie polskiego teatru, takie jak Adam Hanuszkiewicz, którego 100-lecie urodzin będziemy obchodzić w przyszłym roku.

Moda na sztuki teatralne wróci, gdy zmęczymy się oglądaniem kolejnych seriali. Czyli już wkrótce.

oznacza czasem stworzenie scenariusza do projektu czy współtworzenie koncepcji z zespołem twórców. Autonomiczny dramat literacki nie istnieje w takim wymiarze jak kiedyś, ale wierzę, że moda na sztuki teatralne wróci, gdy zmęczymy się oglądaniem kolejnych seriali. Czyli już wkrótce.

Marzenie dyrektora?

– Bardzo mi zależy na zwiększeniu liczby premier w sezonie i zatrudnieniu większej liczby aktorów.

Przeszkodą są skromne fundusze?

– Rampa otrzymuje dotację niemal pokrywającą koszty stałe, więc środki na premiery wypracowujemy ze sprzedaży biletów. To powoduje presję na sukces sprzedażowy i minimalizację ryzyka artystycznego. Mimo przeszło 90-procentowej

Rampa to teatr ekscentryczny?

– Na pewno inny, położony poza centrum, operujący hybrydowymi formami z pogranicza niskiej i wysokiej kultury. Część etatowych aktorów należała do zespołu Hanuszkiewicza, ekscentrycznego romantyka, którego słynna „Balladyna” na motorze będzie inspiracją dla słowiańskiej, musicalowej interpretacji, którą zaprezentujemy w 2024 r. Rampa leży niedaleko grodziska, od którego zaczęła się Warszawa, ale także od cmentarza Bródnowskiego. W następnych sezonach będziemy wywoływać duchy stolicy i oswajać to, co wygnane z centrum na pogranicza metropolii, która potrzebuje ekscentryków i ekscentrycznej wyobraźni. Potrzebuje popkulturowych dziadów.

Tomasz Miłkowski

Kino refleksji humanistycznej

Jak można było się spodziewać, polska prawica nienawidzi, a świat z aprobatą kiwa głową i nagradza polskie filmy

Mateusz Demski

Korespondencja z Wenecji

Na czerwonym dywanie w tym roku blado, a nawet gorzej. W Wenecji bywali zwykle wielcy artyści i wielkie nazwiska, plejada gwiazd i celebryci, tym razem sezon posuchy totalnej. Niepojawienie się aktorów na 80. edycji najstarszego festiwalu filmowego świata stało się faktem, powód jest taki, że Hollywood ogarnął permanentny strajk. Rozpoczęło go w maju ponad 11 tys. scenarzystów, a dołączyli do nich aktorzy, jest to masowo wyrażany sprzeciw wobec nieuregulowanych tantiem ze streamingu i wobec wizji z najczarniejszych dystopii, że ludzie w branży zastąpią systemy sztucznej inteligencji. Pierwszą kostkę domina trąciła Zendaya, aktorka, która w zgodzie z trwającym protestem odmówiła udzielania wywiadów w ramach promocji filmu ze swoim udziałem, sam film zaś – nową produkcję Luki Guadagnina, która miała otworzyć festiwal – z programu Wenecji wycofano. Jak wiele produkcji zniknęło z rozpiski, ile dziur było do załatania – trudno wyrokować. Na starcie festiwal stał pod znakiem zapytania.

Atak na Agnieszkę Holland trwa, choć w Polsce filmu nikt nie miał okazji zobaczyć, sprawdza się więc zasada „nie widziałem, to się wypowiem”.

A potem okazało się, że Wenecja podnosi się z kolan i nawet broni się programem. Weźmy powrót Luca Bessona i pośmiertny film zmarłego tuż przed festiwalem Williama Friedkina, weźmy pod uwagę fakt, że w konkursie znalazły się obrazy Michała Manna, Davida Finchera, Yorgosa Lanthimos, a poza konkursem



Nagrodzonemu filmowi Agnieszki Holland patronuje hasło: „Pomaganie nie jest nielegalne”.

Wesa Andersona czy Woody’ego Allena. Z naszego punktu widzenia stała się rzecz dziejowa, otóż po raz pierwszy w historii festiwalu wśród 23 tytułów konkursowych znalazły się dwa polskie filmy, oba zrobione przez reżyserki. Agnieszka Holland opowiedziała o sytuacji na granicy

runęła na film Agnieszki Holland, jest bezprecedensowa. Monstrualne rozmiary nagonki każą wręcz stwierdzić, że żadnego filmu po 1989 r. nie wyklino i nie szkalowano w podobny sposób. Zmasowany atak trwa, choć w Polsce jeszcze nikt nie miał okazji filmu zobaczyć, sprawdza się więc zasada „nie widziałem, to się wypowiem”. Na forach pisze się, że to „wyborcza agitka” i „krytyka PiS”. Zbigniew Ziobro zrównuje reżyserkę z nazistowską propagandą, rząd nazywa film antypolskim i antyludzkim, Holland odpowiada, że jest on – przeciwnie – arcykowski i arcyhumanistyczny. Dla porządku zaznaczę, że „Zielona granica” to odwrotność tego, w jaki sposób próbują ją pokazać pisowskie media. Potrzeba naprawdę dużo złej woli, by złych intencji w nim się doszukać.

Bo film nie jest polityczny, to kino szerokiej refleksji humanistycznej.

polsko-białoruskiej. Małgorzata Szumowska (wraz z Michałem Englerem) o transpłciowej kobiecie, którą dotknęło pół wieku historii Polski. I jak można było się spodziewać, polska prawica nienawidzi, a świat z aprobatą kiwa głową i nagradza.

Niby nic nowego, niby nic zaskakującego, ale lawina oburzenia, która



Małgorzata Szumowska i Michał Englert w „Kobiecie z...” opowiadają o transpłciowym doświadczeniu, rozciągniętym na niemal pół wieku.

Nie ma w nim doraźnej publicystyki, jest przede wszystkim człowiek. Patronuje mu zaś hasło: „Pomaganie nie jest nielegalne”, przy którym wojenki polityczne tracą na znaczeniu. Holland daje szansę wniknąć w tragedię i uchodźców, i pograniczników, i aktywistów, bo te trzy grupy są ofiarami cynicznych politycznych rozgrywek, toczących się nie tylko u nas w kraju. Jeśli uznać „Zieloną granicę” za akt oskarżenia, to jest on wymierzony nie tyle w rządy PiS, ile w kierunku Unii Europejskiej, która nie zdała egzaminu z człowieczeństwa. W podtekście, a nawet wprost, zostaje powiedziane: kryzys na naszej granicy to symptom większego problemu, który nie chce się skończyć i zatacza coraz szersze kręgi. To pokłosie kryzysu na Morzu Śródziemnym, który próbowano przeczekać, a w którym śmierć poniosło ponad 20 tys. ludzi. Dlatego ten film tak podzielał na krytyków w Wenecji – pokazuje jednak dramat, który całą Europę uwiera. Nie bez powodu na festiwalu krążyła opinia, że od „Człowieka z żelaza” nie było w Polsce filmu tak boleśnie aktualnego, czutego jak sejsmograf na panujące nastroje, konflikty i nadchodzące tajemnice.

Jeśli idzie o Małgorzatę Szumowską, tu sytuacja jest podobna. Nad „Kobietą z...” również unosi się

duch twórczości Andrzeja Wajdy. Już sam tytuł narzuca skojarzenia, ba, nawet czcionka, którą jest on zapisany w czołówce, to czcionka inspirowana tradycją zespołów filmowych, które przecież same w sobie są mitem polskiej kultury filmowej. Szumowska nie byłaby sobą, gdyby nie podjęła też dialogu z Krzysztofem Kieślowskim, w tle od czasu do czasu mający symbolika nachalnie

Jak być sobą w tym nieustającym kołowrocie traum, kompleksów i wykluczenia zwanym Polską? – pyta Małgorzata Szumowska.

widoczna, jakaś dziwna postać dzwigająca krzyż, aż w końcu odwołanie bezpośrednie – do „Podwójnego życia Weroniki”. Aniela, bohaterka filmu, takie zresztą życie prowadzić musi. Na świat przyszła jako Andrzej, w ciele mężczyzny zawsze jednak czuła się kobieta.

Szumowska do spółki z Michałem Englertem opowiada o transpłciowym doświadczeniu, rozciągniętym na niemal pół wieku. Wszystko zmienia się z chwili na chwilę, tu pierwszomajowy pochód, tam pielgrzymka papieża, zaraz solidarnościowa feta, upadek komuny, potem nowa Polska, nowe marsze i pochody – te

narodowe, gdzie wykrzykuje się hasła w stylu „Uderz, uderz liberała, imigranta i pedała”.

Jak być sobą w tym nieustającym kołowrocie traum, kompleksów, rezydentów i wykluczenia zwanym Polską? Łatwej odpowiedzi dla Anieli nie ma. W polskim dyskursie publicznym historia osób transpłciowych jest nadal niewidoczna, wychodzenie poza kategorie binarne to wciąż lekcja do odrobienia. Legalne procedury zmiany imienia, danych w akcie urodzenia czy tranżycja przez lata były udręką. „Kobieta z...” nie jest jednak dziełem wyłącznie do negatywnego namysłu. Choć Aniela zostaje tu udręczona, choć nieraz pod ciężarem krzyża upada – co Szumowska z Englerem miejscami w sposób wręcz czytankowy starają się podkreślać – jest to kino szlachetne, z pożytkiem dla wszystkich i pełne szacunku. Wszak to chyba pierwsza polska produkcja o doświadczeniu bycia trans. Naprawdę warto ją docenić.

Na marginesie dodajmy, że obecność polskich twórców nie kończy się na Holland i Szumowskiej, chociaż tak może byłoby lepiej. Nie ma żadnej przesady w miażdżącej krytyce, z jaką spotkał się nowy film Romana Polańskiego. Miała być satyra na elity, zrobiona na modłę nagrodzonego w ubiegłym roku w Cannes

filmu „W trójkącie”, a wyszła z tego, prawdę powiedziawszy, prząsna noc kabaretowa. Ruben Östlund wsadził swoich bohaterów na wycieczkowy jacht, Polański zamknął ich w szwajcarskim pałacu, w noc sylwestrową rozpoczynając nowe milenium, kiedy nad ludzkością wisało widmo rychłego końca świata, a przynajmniej perspektywa nadejścia czegoś nowego, niesamowitego. Problem w tym, że samego reżysera do żadnej konkluzji to nie doprowadza. Film sprowadza się do kilku skeczy granicznych w kółko, szczytem żartu zdaje się tu sama puenta, niebywale prymitywna. Cóż, beznadzieja i mizéria. ■

40-latek odżył w Rampie

Bohater serialu telewizyjnego inżynier Stefan Karwowski, stworzony przez naszego dawnego autora Krzysztofa Teodora Toeplitza oraz Jerzego Gruzę, znów pojawił się w przestrzeni kulturalnej. Dzięki pomysłowi Joanny Drozdy wkroczył na scenę Teatru Rampa w warszawskim musicalu „40-latek”. Autorka tego widowiska muzycznego dostrzegła w historii mężczyzny kierującego budową blokowisk z wielkiej płyty wręcz traktat filozoficzny, jego samego zaś ujrzała jako ofiarę polskiego patriarchy. Jednak aby nie tonąć w smutku, kazała postaciom śpiewać i tańczyć do muzyki Michała Łaszewicza. Wśród różnych melodii pojawia się w piosence „Ach, co za piękny poranek” cytat z musicalu „Oklahoma!” Richarda Rodgersa – „Oh, What a Beautiful Morning”, ale wśród głównych rekwizytów są poczciwy polski maluch, wersalka i meblościanka oraz trzepak podwórkowy. 40-latkowie z rodzinami, którzy czują nadchodzący kryzys wieku średniego, znajdują tu lekarstwo na niepokoje i może nawet receptę na szczęście.

Bronisław Tumitowicz

„40-latek”, scenariusz, reżyseria i teksty piosenek Joanna Drozda, muzyka i aranżacje Michał Łaszewicz, choreografia Karolina Garbacik, Teatr Rampa w Warszawie, premiera 15 września 2023



MIĘDZY OKŁADKAMI

Agnieszka Łącka
KarboLand
Sorus, Poznań 2023

Codziennosc w średnim mieście, w świecie, który pomijamy, w czasach, o których próbujemy zapominać. Opowiadania Agnieszki Łąckiej mają za bohaterów prostych ludzi o powszechnych życiorysach. Autorka pokazuje, że poza „żył, kochał i cierpiał” jest jeszcze wiele emocji, doświadczeń, obrazów, historia przez wielkie H i ta osobista, intymna. To wiele odcieni szarości odmalowanych sprawnym piórem autorki, której daleko do nowomodnej pretensjonalności. Opowiadania te przypominają „Trucizny” Piotra Dardzińskiego, ale można w nich wyczuć właściwą kobiecie wrażliwość. Momentami frazy trącą banałem, jednak „KarboLand” to udany zbiór, któremu warto się przyjrzeć.

Rafał Piłkuła



Mieczysław Gorzka
Poszukiwacz Zwłok
Czarna Owca, Warszawa 2023

Złośliwe przezwisko Wilczyca komisarz Laura Wilk zaakceptowała i obróciła przeciw tym, którzy je nadali – jednego z drugim policyjnego samca alfa potrafi zmusić do podkulenia ogona. Niektórych jednak pokąsanie przez nią boli szczególnie mocno. Komisarz Żołnierz z każdym kolejnym tykiem wódki i wciągana kreską pogrąża się w nienawiści, zwłaszcza że Wilczyca dostała jego śledztwo – sprawę seryjnego mordercy nastolatka od lat działającego we Wrocławiu, nieuchwytnego jak duch. Do czego może się posunąć skorumpowany glina w amoku? Osadzona nienachalnie, ale solidnie w realiach politycznych fabuła ma jeszcze jedną kluczową postać – tytułowego Poszukiwacza Zwłok, psychologa i przyjaciela Laury, który pakuje ją w dodatkową aferę. Mnóstwo komplikacji, dobra warstwa językowa – gdyby to miał być początek nowego kryminalnego cyklu, rezerwuję miejsce na półce.

Aleksandra Pańko

ZASŁUCHAJ SIĘ

Joanna
Tylkowska-Drożdż,
Olha Bila
Vincenzo Bellini.
Composizioni da camera
Acte Préalable



Vincenzo Bellini znany jest jako największy przed Verdim włoski kompozytor operowy, ale znakomita sopranistka ze Szczecina z pochodzącą z Ukrainy pianistką nagrały zbiór pieśni o miłości tego XIX-wiecznego twórcy. Działal w Neapolu, potem we Francji. Przyjaźnił się z Fryderykiem Chopinem. Na płycie słuchamy klasycznego belcanta, czyli pięknego śpiewu, który zrodził się pod słonecznym niebem Italii.

Bronisław Tumitowicz

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Wiek ciemności

Wobliczu nieuchronnej apokalipsy wyborczej, czyli przerznięcia ostatniej szansy na obalenie reżimu kaczystowskiego demokratycznymi metodami, rozglądam się bacznie po miejscach możliwej emigracji. Spędziłem tydzień na Krasie i potwierdziło się, że Słowenia to państwo skrojone na moją mizantropijną miarę. Nie dość, że w całym kraju ludzi żyje mniej więcej tyle, co w Warszawie, więc ciasno nie jest, a naród nie-marudny, wysportowany i przyjazny, to nade wszystko pod tym niewielkim krajem rozciąga się drugie państwo, moja ziemia obiecana. Państwo bez granic, polityków i religii – starsze od wszystkich państw, bo przedludzkie. Setki kilometrów olbrzymich korytarzy i strojnych w nacieki komór, nieskończone meandry rwących rzek podziemnych – jaskiniowe królestwo Krasu, które zawsze odwiedzam z najwyższą czułością. Znajduję ukojenie tam, gdzie ludzkość nie zdążyła dotkliwie zaznaczyć swojej obecności.

Tym, co odróżnia Kras klasyczny od innych rejonów krasowych, jest mój endemiczny pobratymiec (melancholik wszak też wie dzie poza światłem) – *Proteus anguinus*, znany u nas pod nazwą odmienia jaskiniowego. Ten dziwny płaz w naturze dożywa stu lat wyłącznie w całkowitej ciemności odległych partii jaskiń. Cały wiek ciemności! Ma tak spowolniony metabolizm, że potrafi przeżyć bez pożywienia wiele miesięcy, a nawet lat. Powiedzieć, że wie dzie swoje płazie życie nieśpiesznie, to nic nie powiedzieć – bez potrzeby w ogóle się nie rusza, a potrzeby te ograniczył tak, że może tkwić bez ruchu przez większą część żywota. Wbrew pozorom nie jest całkiem ślepy – ma uwsteczni-one oczy zarośnięte skórą i reaguje na światło (wstrętem). Za to inne zmysły wyostrzone są tak, że wyczuwa najmniejsze drżenie w wielkiej odległości, dlatego spotkanie go w stanie dzikim jest wybitnie trudne. Kiedy próbowałem go sfotografować podczas wypraw jaskiniowych, za każdym razem chyżo wiał mi sprzed nosa. Dopiero gdy stan wody w jednej z jaskiń opadł tak, że z dużego podziemnego jeziora zrobił się szereg mis wodnych, te naturalne wanienki stały się tymczasową pułapką dla proteusów. To stworzenia wodne, choć mają cztery mikre łapki, używają ich tylko do pływania.

Zwierzę, które żyje w czeluściach i które przed wiekami rozpoznawano jako smoczy narybek, jest doskonałym

zaprzeczeniem ludzkich wyobrażeń o mieszkańcach podziemi – ma delikatne, bezbronne ciało, które z powodu braku pigmentacji jest śnieżnobiałe, a zatem sprawia wrażenie najczystsze go z istnień. Nie miał naturalnych wrogów, dopóki nie znalazł go człowiek. Naturą człowieka jest bowiem wrogość. Festiwal literacki Vilenica w tym roku podjął na panelach temat współczesnego oblicza, a nawet konkretniej: twarzy Europy – jako dyskutant byłem w stanie uznać tylko, że nie jest istotne, jaką Europa ma twarz, ważne, by mogła bez wstydu spojrzeć w lustro.

Z biegiem wód podziemnych odwiedziłem także Triest, miejsce narodzin „Ulissesa”, którego dzięki tytanicznej pracy Macieja Świerkockiego możemy

Kosmopolityczna, wielorasowa twarz Europy – jedynie w takiej widzę antidotum na ksenofobiczny, parszywy ryj wszelkiej maści nacjonalistów.

od dwóch lat czytać w nowym przekładzie opatrzonym genialnym przewodnikiem po uniwersum Blooma i Dedalusa („Łódź Ulissesa”). Naturalnej wielkości Joyce stoi dyskretnie na moście nad Canal Grande, pomniczek ma skromny, wpisany w rozsianą po mieście serię posągów pisarzy triesteńskich, takich jak Italo Svevo, Gabriel d’Annunzio i Umberto Saba. Triest jest jakiś bardziej rozpusty, tłumny i gwarny, Lublana też pełna turystów i rozgadana wszystkimi językami świata, ale przytulona do rzeki, Triest zaś nieskromnie otwarty na morze. Na wzgórzach włoskich ser szwajcarski – Carso, zachodni kraniec klasycznego Krasu, gdybym tam zamieszkał, życia by nie starczyło na odwiedzenie wszystkich grot w promieniu kilkunastu kilometrów.

Kosmopolityczna, wielorasowa twarz Europy – jedynie taka jest możliwa, jedynie w takiej widzę antidotum na ksenofobiczny, parszywy ryj wszelkiej maści nacjonalistów, ze szczególnym uwzględnieniem polskiego narodowca. Ta twarz to potwarz. Jeśli facjata bąkiewiczowska z cofniętą żuchwą i płaskim czołem będzie po wyborach obliczem naszej nowej władzy, zmienię nie tylko kraj zamieszkania, ale także obywatelstwo i będę do końca swoich dni odczuwał dumę z niebycia Polakiem.

DRAPIEŻNE ŚLIMAKI

Czyli bezkręgowce
polujące na ptaki



Adam Zbryt

To, że ptaki jedzą różnej maści bezkręgowce, jak owady czy pająki, jest rzeczą powszechnie wiadomą. Fakt, że w świecie zwierząt zdarzają się takie bezkręgowce, które są w stanie upolować i zjeść dużo większe od siebie ptaki, stanowi już mniej rozpowszechnioną wiedzę. Najbardziej znany przykład dotyczy pająków ptaszników – sama ich nazwa wskazuje, że zdarza im się polować na ciepłokrwiste pierzaste kręgowce.

Najczęściej wymienianymi w literaturze bezkręgowcami polującymi na ptaki są modliszki. Nic dziwnego – ci sprawni drapieżcy są dobrze znani ze swoich łowieckich zdolności. W jadalospisie modliszek stwierdzono takie zwierzęta jak małe żaby, jaszczurki, salamandry, traszki, ryjówki, myszy, węże, świeżo wyklute żółwie, a nawet małego nietoperza.

Najbardziej słyną jednak ze swoich kanibalistycznych skłonności. Muszę sprostować tę kwestię: choć samice modliszek faktycznie mają takie zapędy, to skala zjawiska jest mocno przesadzona. Okazuje się, że maksymalnie 30% samców traci życie podczas kopulacji, a w jednym z badań było to zaledwie 5%. Samce nie są zatem z góry skazane na utratę życia

w imię przedłużenia gatunku. O tym, jakie są ich szanse na przeżycie, decyduje to, kiedy dana samica osiągnęła dojrzałość płciową. Jeśli nastąpiło to w pierwszej połowie sierpnia, istnieje większe prawdopodobieństwo pożarcia niż wówczas, gdy samica dojrzała trochę później, a więc na przełomie sierpnia i września. Samice dojrzewające wcześniej są większe, za to w gorszej kondycji. Wtedy znacznie częściej zdarza się im pożerać swoich kochanków. Samce w jakiś sposób to wyczuwają – do przerośniętych partnerek zbliżają się znacznie ostrożniej i wolniej niż do tych mniejszych.

Modliszki polują z zasadzki, czając na swoje ofiary zamaskowane wśród roślinności. Niektóre osiągnęły mistrzostwo w kamuflażu. Modliszka storczykowa – nazwa dobrze oddaje jej wygląd: owad przypomina kształtem i białoróżową barwą kwiat storczyka – nie tylko doskonale się maskuje, lecz także skutecznie zwabia owady. Jest w tym tak dobra, że zapyłacz chętniej podlatują do niej niż do prawdziwych kwiatów, stając się tym samym łatwym łupem. W chwytaniu ofiar pomagają modliszkom zmodyfikowane przednie odnóża przekształcone w doskonały narząd chwytny. Są one na całej długości pokryte kolcami, które skutecznie przytrzymują ofiarę w potrzasku. Po schwytaniu

owada modliszka mocno go trzyma i zaczyna żerować, gdy ten jeszcze żyje. Zdobywcza umiera w ciągu kilku minut. (...)

Modliszka większość życia cierpliwie czeka i medytuje. Nic dziwnego, że jej podstawowy metabolizm jest wolniejszy niż u innych owadów, zbliżony do pająków, które polują w podobny sposób: czekając, aż ofiara sama do nich przyleci. W ten właśnie sposób niektóre ptaki stają się ofiarami dużych modliszek. Z racji niewielkich rozmiarów są to najczęściej kolibry, a w szczególności koliberek rubinobrody.

Polowania modliszek na ptaki zaobserwowano na wszystkich kontynentach z wyjątkiem Antarktydy – pewnie dlatego, że tam po prostu modliszki nie występują. Rząd tych owadów liczy niemal 2,5 tys. gatunków, ale udane ataki na 24 gatunki ptaków udowodniono dotychczas 12 gatunkom modliszek. (...) Najgroźniejsze dla ptaków są gatunki duże, których samice, większe od samców, osiągają długość ciała od 4 do 10,5 cm.

Najwięcej przypadków polowań modliszek na ptaki zaobserwowano w USA, głównie w kwiatnych ogrodach lub przy specjalnych karmnikach dla kolibrów. Sprawcami ataków są zarówno gatunki modliszek

występujące tam od tysięcy lat, jak i gatunki obce wsiedlone przez ludzi. W ubiegłym wieku wiele razy uwalniano modliszki w ogrodach na terenie USA – najczęściej były to europejskie modliszki zwyczajne i azjatyckie modliszki chińskie – w celu zwalczania szkodników owadzych. Badania tego zagadnienia poczynione w ostatnich dwóch dekadach wykazały jednak, że ich obecność przynosi niewielkie korzyści, a dla niektórych gatunków jest wręcz szkodliwa. Modliszka chińska (...) zamiast pomóc w zwalczaniu szkodników, sama stała się szkodnikiem. Nie ze swojej winy, a z powodu działania ludzi, którzy ją tam wsiedlili. Dotąd zanotowano jedno doniesienie o upolowaniu ptaka przez modliszkę z kontynentu azjatyckiego, osiem takich doniesień z Australii, cztery z Afryki i 16 z Europy. Jeśli chodzi o Stary Kontynent, wszystkie przypadki zostały zaobserwowane w Hiszpanii, gdzie modliszki polowały na rudyki (masa ciała 4-25 gramów), muchołówki żałobne (9,7-22,2 grama), wierzbówki zwyczajne (8-18,5 grama) i piecuszki (6,3-14,6 grama). Co ciekawe, były to przeważnie ptaki, które wpadły w sieci ornitologiczne, co ułatwiło modliszkom zadanie. Średnia masa schwytanej ofiary wyniosła 6 gramów, przy czym modliszka zwyczajna osiąga masę dwa razy mniejszą, bo ok. 3 gramów. Modus operandi modliszki, jak relacjonują ornitolodzy, polega w związku z tym na dobieraniu się do unieruchomionych ptaków zwisających głową w dół, a następnie wgrzaniu się do wnętrza czaszki przez jedno oko, by dostać się do mózgu – oczywiście w celach konsumpcyjnych. Modliszka atakuje żywe ptaki, a gdy skończy się nimi pożywiać, zdarza się, że pozbawia je głowy. Inne obrażenia zadawane przez modliszki to ugryzienia w szyję bądź gardło oraz oskalpowanie. (...)

Znacznie skuteczniejszymi łowcami ptaków, przynajmniej jeśli chodzi o ich liczbę i masę, są pająki tkające sieci. Ich metoda polowania przypomina tę stosowaną przez modliszki. Polega na trwaniu w bezruchu i cierpliwym czekaniu na ofiary. Z tą różnicą, że modliszki polegają na swoich chwytnych odnóżach, a pająki na utkanych przez siebie sieciach.

Pajęcza sieć jest tak silna, że podobno mogłaby zatrzymać odrzutowiec, gdyby była grubości stalowej liny, ponieważ jest pięciokrotnie bardziej wytrzymała. Jej niezwykle właściwości to wynik swoistej budowy: każda nić składa się z tysięcy drobnych nanonitek o średnicy dwudziestomilionowych części milimetra. Naukowcy zajmujący się biomimetyzmem, czyli wynalazkami naśladującymi rozwiązania przyrody, już myślą o stworzeniu nowego rodzaju materiału inspirowanego pajęczą nicią.

Inną właściwością sieci pajaków jest to, że mają one specjalne wzory, które odbijają światło ultrafioletowe i niczym odbłaski informują ptaki o przeszkodzie. Właściwości te stosują dziś także producenci okien, którzy umieszczają w szybach specjalny filtr działający na tej samej zasadzie – ma to na celu zmniejszenie liczby kolizji ptaków z szybami. Po co jednak ten mechanizm stosują pająki? Aby ptaki

pojawiają się także inne kręgowce, na przykład nietoperze. Jad niektórych pajaków jest na tyle silny, że może zabijać te latające ssaki, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by był śmiertelny również dla ptaków.

W literaturze naukowej opisano 69 przypadków schwytania 54 różnych gatunków ptaków w pajęczę sieci, przy czym ponownie, jak w wypadku modliszek, kolibry okazywały się najczęstszymi ofiarami. Do pajęczych sieci trafiały ptaki o różnej masie ciała. Przekrój był ogromny: od takich maluchów jak koliberek miodowy ważący 2 gramy do cięższych ptaków, na przykład synogarlic senegalskich o wadze 80 gramów. Do bliżej nam znanych gatunków ptaków kończących życie w pajęczych sieciach należą dymówki i muchołówki szare.

Ogromna wytrzymałość pajęczyny powoduje, że średnia masa ptaków chwytnych przez pająki wynosi 11 gramów, a więc prawie dwa razy



nie niszczyły sieci, przelatując między drzewami, na których pająk rozpiął swoją pajęczynę. Moim zdaniem sugerowałoby to, że wpadanie ptaków w sieci jest skutkiem niefortunnego przypadku, a nie zamierzonym celem pajęczych polowań. Innymi słowy: raz na jakiś czas ptak zagapi się lub przeceni swoje możliwości rozzerwania sieci i zostanie w niej uwięziony, stając się nieoczekiwanym posiłkiem dla pająka.

Niektórzy naukowcy sugerują jednak, że polowanie tej grupy bezkręgowców na ptaki wcale nie jest rzadkim zjawiskiem, ale koncentruje się na najmniejszych gatunkach, takich jak kolibry. Nie tylko ptaki padają ofiarą pajaków – wśród ich zdobyczy

więcej niż w wypadku modliszek. Wynika to z faktu, że pająki stosujące sieci podczas polowania na większe od siebie ofiary nie muszą polegać tylko na własnej sile. (...)

Pająki, podobnie jak modliszki, także nie mają łatwych relacji z ptakami, gdyż same znacznie częściej wpadają w ich dzioby niż ptaki w ich szczękoczułki. Zwłaszcza drobne ptaki owadożerne upodobały sobie dietę złożoną z pajaków. Sikory czy kowaliki zaraz po wykluciu karmią swoje młode niemal wyłącznie pajakami; postępują tak nawet wówczas, gdy wokół roi się od ich ulubionych zielonych gąsienic. Robią to, ponieważ nadrzewne pająki w suchej masie zawierają więcej białka i ponad ▶

► 50 razy więcej tauryny niż gąsienice. To ten sam związek, który znajduje się w napojach energetycznych. Na wczesnym etapie rozwoju tauryna zapewnia pisklątom drobnych ptaków śpiewających sprawny rozwój układu nerwowego, co wpływa na lepsze zdolności uczenia się w przyszłości.

To, że w relacji z pajakami ptaki częściej przyjmują rolę drapieżników, potwierdza także fakt, iż tam, gdzie spada liczebność ptaków owadożernych, pojawia się kilkudziesięciokrotnie większe zagęszczenie pajęczyn, a same sieci stają się większe i ginie w nich więcej owadzych ofiar. W takich warunkach pajaki mogą sobie pozwolić na zwiększenie rozmiarów narzędzi do polowania, ponieważ spada prawdopodobieństwo zniszczenia sieci przez przelatujące ptaki. Większa liczba ofiar nie jest tylko rezultatem obszerniejszych pajęczyn, lecz także większej liczby dostępnych ofiar, gdyż zmniejsza się konkurencja z ptakami o te same zasoby.

Istnieje kolejny dowód potwierdzający, że to raczej pajaki muszą się obawiać zagrożenia ze strony ptaków, a nie na odwrót. Jest nim kamuflaż, dzięki któremu pajaki upodabniają się do mrówek. Zjawisko to nazywamy myrmekomorfia i jest ono jednym z przykładów tak zwanej mimikry batesowskiej. To ewolucyjny proces upodabniania się gatunków niegroźnych do tych niebezpiecznych, a więc wyposażonych w różnego rodzaju mechanizmy obronne, na przykład żądło. Ale dlaczego pajaki chcą wyglądać jak mrówki? Przecież one także padają ofiarami ptaków. Faktycznie tak się dzieje, ale na mrówki polują głównie wyspecjalizowane w ich łowieniu gatunki, w tym dzięcioł zielony, dzięcioł zielonosiwy i krętogłowy. Inne ptaki raczej ich unikają, chyba że akurat pragną zakosztować kąpieli w mrowisku, czyli mrówkowania, w celu pozbycia się pasożytów. (...)

Czas na ślimaki! Brzmi to może niedorzecznie, ale te powolne stworzenia też mogą stanowić śmiertelne zagrożenie dla ptaków, a dokładnie dla ich jaj i piskląt. I wcale nie muszą się śpieszyć. W tym wypadku ich flegmatyczna natura okazuje się wyjątkowym atutem. Nie wzbudzając

najmniejszych podejrzeń, mogą się spustoszenie w ptasich gniazdach – czynią to na przykład ślimaki luzytańskie, zjadające pisklęta kapturki. Ten inwazyjny gatunek ślimaka pochodzący z Półwyspu Iberyjskiego w ostatnich latach szybko rozprzestrzenił się w całej Europie, w tym w Polsce. Pokryte śluzem, obłe, bezskorupowe, podłużne, jasnobrązowe ciała ślimaków licznie zaściełają ścieżki i trawniki wielu miast w ciepłe i wilgotne letnie noce. (...) Obserwacje dokonane przez grupę polskich naukowców przy użyciu mikrokamer umieszczonych przy gniazdach kapturek wykazały, że ptaki nie reagują na obecność ślimaka nawet w momencie, kiedy zjada

Modliszka atakuje żywe ptaki, a gdy skończy się nimi pożywiać, zdarza się, że pozbawia je głowy.

on ich jaja lub pisklęta. Zdarzało się nawet, że dorosłe ptaki ogrzewały pisklęta w chwili, gdy były one powoli pożerane przez ślimaka. To dość irracjonalne zachowanie, ponieważ kapturki regularnie czyszczą gniazdo z niepotrzebnych obiektów. Z jakiegoś powodu nie rozpoznają jednak ślimaka jako zagrożenia dla piskląt. Jak się okazuje, nie tylko one. Ataki różnych gatunków ślimaków na ptaki stwierdzono również w Niemczech i Holandii, a ofiarą padały pisklęta łozówki, trzcinniczka, kukułka, potrzosa, pierwiosnka, świstunki leśnej, pokląskwy, kłaskawki, kapturki i strzyżyka; zniszczone zostały też jaja podróżniczka i cierniówki.

Do napaści dochodzi w gniazdach ptaków osiedlających się na ziemi oraz na drzewach i krzewach na wysokości nie większej niż metr. Jak ślimaki je znajdują? Czy dzieje się to przypadkiem, czy może aktywnie poszukują jaj i piskląt? Nie wiemy dokładnie, ale zauważono, że podczas poszukiwania pożywienia potrafią się kierować zapachem – zapewne wykorzystują tę umiejętność, by lokalizować gniazda. W jednym przypadku naukowcy po usunięciu ślimaka atakującego młode kapturki nazajutrz zaobserwowali jego

powrót do gniazda tych ptaków. Nie ma pewności, czy był to ten sam osobnik, ale jeśli tak, co jest bardzo prawdopodobne, to faktycznie mógł on podążać śladem zapachu swoich ofiar. Przypuszczalnie za pierwszym razem trafił do gniazda przypadkiem, a potem, gdy już poznał smak i zapach piskląt, wykorzystał tę wiedzę do celowego poszukiwania ofiar.

Urazy spowodowane przez ślimaki są zwykle ciężkie: krwawiące rany, dziury w jamie brzusznej odsłaniające wnętrzności, rozległe uszkodzenia skóry na skrzydłach, grzbiecie, szyi i głowie, częściowo zjedzone mięśnie, dzioby, oczy, a nawet kości. Ślimaki zostawiają na miejscu charakterystyczne dowody zbrodni – duże ilości śluzu. Zdarza się jednak, że rany są na tyle niewielkie, że szybko się goją, a młode szczęśliwie opuszczają gniazdo.

Utrzymująca się chłodna i wilgotna pogoda zwiększa drapieżnictwo ślimaków. Upały powodują, że ślimaki, próbując uniknąć wysuszenia, stają się mniej mobilne. Temperatura poniżej 5 st. C powoduje natomiast, że przestają być aktywne. Z tych powodów preferują pośrednie warunki.

Naukowcy badający ataki ślimaków na gniazda ptaków podkreślają, że prawdopodobnie takie zdarzenia nie są niczym nowym, choć pozostają bardzo rzadkie, stąd ich słaba wykrywalność. Rzeczywiście: kto regularnie zagląda do ptasich gniazd? Oczywiście poza ornitologami, a tych nie ma zbyt wielu. Gwałtownie rosnąca liczebność ślimaków luzytańskich może jednak doprowadzić do tego, że mięczaki te staną się realnym zagrożeniem dla wielu drobnych ptaków śpiewających. Tym bardziej że te ostatnie nie wypracowały żadnych mechanizmów chroniących młode przed ślimakami.



Fragmenty książki Adama Zbryty *Sensacyjne życie ptaków. Pierzaste wampiry, tęczowe albatrosy i trujące przepiórki*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2023

Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkała

Próg wejścia

Czasem, tylnymi drzwiami, ze świata nauki albo polityki wchodzi do słownika sformułowanie, bez którego raptem nie można się obejść. Trudno zrozumieć, jak w ogóle radziliśmy sobie bez niego. Ostatnio publicyści, dziennikarze i tzw. ludzie kultury upodobali sobie nagle wybitnie operatywny „próg wejścia”. Oto zjawiska z obszaru kultury – książki, filmy, sztuki teatralne – dzielą się przede wszystkim na te, które mają wysoki próg wejścia lub niski próg wejścia. Metafora ta opisuje oczywiście skalę trudności tekstu (filmu, powieści, wywiadu) i ukazuje edukacyjną dystynkcję: tylko ci wykształceni, nacytani albo w inny sposób (np. fanowsko) wtajemniczeni są w stanie odebrać nadany komunikat. Tworzy to iluzję nieprzyjemnego podziału: na tych, którzy rozumieją, i na tych, którzy prawdopodobnie nie rozumieją (bo im czegoś brakuje).

Jest to przykre nie tylko ze względów klasowych, ale i dlatego, że „rozumienie” staje się domyślnie warunkiem obcowania z dziełem sztuki. Rodzi to wiele nomen omen nieporozumień. Teksty kultury działają bowiem na różne sposoby, a część z nich można odbierać warstwowo – np. tylko intuicyjnie czy afektywnie albo i emocjonalnie, lub także intelektualnie. Poza tym sztuka i literatura lubią przesuwac swoje granice i schematy kategorialne. Również po to, żeby nas, uśpionych konsumentów, wybudzać, triggerować, prowokować do nowych „pomysłów odbioru”, do wydeptywania nowej, własnej ścieżki komunikacji. I zdarza się (dość często), że odbiorca czuje się w kontakcie z takim „dziełem” niekomfortowo – skonfundowany, pozbawiony scenariusza lektury – jakby ktoś wytrącił mu z rąk znajomy skrypt. Szkoda by było, żeby odpadł wtedy od wiersza, obrazu, sztuki teatralnej. Albo co gorsza pomyślał, że konkretnego autora/autorki po prostu nie rozumie. Oczywiście nie chodzi o to, żeby czytać Hegla jak operetkowego scata, ale warto mieć gdzieś z tyłu głowy pozwolenie na „inne obcowanie” z dziełem niż dosłowne tłumaczenie poszczególnych scen i zdań. Zresztą badacze Hegla też mawiają, że aby go naprawdę kochać, trzeba zaakceptować i paradoks, i „myślenie do tyłu”.

Być może rozróżnienie wysoki/niski próg wejścia to pokłosie dawnego rozróżnienia na kulturę wysoką i niską? Na marne poszła zatem praca krytyków, kuratorek, badaczy, którzy w ciągu ostatnich 15 lat starali się ten podział znieść – nie tylko jako elitystyczny, ale też absurdalny. Gdzie bowiem pozycjonować komiks czy powieść graficzną, które kojarzą się z tzw. sztuką masową, a bywają

wysublimowane, wpływowe, inteligentne? Albo multimedialne prace immersyjne, które pozwalają nam poczuć się częścią zaprojektowanego świata (nie trzeba go wcale „rozumieć”), albo abstrakcje (wliczam tu wysokoabstrakcyjne wiersze czy powieści), które można postrzegać bez szukania ukrytych symboli. Intencją autora czy malarza może być wprowadzenie nas w określony stan, sprowokowanie konkretnego uczucia, „przeniesienie” nas w jakieś pole, przy czym warto dodać, że abstrakcja nie musi być niezaangażowana czy niepolityczna. Jej znaczenie nie musi być jednak tożsame z rozumieniem, postrzeganiem jako tryb narracyjny, opowiadanie jakiejś historii, złota myśl, coś, co można przełożyć na „przekaz”. To dryfowanie niektórych zjawisk poza rozumieniem i nierozumieniem, ale także między niskim a wysokim, można obserwować na podstawie sztuki kampowej.

Kamp jako kategoria przytłaczająca (można kampuwać różne prace, gesty, zjawiska) i pochodząca z różnych źródeł (queeru, dandyzmu czasów regencji, manieryzmu francuskiej kultury dworskiej, pop-artu lat 50.) jest trudna

Zjawiska z obszaru kultury – książki, filmy, sztuki teatralne – dzielą się teraz przede wszystkim na te, które mają wysoki próg wejścia lub niski próg wejścia.

do zdefiniowania. Potocznie kojarzy się ze „świadomym”, „ironicznym” czy „mądrym” kiczem. Ale niezależnie od tego, z jakiego rodzaju kampem mamy do czynienia (a i tu próbowano rozdzielić kamp „niski” od „wysokiego”), wiadomo, że przede wszystkim znosi on podział na to, co wysokie i niskie. Ponieważ często łączy w sobie sprzeczne wektory: odrażające i słodkie, pociągające i ohydne, kobiece i męskie (jednocześnie) itd. Dlatego dobrze pasuje do niego słowo krindż (od *cringe* – kulić się), którym opisuje się od jakiegoś czasu coś, co wzbudza nasz wstyd, zażenowanie, konfuzję.

Trudność w obcowaniu z pracami kampowymi polega m.in. na tym, że niełatwo je ocenić, używając „starych” wartości czy decydując w binarnym podziale na „dobre” i „nie dobre”. Dlatego niski/wysoki próg wejścia to zupełnie nieprzydatne rozróżnienie. Chodzi bowiem nie o zasób słów i idei, wcześniejsze lektury czy znajomość języków obcych, ale o zgodę na obcowanie z czymś poza polaryzacją. Fajne, bo usytuowane poza systemem władzy uznania. Bo niekapitalistyczne. Bo to dobra ucieczka z trybów gwiazdek, punktów i wytartych trybów odbioru. ■

Reprezentacja, czyli kompromitacja

Santosowi już podziękowano. Kto go zastąpi?



Czy trener Santos zdawał sobie sprawę, w co się pakuje?

Maciej Polkowski

Kiedy 24 marca tego roku na stadionie w Pradze polscy piłkarze stracili pierwszą bramkę w 27. (!), a drugą w 129. sekundzie i na inaugurację eliminacji Euro 2024 przysłała przegrana 1:3 z Czechami, wydawało się, że gorzej być nie może. A jednak w meczu z Mołdawią dokonali karkołomnego wyczynu, pozwalając gospodarzom na strzelenie trzech goli. Jakby tego było mało, w Tiranie występ przeciwko Albanii zakończył się porażką 0:2. Stało się oczywiste, że dni Fernanda Santosa na posadzie selekcjonera są policzone – podziękowano mu za pracę 13 września.

Natychmiast ruszyła giełda, na której pojawiły się znane nazwiska: Adama Nawalki (66 lat), który był selekcjonerem w latach 2013-2018 (finały ME 2016 i MŚ 2018); Macieja Skorży (51), pracującego od 2022 r. w japońskim klubie Urawa Red Diamonds, a mającego na koncie wiele trenerskich sukcesów w kraju, w latach 2018-2020 selekcjonera

reprezentacji olimpijskiej Zjednoczonych Emiratów Arabskich; Jana Urbana (61), od 18 marca 2023 r. ponownie trenera Górnika Zabrze, przez lata związanego z Osasuną Pampeluna; Marka Papszuna (49), znanego i cenionego za sukcesy w Rakowie Częstochowa; Michała Probiezera (51), od lipca 2022 r. selekcjonera reprezentacji Polski U-21, a w latach 2008-2011 i 2014-2017 pracującego w Jagiellonii, co może mieć znaczenie przy podejmowaniu decyzji przez prezesa Kuleszę, który pochodzi z Białegostoku. Najwyżej notowani są dwaj ostatni – decyzja zapadnie 20 września.

Kapitan na cenzurowanym

Jeszcze zanim doszło do nieśczęsnych wrześniowych meczów, Robert Lewandowski udzielił obszernego wywiadu Mateuszowi Świąćkiemu (Eleven Sports i portal Meczyki.pl). Wypowiedział się w nim o grze w Barcelonie, aferze premiowej w reprezentacji Polski, samej kadry i braku jej osobowości. Uderzył

też w PZPN. Najlepszy polski piłkarz ostatnich lat postanowił oswoić nas z myślą, że nosi się z zamiarem zakończenia reprezentacyjnej kariery. Tak należy odczytywać to, co usłyszeliśmy. Nie znamy intencji kapitana, ale jedno jest pewne – zamiast załagodzić sytuację i uspokoić nastroje, dorzucił do pieca. Komentarzy i polemik z różnych kręgów futbolo-wego światka nie brakowało.

Radostaw Kałużny („Polski Sport”): „Zastanawiam się, czy on sam wpadł na ten pomysł, czy ktoś średnio mądry mu podpowiedział, by wrzucić granat do szamba i odkurzyć aferę z premiami, która już przyschła i nikt o niej nic nie mówił. Najlepszym momentem na wyjaśnienie i zamknięcie tematu był dzień, dwa po wywiadzie Skorupskiego, a jeszcze lepiej po powrocie reprezentacji z Kataru. A tu po ośmiu miesiącach mamy niby jakieś wyjaśnienie, a ewidentnie bardziej ugranie czegoś na swoją korzyść. Kiedy przychodziły trudne momenty i »osobowość« była najbardziej potrzebna – jak choćby z premiami – nie było ani Roberta, ani opaski. Swego czasu osiągnął cel i na kapitańskim mostku zastąpił Jakuba Błaszczykowskiego. Ale bez dwóch zdań Błaszczykowski był zdecydowanie lepszym kapitanem i dowódcą”.

Kamil Kosowski (w felietonie w „Przeglądzie Sportowym”): „Robert kilka razy w tej rozmowie apelował o klasę, ale w pewnych momentach podczas wywiadu zabrakło jej także kapitanowi. Istnieją inne sposoby, aby rozwiązywać problemy wewnątrz kadry niż przy pomocy mediów”.

Łukasz Piszczek (Sport.pl): „Zastanawiam się, czym naprawdę kierował się Robert, udzielając tak mocnego wywiadu w takim momencie, czyli tuż przed zgrupowaniem. Moim zdaniem mogło chodzić o wstrząs, bowiem wokół drużyny narodowej i PZPN w ostatnim czasie

nie działa się dobrze. A co do »braku osobowości w kadrze« może nie szedłbym tak daleko, bo on też jest częścią drużyny, jest kapitanem».

Zbigniew Boniek (Sport.pl): „Nie rozumiem, po co ten wywiad był Robertowi potrzebny. Lewandowski, będąc najlepszym zawodnikiem, powinien »przytulać« młodych piłkarzy, zapoznać ich z pewnymi rzeczami, być z nimi. Z tego, co się mówi, ostatnio Robert jest wycofany. Trenning, prywatne sprawy...”.

Tomasz Hajto (Prawda Futbolu): „Nie jest to czas i miejsce, żeby przed tak ważnymi meczami robić awanturę. Mnie by to trochę zabolalo, jakby padły takie słowa. Robert też jest częścią tej drużyny, jest kapitanem. Jeśli ma coś takiego do powiedzenia, to powinien to powiedzieć w szatni. On też jest przecież odpowiedzialny za charakter reprezentacji”.

Włodzimierz Lubański („Super Express”): „Może należy zacząć właśnie od atmosfery w drużynie. Jeśli nie jest dobra i nie ma jedności w drużynie, odbija się to na wynikach. Reprezentacja kraju powinna być jednością na boisku i w szatni. Przez wiele lat byłem kapitanem drużyny pana Kazimierza Górskiego i wiem, jaka jest rola kapitana na boisku i poza nim. Musi być zaangażowany również w sprawy pozasportowe. Dobrą atmosferę kapitan musi utrzymać m.in. przez rozmowy z pozostałymi zawodnikami. Ten wywiad i słowa Lewandowskiego były niepotrzebne”.

Prosta taktyka – „laga na Robercika”.

Już kilka lat temu pisaliśmy, że nasz gwiazdor przestał sobie radzić ze swoim statusem. Objawiało się to m.in. tym, że nie stawiał siebie i kolegów z kadry na równym poziomie, rzekomo patrzył na kolegów z góry. Wśród kadrowiczów zrodziło się nastawienie: skoro jesteś taki dobry, pokaż to na boisku.

Robert Lewandowski (Eleven Sports – Meczyki.pl.): „W drużynie jest miejsce dla czterech, pięciu liderów, którzy w pewnych momentach obudzą zespół. Odpowiedzialność musi spoczywać także na innych.

Nie tylko na mnie. Gdy ktoś prosił mnie o radę, nigdy nie zdarzyło się, żebym odpowiedział: »Nie mam czasu« albo »Jutro«. Były przypadki, że piłkarze do mnie podchodzili, ale teraz tego nie robią i jest to dla mnie zastanawiające”.

Zastanawiające, ale RL9 nie zrobił prawie nic, by zmienić taki stan rzeczy. Można powiedzieć, że pełni funkcję kapitana dla osobistego splendoru. Nigdy nie zdradzał cech przywódczych i nie umie zmotywować kolegów do zażartej walki. Coraz więcej kibiców dostrzega, że brakuje podczas meczu, a czasem już po spotkaniu, takiej reakcji z jego strony, która pomogłaby drużynie, poniosłaby zespół. On jest najbardziej potrzebny drużynie w kryzysowych momentach, bo jak na boisku wszystko dobrze się układa, to każdy zawodnik sobie poradzi. Lider jest od brania ciężaru na swoje barki, gdy inni nie są w stanie.

Wyłania się tu jeszcze inna kwestia. Piłkarz Barcelony nie jest integralną częścią tej grupy. Najlepszy strzelec w historii reprezentacji ani za bardzo nie garnie się do integracji z drużyną, ani drużynie specjalnie na tym nie zależy. Z racji swoich dokonań nie musi oczywiście wkładać się w niczyje łaski. Ale z racji pełnienia funkcji kapitana powinno mu zależeć na dobru drużyny, a nie na swoim. To jedna z tajemnic, dlaczego, gdy wychodzimy na murawę, nie gramy, tylko przegrywamy. A jaka jest taktyka? Przedstawił ją zasłużony reprezentant Kamil Glik. Pod jednym z postów piłkarza na Instagramie pojawiła się prośba o taktykę. Glik odpowiedział: „Laga na Robercika”. Wypisz wymaluj pierwsza połowa spotkania z Albanią.

Warto sobie również uzmystwić, że raczej wcześniej niż później przyjdzie pożegnać kilku „etatowych kadrowiczów”. To nieuchronny proces, czego dowiódł Grzegorz Krychowiak – już w 22. minucie meczu zarobił żółtą kartkę, a jeszcze w pierwszej połowie popisał się kuriozalnym zagranieniem: po próbie strzału trafił piłką we własną rękę, a następnie w twarz. Całe szczęście, że nie doszło do samonokautu! W Tiranie rezydowa – kolejna żółta kartka. Jedno

jest pewne, panu Grzegorzowi już dziękujemy za 100 reprezentacyjnych występów. Piękny dorobek – wystarczy.

Prezesie Kulesza, art. 40 się kłania

Jakim wstrząsem dla niektórych wybitnych postaci sportu był wynik meczu w Tiranie, pokazuje fakt, że nie wytrzymał związany od lat z koszykówką Ludwik Miętta-Mikołajewicz. Na Facebooku napisał: „Po wczorajszej porażce reprezentacji Polski z Albanią nasunęły mi się, na gorąco, poniższe wnioski: 1. Polskim Związkiem Piłki Nożnej powinien kierować ktoś, komu, w przenośni, bliżej do muzyki symfonicznej niż do disco polo, 2. trenerem kadry powinien być Polak, znający polskie realia i polskich zawodników. Jest kilku młodych trenerów, wykształconych, otwartych na współczesną wiedzę, niekoniecznie o znanych nazwiskach i bogatej przeszłości piłkarskiej, którzy za niewspółmiernie mniejsze pieniądze niż Santos osiągnęliby lepsze rezultaty”.

Szef PZPN ma sporo na sumieniu, ale najbardziej do niego pasuje przyzwolenie na to, co się wyprawiało w samolocie wracającym z wyprawy do Kiszyniowa. Jak mawia były selekcjoner Wojciech Łazarek, „wieś tańczyła i śpiewała”. Może więc warto, panie Kulesza, wziąć pod uwagę sugestię Ludwika Mikołajewicza i zajrzeć do statutu PZPN. Chociaż ułatwić sprawę: art. 40 – Ustąpienie Prezesa PZPN. „W razie ustąpienia prezesa w okresie między walnymi zgromadzeniami delegatów, zarząd powierza jego obowiązki jednemu z wiceprezesów, który pełni je do czasu najbliższego walnego zgromadzenia, które dokonuje wyboru nowego prezesa związku”. Może warto skorzystać?

Jeden z wybitnych znawców futbolu powiedział mi: „Nawet najlepszy trener na świecie niewiele zdziała, jak ma takich przeciętnych zawodników”. Co racja, to racja, ale odnoszę wrażenie, że Santos nie do końca zdawał sobie sprawę, w co się pakuje.



1	2	3	4	5	6	7
---	---	---	---	---	---	---

8	9	10	11	12	13
---	---	----	----	----	----

14	15	16	17	18
----	----	----	----	----

- ...FBI Cooper z „Mia-
steczka Twin Peaks”
- roślina z morskiej toni
- w nim Włoszka
u Rossiniego
- brat św. Piotra
- Malczewski lub
Słonimski
- miejsce po drugiej
stronie Ziemi
- ten z nr. 11 wylądował
na Księżycu
- północna lodowa
kraina
- „Dzikie...” Joanny
Chmielewskiej
- podmoskiewskie
domki letniskowe
- demoralizacja,
szerzenie zaoreszenia

- Trygław w Tychowie lub Bogudar w Rudzie
- Conrad, założyciel sieci hoteli
- siła rozpędu, rozmach
- „Dowody na...”
Hanny Krall
- krótkonogi, dłuugi pies
- Agustin Egurola w „You Can Dance”
- klątka filmu
- hermetyczna grupa popierających się ludzi
- produkt suchej destylacji węgla
- mokry ręcznik na czole
- miasto z Kazimierzem
- krótki sygnał w alfabecie Morse’a
- zbiórka na szczytny cel
- świecki wyznawca
- sąsód
- duży, stary król sawanny

- kłamanie jak z nut
- polowanie
- polecenie, któremu należy się podporządkować
- premia dla kelnera
- kto poza nim, ten wykluczony
- póki tchu w nich – póki życia
- uchodzi do Zalewu Szczecińskiego
- ważny składnik mieszanki do silników spalinowych
- mgła, wyziew
- chronienie, krycie kogoś
- ...gluchy – chwast w zbożu
- nerwus, a potocznie zapaleniec
- dwupoziomowy wagon
- gruby koc
- „Prowadź swój... przez kości umarłych”
- rezonans, echo
- kobieta przyjmująca porody

- ostatni król Troi
- ...szanghajski uczelnia
- narysowany w skali przekrój
- do wyświetlania przezroczy
- inspekcja sanitarna
- zjazd duchowieństwa diecezji
- łódź wożona na statku
- żyłka, wybitne uzdolnienie
- miasto przy ujściu Białej do Dunajca
- cicha, lękliwa osoba
- warzywo na prymitywne naczynia
- słoneczny lub hamulcowy
- wisus, psotnik
- tak szlachcic mówił do szlachcica
- rzucik
- ropne zapalenie na palcu
- korek lub spiętrzenie spraw
- amalqamat

hasto:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przestania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1135”. Do rozlosowania książki „Uczennica mistrza” ufundowane przez Wydawnictwo Arkady. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 września 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1132” z nr. 35: Wielomowny rzadko słowny.
Nagrody otrzymują: Jadwiga Ciechanowicz z Dąbrowy Górniczej,
Marek Grzegorzewski z Lubonia, Rafał Kozieł z Daleszyc.

Wesoły emeryt

To chyba rzecz trochę zaskakująca. Bo w buty zdymisjonowanego Piotra Wawrzyka został ubrany Jarosław Lindenberg, filozof z wykształcenia.

Jest to postać ciekawa, choć na pierwszy rzut oka niezbyt do obecnego MSZ pasująca. Wręcz trudno uwierzyć, by był on wyborem Raua. Raczej ktoś inny go narzucił.

Do Raua Lindenberg pasuje, tylko jeśli chodzi o wiek. Ma 67 lat i jest kolejnym emerytem, który w MSZ dostaje ważne stanowisko. Owszem, minister takich starszych panów lubi najbardziej. A takich jak Przydacz czy Jabłoński już nie. Pod jakim względem Lindenberg nie pasuje? Po pierwsze, jest osobą z zaciągu Geremka, przyszedł do MSZ w roku 1991. A to jest zaciąg najbardziej niemiły nowej władzy. Po drugie, jest kolegą Jacka Czaputowicza. Znają się jeszcze z lat 80., kiedy obaj konspirowali i pisali do podziemnych wydawnictw.

To są ważne sprawy, te znajomości i przyjaźnie sprzed lat, więc owszem, ta przyjaźń mogła do niedawna Lindenbergowi służyć. Gdy czyszczono MSZ z „geremkowców”, on, jako szczególny ich rodzaj (który poszedł na służbę prawicy), mógł w ministerstwie przetrwać. Chociaż dziś, po wywiadach Jacka Czaputowicza na temat polskiej dyplomacji i PiS, ta znajomość nie jest już plusem...

Z drugiej strony Lindenberg w roli wiceministra załatwia Rauowi jedną bardzo istotną kwestię – organizację wyborów. Abstrahując od spraw związanych z wizami i z awanturą o Bartosza Cichockiego, który zjeżdża z Kijowa, najważniejsze dla MSZ jest przeprowadzenie wyborów za granicą. Chodzi o to, żeby

wszystko odbyło się płynnie i bez skandali. Lindenberg jako osoba sprawna organizacyjnie, bezpośrednia daje nadzieję, że te wybory zostaną przeprowadzone należycie.

A potem – będzie mógł sobie odejść. Choć tak nie musi być. Ma on bowiem naturalny wdzięk: mówi bezpośrednio, z anegdotą, jego rozbijało ego nie raz, wręcz przeciwnie. W ekipie wiceministrów będzie ewenementem, absolutnym przeciwieństwem wiceministra Pawła Jabłońskiego, młodszego o 30 lat adwokata z Rybnika. Jeden – światowiec, drugi – dukający prowincjusz.

Lindenberg był i dyrektorem sekretariatu ministra (u Fotygi!), i wicedyrektorem protokołu dyplomatycznego, i trzykrotnym ambasadorem, zakładał też placówki... Wszystko widział i wszystko znosił.

W MSZ do dziś opowiada się o jego występie przed sejmową komisją w 2018 r., przed wyjazdem na ambasadora do Sarajewa. Z reguły kandydaci na ambasadory opowiadają piękne rzeczy o kraju, do którego mają jechać, i obiecują cuda. A Lindenberg mówił, że Bośnia i Hercegowina to żaden kraj, bez przyszłości, że nic tam nie działa, 10 kantonów, trzy parlamenty, 100 ministerstw, wszyscy przeciwko wszystkim, i że on nic tam robić nie będzie, nic nie załatwi, no, ewentualnie będzie się przyglądał.

I co? Zachwycił tym słuchających i dostał wielkie brawa. Niech więc teraz uwodzi Raua. Albo Terleckiego. Klub syjących anegdotami starszych panów – to jego domena. Zobaczmy, co z tego wyjdzie.

Attaché

Władimir Putin i Kim Dzong Un podczas spotkania na kosmodromie Wostocznyj w obwodzie amurskim, 13 września 2023 r.





KANDYDAT NA NOWEGO SELEKCJONERA KADRY



- SZPITAL, KTÓRY ZDOBEDZIE GWIAZDKĘ MICHELIN, OTRZYMA WÓZ STRAŻACKI



Przywiozłem wazelinę na konwencję PiS.

Czyje to zamówienie?

Kukiz zamawiał.



Pacjenci ortopedii w polskim szpitalu podczas posiłku.

PENETRACJE

TYSIĄCNIK
ANGORA
PRACOWNIK
KRAJOWY
KONSTANTY

HENRYK MARTENKA,
PUBLICYSTA

Pojawienie się Mejzy na listach Zjednoczonej Prawicy to decyzja Republikanów, czyli kilku cwanych koleśki skupionych wokół Adama Bielana, w pewnych kręgach zwanego Sponsorem. Już ten fakt budzi odrazę, ale przecież ciągnie swój do swego. Zatem powiadam wam... Nie bójmy się nawet najgorszych kandydatów na listach: Mejzy, Cieszyńskiego, Bąkiewicza, Torkowskiej, Kukiza, Brauna, Giertycha... Bójmy się tych, którzy na nich zagłosują.

zwierciadło

GRAŻYNA TORBICKA,
DZIENNIKARKA, EDUKATORKA FILMOWA

Bardzo lubię zza kulis popatrzeć sobie na publiczność, pomyśleć, z czym dziś do nas przyszli. Ostatecznie zarówno oni, jak i ja jesteśmy tu po to, żeby odciąć się, oderwać od czegoś, więc postaramy się wspólnie stworzyć miłą przestrzeń, w której na chwilę zapomnimy o wszystkim, co jest poza nami. Ja się tego uczyłam latami. Jak coś nie wychodziło tak, jak chciałam, analizowałam przyczyny. Jak coś się udawało, czyli po pierwsze, się sprawdziłam, a po drugie, dobrze się czułam – też analizowałam przyczyny. Co było we mnie takiego, że wyszło lepiej niż poprzednio. Wszystkie odpowiedzi wskazywały właściwie na jedno: liczy się naturalność, nieudawanie nikogo.

PANI RENATA DANCEWICZ,
AKTORKA

Przez to, że Machulski mnie wyrzucił i powiedział, że nie nadaję się do tego zawodu, postanowiłam udowodnić, że jest inaczej. Mam naturę lesera i wiele rzeczy sobie odpuszczam. Ale nie wtedy, gdy ktoś chce stanowić o moim życiu. „Tak? To ja wam jeszcze pokażę!”. Ja nie lubię niczego musieć. Oczywiście czasem muszę – płacić podatki, rachunki... Może przez to, że babcia wciąż mi powtarzała, że coś wypada, a czegoś nie wypada, zaczęłam się wszystkiemu bardziej przyglądać. Ponieważ jestem ateistką, nie mam swojej świętej księgi, to raczej wierzę w swoje odczucia. Dekalog? Moim zdaniem Dekalog nie jest objawieniem Pana Boga. To są po prostu zasady dobrego współżycia: nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij...

VIVA!

SŁAWA PRZYBYLSKA,
PIOSENKARKA

Wybierałam nie tych chłopaków, podejmowałam niewłaściwe decyzje, żyłam złudzeniami, przypisywałam dobre cechy ludziom, którzy okazali się zupełnie inni. To duże rozczarowanie i duży smutek. Ale ja cały czas śpiewam, niezależnie od tego, co mnie spotyka. To mój imperatyw i radość. A kiedy śpiewam i ludzie się cieszą, wiwatują albo płaczą, konfrontują swoje życie z tym, co ja przekazuję w piosenkach, to jest też moje katharsis, wyjdzie z melancholii, a nawet rozpacz.



KASIA MAŁAŁSKA

ROSARIO DI SANTA CATERINA

Katarzyna Małalska wykorzystuje motywy i symbolikę chrześcijańską, żeby mówić o bardzo osobistych sprawach, które mogą jednak stać się doświadczeniem uniwersalnym. W jej najnowszych, wielkoformatowych pracach, wykonanych autorską techniką kolażu, widać wyraźny zwrot w stronę duchowości czy może pewnego rodzaju świeckiego mistycyzmu. Jednocześnie figuracja coraz częściej ustępuje formom abstrakcyjnym. Wciąż obecny jest motyw multiplikowanej postaci kobiecej, ale są też drapowane tkaniny, które wprowadzają aurę tajemniczości i niedopowiedzeń.

Galeria Arttrakt
Wrocław, ul. Ofiar Oświęcimskich 1/1
do 10 października



M_iaSTO/a
GwiAzd

czyli
InterdySCyPlinarny
FESTiwal
SZTUK



EDUKACYJNY
FESTIWAL
SZTUKI
artnoble.pl

15
EDYCJA

JUBILEUSZ!

28-30 września 2023
1 października ŻYRARDÓW

**SZUPER
ART**

Patronat Honorowy



Marszałek
Województwa Mazowieckiego

25^{lecie} Mazowsze

Projekt współfinansowany
ze środków Samorządu Województwa Mazowieckiego



eprasa:pr9ff34b5092

„Prawdziwa oda do miłości”

PLAYLIST



„Znakomity i porywający”

SCREEN



„Oślepia gwałtownym
emocjonalnym uderzeniem”

VARIETY



FESTIVAL DE CANNES
UN CERTAIN REGARD
NAGRODA FIPRESCI

OSCAR®
SHORTLISTA

NAJLEPSZY FILM
MIĘDZYNARODOWY



WZRUSZAJĄCA OPOWIEŚĆ O RÓŻNYCH ODCIENIACH MIŁOŚCI

TURKUSOWA SUKNIA

REŻYSERIA MARYAM TOUZANI

W KINACH OD 22 WRZEŚNIA

AURORA

